

KASS MORGAN

DZIEŃ

21

Druga część cyklu **MISJA 100**

BUKOWY LAS

DZIEŃ 5

Wells był pewien, że napastnicy powrócą...
i dobrze się przygotował.

DZIEŃ 11

Glass nie wiedziała, ile czasu jej pozostało,
toteż chciała jak najlepiej wykorzystać
każdą sekundę.

DZIEŃ 17

Bellamy zrobiłby wszystko, żeby chronić
siostrę, nawet jeżeli musiałby zaryzykować
własne życie.

DZIEŃ 21

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[ROZDZIAŁ 1. Wells](#)

[ROZDZIAŁ 2. Clarke](#)

[ROZDZIAŁ 3. Glass](#)

[ROZDZIAŁ 4. Wells](#)

[ROZDZIAŁ 5. Bellamy](#)

[ROZDZIAŁ 6. Clarke](#)

[ROZDZIAŁ 7. Glass](#)

[ROZDZIAŁ 8. Wells](#)

[ROZDZIAŁ 9. Clarke](#)

[ROZDZIAŁ 10. Bellamy](#)

[ROZDZIAŁ 11. Wells](#)

[ROZDZIAŁ 12. Glass](#)

[ROZDZIAŁ 13. Clarke](#)

[ROZDZIAŁ 14. Wells](#)

[ROZDZIAŁ 15. Bellamy](#)

[ROZDZIAŁ 16. Wells](#)

[ROZDZIAŁ 17. Glass](#)

[ROZDZIAŁ 18. Clarke](#)

[ROZDZIAŁ 19. Bellamy](#)

[ROZDZIAŁ 20. Glass](#)

[ROZDZIAŁ 21. Wells](#)

[ROZDZIAŁ 22. Bellamy](#)

[ROZDZIAŁ 23. Clarke](#)

[ROZDZIAŁ 24. Wells](#)

[ROZDZIAŁ 25. Bellamy](#)

[ROZDZIAŁ 26. Glass](#)

[ROZDZIAŁ 27. Clarke](#)

[ROZDZIAŁ 28. Glass](#)

[ROZDZIAŁ 29. Wells](#)

[ROZDZIAŁ 30. Bellamy](#)

[ROZDZIAŁ 31. Clarke](#)

[Podziękowania](#)

[Okładka](#)

KASS MORGAN

**DZIEŃ
21**

Druga część cyklu **MISJA 100**

przełożył
Maciej Studencki

BUKOWY  LAS

Tytuł oryginału: *Day 21*

Copyright © 2014 by Alloy Entertainment
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright © for the Polish edition and translation by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2015

ISBN 978-83-8074-011-2

Projekt oryginalnej okładki: Liz Dresner

Ilustracja na okładce: © 2015 Warner Bros Entertainment Inc. All rights reserved. Redakcja: Anna Rojkowska

Korekta: Elżbieta Kożuchowska

Redakcja techniczna: Adam Kolenda

Wydawca:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

www.bukowylas.pl, e-mail: biuro@bukowylas.pl

JAK OLESIEJUK

Wyłącznie dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

Sp.j. ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów

Mazowiecki tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30

01 www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Moim rodzicom i dziadkom, którzy nauczyli mnie, jak wciąż na nowo zachwycać się światem i słowami

ROZDZIAŁ 1

Wells

Wszyscy starali się odsunąć jak najdalej od grobu. Chociaż zesańcy pochowali już czwórkę towarzyszy na prowizorycznym cmentarzu, nie przywykli do tego, że ciała zmarłych zakopuje się w ziemi.

Unikali również odwracania się tyłem do drzew. Od czasu ataku wystarczył trzask łamanej gałęzi, żeby wzdrygali się ze strachu.

Dlatego żałobnicy zebrani, by pożegnać Ashera, stali w ciasnym półkolu, nieustannie odrywając wzrok od zwłok, by zerknąć w stronę ciemnego lasu.

Boleśnie odczuwali brak ogniska. Ostatnie zapasy drewna spalili ubiegłego wieczoru, ale nikt się nie kwapił do wyprawy po chrust. Wells poszedłby sam, gdyby nie musiał wykopać grobu. Nie było chętnych do pomocy, z wyjątkiem Erica, wysokiego, spokojnego chłopaka z „Arkadii”.

– Czy on na pewno nie żyje? – szepnęła Molly, odsuwając się od grobu, jakby w obawie, że dziura w ziemi ją połknie. Miała trzynaście lat, ale jeszcze nie tak dawno wyglądała na młodszą. Wells pomagał jej wyjść z ładownika i pamiętał, jak po jej ubrudzonych popiołem okrągłych policzkach spływały łzy. Teraz twarz Molly wyciągnęła się, a rozcięcie na czole wyglądało, jakby nie zostało porządnie oczyszczone.

Wzrok Wellsa mimowolnie spoczął na szyi Ashera. Tam, gdzie gardło chłopaka przeszły strzała, widniała poszarpana rana. Asher zmarł dwa dni temu, gdy tajemnicze postacie raptownie zmaterializowały się na szczycie wzgórza, wywracając do góry nogami cały porządek świata, w który wierzyli koloniści.

Posłano ich na Ziemię, żeby na własnej skórze sprawdzili, czy da się tu żyć. Powiedziano im, że będą pierwszymi od trzystu lat ludźmi na tej planecie. Okazało się, że to nieprawda.

Najwyraźniej był tu jeszcze ktoś inny.

Wszystko stało się tak szybko. Wells nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, dopóki Asher nie upadł, dławiąc się i rozpaczliwie próbując wyciągnąć strzałę, która utkwiała mu w szyi. Dopiero wtedy

Wells odwrócił się i dostrzegł na tle zachodzącego słońca czarne, groźne sylwetki napastników. Mrugnął, na wpół oczekując, że znikną.

Nie mogły być przecież prawdziwe.

Tyle że halucynacje nie zabijają strzałami z łuku!

Wells zaczął wówczas wołać o pomoc, ale nikt go nie słuchał.

Dotaszczył więc Ashera do namiotu szpitalnego, w którym zgromadzili ocalone z pożaru lekarstwa oraz sprzęt medyczny, i zaczął gorączkowo szukać opatrunku. Na nic się to jednak nie zdało.

Zanim Wells znalazł bandaż, Asher już nie żył.

Jakim cudem na Ziemi byli inni ludzie? Przecież to niemożliwe. Nikt nie przeżył kataklizmu. To był

pewnik równie oczywisty jak fakt, że woda zamarza w temperaturze zera stopni Celsjusza, a planety krążą wokół Słońca. Teraz wszakże zobaczył na własne oczy ludzi, którzy na pewno nie wysiedli z ładownika. Zobaczył Ziemiaków.

– Niestety, nie żyje – rzucił do Molly, podnosząc się ciężko z ziemi. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że wszyscy utkwili w nim wzrok pełen nadziei. Kilka tygodni temu patrzono by z nieufnością lub otwartą pogardą. Nikt nie wierzył, że syn kanclerza został naprawdę Odosobniony. Graham z łatwością przekonał ich, że Wells jest szpiegiem. Teraz jednak spoglądano na niego wyczekująco.

W chaosie, jaki zapanował po pożarze, to właśnie Wells zorganizował zespoły do sortowania ocalałych zapasów i pomagał budować porządne kwatery. Kiedyś interesował się ziemską architekturą, co zresztą denerwowało jego pragmatycznego ojca, który uważał, że syn marnuje czas. Tymczasem dzięki temu potrafił zaprojektować trzy drewniane chałupy stojące teraz na środku polany.

Spojrzał w ciemniejące niebo. Oddałby wszystko, by ojciec któregoś dnia zobaczył te chaty na własne oczy. Nie po to, żeby cokolwiek udowodnić. Kiedy kanclerz został postrzelony na pokładzie startowym, żale do ojca momentalnie zniknęły. Teraz chłopak życzył sobie już tylko, by kanclerz przybył kiedyś na Ziemię i uznał ją za

swój dom. Planowano, że koloniści dołączą do zesłańców, kiedy warunki życia na Ziemi zostaną uznane za bezpieczne. Minęło jednak dwadzieścia jeden dni, a na niebie ani razu nie pojawił się migocący punkt, zwiastujący zbliżanie się kolejnego statku. Co to oznaczało dla setki młodych ludzi? Czy kiedykolwiek pojawi się tu reszta kolonistów?

Wells znów opuścił wzrok, wracając myślą do bieżących zadań. Teraz trzeba było pożegnać chłopca, który spocznie na wieki w ciemnościach, bez nadziei na błysk światła nad głową.

Dziewczyna obok zadygotała.

– Moglibyśmy się pospieszyć? – spytała. – Wolałabym nie sterczeć tutaj przez całą noc.

– Uważaj, co mówisz – warknęła inna, o imieniu Kendall, ściągając usta i marszcząc z oburzeniem brwi. Wells pomyślał najpierw, że pochodzi tak jak on, z „Feniksa”. Po chwili zdał sobie jednak sprawę, że dumnym spojrzeniem i powolną wymową naśladowała tylko dziewczyny, wśród których dorastał. Młodzi waldenicy i arkadyjczycy powszechnie kopiowali zblazowany sposób zachowania się i mówienia mieszkańców „Feniksa”, nikt jednak nie robił tego tak przekonująco jak Kendall.

Wells rozejrzał się, szukając wzrokiem Grahama, który jako jedyny poza nim i Clarke pochodził z „Feniksa”. Chłopak przyjaźnił się z Asherem, więc było właściwe, by zabrał głos na jego pogrzebie... tylko że właśnie teraz nie było go nigdzie w pobliżu. Podobnie jak Clarke, która zaraz po pożarze wyruszyła z Bellamym na poszukiwanie jego siostry, pożegnawszy Wellsa słowami, które utkwiły mu w pamięci jak bolesny cierń: „Niszczysz wszystko, czego się tkniesz”.

Od strony lasu dobiegł trzask. Wszyscy wstrzymali oddech. Wells instynktownie zasłonił sobą Molly, chwytając jednocześnie łopatę.

Chwilę później na polanie pojawił się Graham. Towarzyszyło mu dwóch arkadyjczyków – Azuma i Dmitri – a także Lila, dziewczyna z

„Waldena”. Trójka chłopaków dźwigała naręcza drewna, Lila niosła pod pachą jeszcze kilka gałęzi.

– Aha, to dlatego nie mogliśmy się doliczyć kilku siekier – powiedział Antonio, jeden z waldenitów, zerkając na toporki wiszące u pasa Azumy i Dmitriego. – Ale by się nam przydały dzisiaj po południu!

Graham uniósł brwi i zlustrował wzrokiem jedną z nowych chat. Budowniczym wreszcie udało się

zrobić coś porządnego: tym razem w dachu nie było dziur, co oznaczało, że mieszkańcy będą spali w suchym i ciepłym wnętrzu. Żadna z chat nie miała okien. Ich wycięcie zajęłoby zbyt wiele czasu, a bez szkła czy plastiku stanowiłyby tylko dziury w ścianach.

– Wierście mi, to jest ważniejsze – powiedział Graham, unosząc gałęzie.

– Drewno na opał? – zapytała Molly i wzdrygnęła się, kiedy Graham zareagował na to parsknięciem.

– Nie, na włócznie. Kilka drewnianych szop nas nie ochroni. Musimy się czymś bronić. Następnym razem, kiedy te dranie się pojawią, będziemy gotowi.

Popatrzył na Ashera i z jego twarzy zniknął zwykły grymas gniewu i arogancji, a zagościł na niej smutek.

– Przyłączysz się do nas na chwilę? – zapytał Wells, łagodniej niż zwykle. – Myślałem, że może chciałbyś powiedzieć parę słów o Asherze. Dobrze go znałeś, więc...

– Wygląda na to, że masz już wszystko pod kontrolą – przerwał mu Graham, odwracając wzrok od ciała Ashera. – Tylko tak dalej, kanclerzyku.

Słońce zachodziło, gdy Wells i Eric kończyli zasypywanie nowego grobu. Priya owijała wieńcem kwiatów drewniany krzyż. Reszta opuściła już cmentarz: jedni odeszli, żeby nie patrzeć na ponurą ceremonię, inni – żeby zająć lepsze miejsce w jednej z nowych chat. Każdy z budynków mógł pomieścić dwadzieścia osób w komfortowych warunkach lub trzydzieści – w mniej komfortowych. Na ogół kolonistom, zbyt zmęczonym lub zziębniętym, by zwracać uwagę na drobne niewygody, nie przeszkadzało, że koce są

osmalone, a sąsiad oparł na nich niechcący nogę lub wetknął im łokieć w twarz.

Wells był rozczarowany, lecz nie zaskoczony, widząc, że Lila zarezerwowała jedną z chat dla Grahama i jego paczki, gdy tymczasem młodsze dzieciaki drżały z zimna na zewnątrz, rozglądając się niespokojnie po pełnej wieczornych cieni polanie. Pozostawionych za drzwiami czekała niespokojna noc, mimo straży wystawionych przez ochotników.

– Hej – odezwał się Wells do Grahama przechodzącego obok z niedokończoną włócznią. – Skoro bierzecie z Dmitrim drugą zmianę, może położycie się spać na zewnątrz? Będzie mi was łatwiej znaleźć, kiedy moja warta się skończy.

Zanim jednak Graham odpowiedział, Lila złapała go za ramię.

– Obiecałeś zostać ze mną dziś wieczorem, pamiętasz? Ja się boję sama spać – powiedziała wysokim, afektowanym głosem, tak odmiennym od jej zwykłego kłótliwego tonu.

– Przykro mi – odparł Wellsowi Graham i wzruszył ramionami z zadowolonym uśmiechem. – Nie mogę złamać obietnicy. – Rzucił włócznię Wellsowi, który zręcznie ją złapał. – Popilnuję obozu jutro, jeżeli będziemy jeszcze żyli.

Lila otrząsnęła się z przesadnym przerażeniem.

– Graham! – wykrzyknęła. – Nie powinieneś nawet tak mówić!

– Spokojnie, obronię cię – mruknął chłopak, obejmując ją ramionami. – A jeśli nie, to przynajmniej postaram się, żeby twoja ostatnia noc na Ziemi była najlepsza w życiu. – Lila zachichotała, a Wells z trudem powstrzymał się, żeby nie przewrócić oczami.

– Może powinniście oboje zostać na zewnątrz? – zapytał Eric, wynurzając się z cienia. – Wtedy cała reszta dostanie szansę, żeby odpocząć.

Graham szyderczo prychnął. – Dzisiaj rano spod twojego koca wyslizgnął się Felix! Nie myśl sobie, że nie widziałem! Nie znoszę takiej hipokryzji! Na twarzy Erica pojawił się nikły uśmiech.

– Ale nas nie słyszałeś.

– Chodźmy już – zniecierpliwiała się Lila i pociągnęła Grahama za ramię – zanim Eliza odda komuś nasze łóżko.

– Chcesz, żebym stanął z tobą na straży? – spytał Eric, kiedy zostali we dwóch z Wellsem.

Ten potrząsnął głową. – Nie, dzięki. Priya poszła już na obchód obozu.

– Myślisz, że Ziemianie wrócą? – ściszył głos Eric.

Wells spojrzał przez ramię, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje, i kiwnął głową.

– To było coś więcej niż ostrzeżenie. To pokaz siły. Chcą, żebyśmy wiedzieli, że nie są zadowoleni z naszego przybycia.

– Jasne, że nie są – zgodził się Eric i spojrzał przez polanę w kierunku grobu Ashera. Westchnął, pożegnał się z Wellsem, po czym skierował kroki ku prowizorycznym pryczom, które Felix i inni z przyzwyczajenia ustawili wokół wygasłego ogniska.

Wells wziął włócznię na ramię i postanowił poszukać Priyi. Po kilku krokach uderzył w coś ramieniem, a w ciemności rozległ się jęk bólu.

– Wszystko w porządku? – zapytał, wyciągając dłoń.

– Tak, dzięki – usłyszał trzęsący się głos Molly.

– Gdzie dzisiaj śpisz? Pomogę ci znaleźć łóżko.

– Na zewnątrz. W chacie nie było już miejsca – odpowiedziała żałośnie.

Wells poczuł, że ma ochotę wrzucić Grahama i Lilę do strumienia. –

Nie jest ci za zimno? – zapytał. – Mogę zdobyć jakiś koc. – „Jeżeli będzie trzeba, ściągnę go z Grahama”, pomyślał.

– Dziękuję, ale noc jest dzisiaj raczej ciepła, no nie?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Po zachodzie słońca temperatura znacznie spadała. Położył dłoń na czole Molly i poczuł, że jest gorące.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Trochę kręci mi się w głowie... – przyznała. Wells zacisnął usta. W pożarze stracili sporo zapasów, więc trzeba było zacząć racjonować pożywienie. – Proszę – powiedział, wyciągając z kieszeni niedojedzony pakiet żywnościowy. – Wcinaj.

– Nie, dzięki. Nie jestem głodna – zaprotestowała słabo.

Wells wymógł na niej obietnicę, że jeśli nie poczuje się lepiej,

następnego dnia zgłosi się do niego, a potem ruszył na poszukiwanie Priyi. Większość lekarstw ocalała, ale były niewiele warte pod nieobecność jedynej osoby, która wiedziała, jak je stosować.

Zastanawiał się, dokąd dotarli Clarke i Bellamy i czy znaleźli choćby ślad Octavii. Mimo zmęczenia poczuł ostre ukłucie strachu na myśl o niebezpieczeństwach czyhających na Clarke w lesie. Dziewczyna opuściła obóz wraz z Bellamym jeszcze przed atakiem. Tych dwoje nie miało pojęcia, że na Ziemi są jeszcze jacyś inni ludzie, Ziemianie, którzy zamiast wiadomości posyłają tym, których uważają za wrogów, śmiertelne strzały.

Westchnął, podniósł głowę i wysłał w niebo bezgłośnie modlitwę za dziewczynę, dla ochrony której naraził na szwank życie niezliczonych ludzi. Dziewczynę, która powiedziała mu, że nie chce go już znać.

ROZDZIAŁ 2

Clarke

Szli już od dwóch dni, odpoczywając co jakiś czas przez godzinę lub dwie. Mięśnie nóg Clarke zaczęły płonąć żywym ogniem, ale Bellamy najwyraźniej nie miał zamiaru zatrzymać się na dłuższy postój.

Dziewczynie nawet to pasowało – im częściej myślała o swoich udach, tym rzadziej powracały bolesne wspomnienia o przyjaciółce, której nie zdołała uratować.

Odetchnęła głęboko. Nawet gdyby zawiązano jej oczy, zgadłaby, że

słońce już zaszło. Powietrze było ciężkie od zapachu białych kwiatów otwierających się tylko w nocy i sprawiających, że las wyglądał, jakby ktoś przebrał go w wieczorową suknię. Clarke zastanawiała się, jaką ewolucyjną korzyść mają z tego drzewa. Może przyciągały w ten sposób owady nocne? Tam, gdzie drzewa rosły gęściej, zapach niemal oszałamiał, ale dziewczyna wołała taki las od równych rzędów jabłoni, które widzieli wcześniej. Przeszedł ją dreszcz na myśl o regularnie rozmieszczonych pniach stojących na baczność jak oddział żołnierzy.

Bellamy sunął naprzód kilka metrów przed nią. Milczał, jak to miał w zwyczaju podczas myśliwskich wypraw. Tym razem jednak nie tropił królika ani nie podchodził jelenia. Szukał siostry.

Minęła niemal doba, od kiedy znaleźli ostatnie ślady.

Niewypowiedziane słowa wisiały pomiędzy nimi, zagęszczając atmosferę do tego stopnia, że Clarke niemal mogła jej dotknąć.

Stracili trop Octavii.

Bellamy zatrzymał się na szczycie wzgórza, a Clarke – tuż za nim.

Stali na ostrej grani. Kilka metrów przed nimi grunt gwałtownie opadał, a w dole rozciągała się olbrzymia migocząca tafla wody.

Wysoko nad nią wisiał olbrzymi jasny księżyc odbijający się w drżącej, szklistej powierzchni poniżej.

– Piękny widok – szepnął Bellamy, nie patrząc na dziewczynę, lecz w jego głosie zabrzmiał szczególny ton. Clarke zastanawiała się, czy pomyśleli o tym samym.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Drgnął, ale się nie odsunął.

– Założę się, że Octavia też tak pomyślała. Może zejdziemy i tam jej poszukamy... – zaproponowała bez przekonania. Siostra Bellamy'ego nie wybrała się na spacer po lesie. Żadne z nich nie powiedziało tego głośno, ale jej nagłe zniknięcie i pozostawione ślady sugerowały, że ją ciągnięto – a zatem została porwana.

Ale przez kogo? Clarke znów przypomniała sobie rzędy jabłoni i zdrzała. Bellamy zbliżył się do krawędzi urwiska i spojrzał w dół.

– Wygląda na to, że tutaj jest trochę mniej stromo – powiedział i złapał ją za rękę. – Chodźmy.

Idąc w dół, nie zamienili już ani słowa. Kiedy Clarke poślizgnęła się na błotnistym zboczu, Bellamy

złapał ją mocniej, pomagając odzyskać równowagę. Gdy znaleźli się na równym gruncie, puścił ją jednak i pobiegł ku wodzie, wypatrując śladów na brzegu.

Dziewczyna została z tyłu. Patrzyła z zachwytem na jezioro, zapomniawszy, jak bardzo bołą ją nogi. Powierzchnia wody była szklście gładka, a odbity księżyc wyglądał jak szlachetny kamień, jeden z tych, które czasami widywała na bazarze, zamknięte w przezroczystych gablotkach.

Bellamy odwrócił się. Na jego twarzy malowało się zmęczenie... a może raczej poczucie klęski?

– Powinniśmy chyba odpocząć – powiedział. – Nie ma sensu iść dalej po ciemku. Poza tym nie mamy żadnego tropu.

Clarke zsunęła z siebie plecak i rozprostowała ramiona. Zmęczona i spocona, myślała już tylko o zmyciu ze skóry brudu i popiołu z niedawnego pożaru.

Podeszła powoli do jeziora, kucnęła i dotknęła palcami jego powierzchni. Kiedy przybyli na Ziemię, sumiennie dezynfekowała wodę do picia i do mycia, żeby wyeliminować zabójcze drobnoustroje. Niestety, używana w tym celu jodyna była na ukończeniu. Po niedawnym ciężkim doświadczeniu – kiedy powstrzymywana przez byłego chłopaka musiała patrzeć, jak jej najlepsza przyjaciółka ginie w płomieniach – woda w jeziorze wydawała się najmniejszym z problemów.

Clarke wzięła głęboki oddech, a potem zamknęła oczy i wypuściła powietrze z płuc, pozwalając, by napięcie uleciało z niej w ciemność nocy.

Podniosła się i spojrzała na Bellamy'ego. Stał bez ruchu, patrząc przez jezioro z takim natężeniem, że aż przeszedł ją dreszcz. W pierwszej chwili pomyślała, żeby dać mu spokój i po cichu się ulotnić, ale potem wpadła na inny pomysł.

Bez słowa, z szelmowskim uśmiechem ściągnęła przez głowę przepoconą bluzę, zdjęła buty oraz utyłane w popiele i zabłocone

spodnie, po czym weszła do jeziora w samej bieliźnie, żałując, że nie widzi miny Bellamy'ego.

Woda była zimniejsza, niż się spodziewała. Przeszły ją ciarki – sama nie wiedziała, czy pod wpływem nocnego chłodu, czy też spojrzenia chłopaka.

Oddalała się od brzegu, zanurzając się coraz głębiej, aż do ramion. Zasoby wody w Kolonii były zbyt ograniczone, żeby brać kąpiel, więc Clarke po raz pierwszy w życiu cała zanurzyła się w wodzie. Uniosła stopy z mulistego dna, żeby uniosła ją woda, czując się przedziwnie: zarazem silna i bezbronna. Przez chwilę nie pamiętała, że jej najlepsza przyjaciółka zginęła w ogniu, że zgubili z Bellamym ślad Octavii... zapomniała także, że gdy zdecyduje się wyjść z jeziora, jej zaimprovizowany kostium kąpielowy zacznie prześwitywać...

– Zdaje się, że promieniowanie w końcu zaszkodziło ci na głowę.

Clarke odwróciła się. Bellamy patrzył na nią zaskoczony i rozbawiony.

Na twarzy znów miał swój charakterystyczny uśmiezek.

Zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i zanurzyła głowę w jeziorze.

Sekundę później wyskoczyła z powrotem, rozradowana, z wodą ściekającą jej po twarzy.

– Dzięki, ale wszystko w porządku! Bellamy podszedł bliżej.

– Czy twój ścisły naukowy umysł instynktownie uznał, że możesz się bezpiecznie zanurzyć?

Clarke potrząsnęła głową. – Nie. – Podniosła dłoń i udała, że bacznie się jej przygląda. – I co, rosną

mi już płetwy?

– Nawet jeżeli wyrosną – powiedział z fałszywą powagą chłopak – obiecuję, że nie ucieknę

z krzykiem.

– Och, na pewno nie będę jedynym mutantem w okolicy!

Podniósł brwi. – Co masz na myśli?

Clarke złożyła dłonie w miseczkę, zaczerpnęła wody i oblała go nią.

– Teraz tobie też coś wyrośnie! – zawołała ze śmiechem.

– Nie powinnaś tego robić... – odezwał się niskim, groźnym głosem Bellamy, a Clarke przez chwilę myślała, że naprawdę się obraził. On jednak jednym płynnym ruchem ściągnął z siebie koszulę.

Olbrzymi księżyc świecił tak jasno, że trudno było nie zauważyć uśmiechu na twarzy Bellamy’ego, gdy zdejmował spodnie i rzucał je na bok, jakby miał do dyspozycji jeszcze kilka par. Jego długie, dobrze umięśnione nogi lśniły bielą spod szarych bokserów. Clarke zarumieniła się, ale nie odwróciła wzroku.

Bellamy wskoczył do jeziora i kilkoma potężnymi pociągnięciami ramion zmniejszył dystans pomiędzy nimi, z dumą prezentując umiejętność nabytą podczas myśliwskich wycieczek nad strumień. Chociaż raz nie było w tym odrobiny przesady.

Po chwili zniknął pod wodą i długo się nie wynurzał. Clarke zaczęła się już niepokoić, gdy nagle złapał ją za nadgarstek i obrócił ku sobie. Pisnęła ze strachu, spodziewając się, że również opryska ją wodą. Bellamy jednak spojrzał jej prosto w oczy, po czym uniósł dłoń i delikatnie przesunął jej po szyi. – Nie ma tu żadnych skrzeli – szepnął.

Clarke zadrżała i odwzajemniła spojrzenie. Mokre włosy przylegały mu gładko do głowy, a po twarzy spływała woda. Ciemne oczy płonęły uczuciem, które zazwyczaj skrywał żartobliwy uśmiech. Nie mogła uwierzyć, że to ten sam chłopak, do którego tak beztrąsko przytuliła się w lesie.

Nagle coś się zmieniło w jego spojrzeniu. Zamknęła oczy, pewna, że za chwilę ją pocałuje... Tymczasem pomiędzy drzew dobiegł głośny trzask, a Bellamy gwałtownie odwrócił głowę. – Co to było? – zapytał.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył do brzegu, złapał łuk i zniknął w cieniu lasu. Clarke westchnęła i udzieliła sobie w myślach reprimendy za lekkomyślność. Gdyby szukali kogoś z jej rodziny, nie marnowałyaby czasu na zabawy w wodzie. Odchyliła głowę w tył, czując, jak krople wody spływają z jej twarzy, a spojrzawszy w niebo, pomyślała o dwóch ciałach orbitujących gdzieś wśród gwiazd. Co

powiedzieliby rodzice, widząc ją tu i teraz, na planecie, którą zawsze chcieli nazwać domem?

– Zagramy w globus? – zapytała Clarke, zaglądając ojcu przez ramię. Jego tablet wyświetlał dziesiątki skomplikowanych równań, których nie rozumiała. Była jednak pewna, że niedługo to się zmieni. Mimo że miała zaledwie osiem lat, właśnie rozpoczęła lekcje algebry. Kiedy Cora i Glass się o tym dowiedziały, zaczęły przewracać oczami i głośno szeptać, że matematyka nie ma sensu. Clarke próbowała im wyjaśnić, że bez matematyki nie byłoby ani lekarzy, ani inżynierów, ludzie marliby na choroby, którym można zapobiec, a Kolonia uległaby katastrofie. Jednak przyjaciółki ją wyśmiały i przez cały dzień reagowały chichotem na jej widok.

– Za chwileczkę – odparł ojciec. Zmarszczył czoło i przesunął palcem po ekranie, ustawiając symbole

w innej kolejności. – Muszę najpierw skończyć tę pracę. Clarke zerknęła ciekawie na ekran.

– Mogę ci pomóc? Jak mi wyjaśnisz, na pewno rozwiążę nawet najtrudniejsze równanie! Roześmiał się i pieszczotliwie pogłaskał ją po głowie.

– O, na pewno! Ale wiesz co? Pomagasz nawet wtedy, gdy tylko siedzisz obok. Przypominasz mi, dlaczego nasze badania są takie ważne.

Uśmiechnął się, zamknął program matematyczny i otworzył wirtualny atlas. W powietrzu nad kanapą pojawił się holograficzny globus.

Clarke przesunęła palcem w powietrzu i ziemską kulę zaczęła się kręcić.

– Co tu jest? – zapytała, wskazując kontury sporego kraju. Ojciec zmrużył oczy.

– Niech się przyjrzę... to będzie Arabia Saudyjska.

Clarke dotknęła globusa we wskazanym miejscu. Kraj zmienił kolor na niebieski i pojawiła się nazwa: „Nowa Mekka”.

– Ach, prawda – przyznał ojciec. – To państwo zmieniało nazwę

wiele razy jeszcze przed kataklizmem.

– Obrócił globus i wycelował palcem w długi, wąski kształt po przeciwnej stronie Ziemi. – A co jest tutaj?

– Chile – odparła Clarke bez wahania.

– Naprawdę? – zachichotał. – A po ile?

Przewróciła oczami. – Tatusiu, musisz tak żartować za każdym razem, kiedy gramy w globus?

– Za. Każdym. Razem. – Ojciec uśmiechnął się i posadził sobie ją na kolanach. – Przynajmniej dopóki nie wylądujemy w Chile. Wtedy ten dowcip może być już za stary.

– Davidzie! – ostrzegawczym tonem wtrąciła się z kuchni matka Clarke. Otwierała właśnie pakiety żywnościowe i mieszała ich zawartość ze szklarniowym jarmużem. Nie lubiła, kiedy ojciec żartował na temat powrotu na Ziemię. Badania Griffinów wyraźnie wskazywały, że musi upłynąć jeszcze przynajmniej sto lat, zanim ludzie będą mogli tam bezpiecznie zamieszkać.

– A co z ludźmi? – spytała Clarke.

– Co masz na myśli?

– Chcę zobaczyć, gdzie mieszkali ludzie. Dlaczego na mapie nie ma domów?

Ojciec uśmiechnął się.

– Niestety nie mamy tak szczegółowej mapy, ale wierz mi, ludzie mieszkali wszędzie. – Powiódł palcem wzdłuż jednej z krętych linii. – Mieszkali nad oceanem... mieszkali w górach... na pustyni... i nad rzekami.

– Dlaczego nic nie zrobili, kiedy dowiedzieli się, że zaraz będzie kataklizm?

Matka weszła do salonu i usiadła obok nich na kanapie.

– Wszystko działa się bardzo szybko – wyjaśniła. – A na Ziemi było niewiele miejsc, gdzie ludzie mogli się schować przed promieniowaniem. Chińczycy chyba budowali duży schron gdzieś tu.

– Powiększyła mapę i wskazała punkt po prawej stronie. – Mówiono też o jakimś miejscu tutaj, w pobliżu banku nasion.

– Przesunęła palcem ku górze mapy.

– A co z Mount Weather? – rzucił ojciec.

Matka przez chwilę manipulowała przy globusie. – Gdzieś tutaj... to chyba była Wirginia, prawda?

– Co to jest Mount Weather? – zaciekawiała się Clarke, zaglądając z bliska przez ramię matki.

– Wiele lat przed kataklizmem rząd Stanów Zjednoczonych zbudował wielki podziemny bunkier na wypadek wojny jądrowej. Mimo że wydawało się to nieprawdopodobne, zaplanowali i taką możliwość, żeby ochronić prezydenta, to znaczy głowę państwa, taką jak nasz kanclerz – wytłumaczyła mama. – Kiedy jednak spadły bomby, nikomu nie udało się dotrzeć tam na czas, nawet prezydentowi. To się stało za szybko.

Clarke myślała intensywnie przez chwilę i w końcu spytała:

– Ilu ludzi wtedy zmarło? Parę tysięcy?

Ojciec westchnął. – Myślę, że raczej parę miliardów.

– Miliardów? – Dziewczynka zerwała się na równe nogi i podeszła do małego okienka z widokiem na rozgwieżdżoną czerń. – I co, teraz wszyscy są tutaj, na górze?

Matka podeszła i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Co przez to rozumiesz? – zapytała spokojnie.

– No jak to? Czy niebo to nie jest miejsce gdzieś w kosmosie?

Mama Clarke lekko ścisnęła ramię córki.

– Myślę, że niebo jest tam, gdzie je sobie wyobrazimy. Moje niebo zawsze było na Ziemi. Gdzieś w lesie, między drzewami.

Dziewczynka wsunęła rękę w dłoń matki. – To moje też tam będzie!

– A ja wiem, jaką piosenkę zagrają u nieba bram – rzucił wesoło ojciec.

Matka odwróciła się na pięcie. – Davidzie, żebyś mi się nie ważył tego puszczać!

Ale było już za późno. Z głośników popłynęły dźwięki, które wywołały uśmiech na twarzy Clarke: *Niebo to miejsce na ziemi.*

– Naprawdę, kochanie? – zapytała sceptycznie matka.

Jej mąż tylko się roześmiał, przeskoczył przez kanapę, złapał swoje

kobiety za ręce, a potem całą trójką zatańczyli wokół salonu, głośno śpiewając ulubiony kawałek ojca Clarke.

– Clarke! – Bellamy wyłonił się spomiędzy drzew, dysząc ciężko. Było zbyt ciemno, żeby dostrzec jego minę, ale w jego głosie wyczuła napięcie: – Chodź, musisz to zobaczyć!

Dziewczyna ruszyła ku niemu, z trudem brnąc przez jezioro. Dotarłszy do błotnistego brzegu, ruszyła biegiem, nie zwracając uwagi na niekompletny strój, kamienie raniące bosc stopy i ukłucia nocnego chłodu.

Chłopak klęczał na ziemi, wpatrując się intensywnie w coś, czego Clarke nie potrafiła dostrzec w ciemności.

– Bellamy! – zawołała. – Wszystko w porządku? Co to był za dźwięk?

– Nic. Ptak albo jakieś zwierzę. Popatrz na to, to odcisk stopy. – Wskazał go palcem, a na jego twarzy pojawił się uśmiech pełen nadziei. – Jestem pewny, że zostawiła go Octavia. Znaleźliśmy trop!

Clarke z ulgą klęknęła obok, żeby przyjrzeć się dokładnie. Kilka kroków dalej na błotnistej ziemi dostrzegła kolejny ślad. Oba wyglądały na dość świeże, tak jakby Octavia przechodziła tędy zaledwie przed kilkoma godzinami. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć Bellamy'emu, ten wstał, podniósł ją z kłęczek i pocałował.

Wciąż jeszcze był mokry i gdy ją objął, ich wilgotne ciała przylgnęły do siebie. Przez chwilę zapomniała o całym świecie. Istniał tylko Bellamy, ciepło jego oddechu i smak jego ust. Przesunął dłoń z jej kibici nieco niżej, aż zadrżała. Nagle dotarło do niej, że oboje mają na sobie tylko bieliznę i są kompletnie mokrzy.

Zimny powiew poruszył korony drzew i zatańczył na karku Clarke. Znow zadrżała, a wówczas Bellamy powoli, niechętnie oderwał usta od jej ust.

– Rany, ale zmarzłaś – zauważył, rozcierając jej plecy.

– Masz na sobie mniej ciuchów niż ja – odparła, przechylając głowę na bok.

– Och, możemy temu zaradzić, jeżeli chcesz – rzekł Bellamy, przeciągając palcem po jej ramieniu i wsuwając go pod ramięczko stanika.

Clarke uśmiechnęła się.

– Uważam, że najlepiej będzie, jeżeli raczej się ubierzemy, a potem pójdziemy świeżym tropem. Choć nie zanosilo się na to, że ślady znikną do rana, wiedziała, że Bellamy'ego na pewno gryzie teraz niecierpliwość.

– Dziękuję – powiedział, pochylił się i pocałował ją jeszcze raz. Chwycili się za ręce i wrócili nad brzeg jeziora.

Czym prędzej się ubrali, założyli plecaki i szybkim krokiem podążyli znów przez ciemny las. Mimo że ślady były wyraźne, chłopak za każdym razem zauważał je pierwszy. Czy wzrok wyostrzył mu się dzięki polowaniom, czy też był tak zdeterminowany?

– Co tam skrzela, ty chyba zaczęłaś widzieć w ciemności – zawołała, gdy zdarzyło się to po raz kolejny. Mówiła to żartem, teraz jednak zaczęła się zastanawiać. Poziom promieniowania na Ziemi najwyraźniej nie był tak wysoki, jak się obawiano, ale nie oznaczało to, że nie ma zagrożenia. Efekty słabszego promieniowania mogły pojawić się po kilku tygodniach. Skąd miała wiedzieć, czy wszyscy nie zapadli już na chorobę popromienną? Może dlatego do tej pory nie pojawił się żaden inny lądownik. Może rada Kolonii wcale nie czeka na dowody świadczące o tym, że życie na Ziemi jest bezpieczne, bo przeczyły temu dane biometryczne przesyłane przez bransolety?

Z bijącym sercem Clarke zerknęła na obręcz zatrzaśniętą na jej nadgarstku. Wyświetlacz pokazywał, ile dni spędziła już na Ziemi. Czy przypadkiem objawy choroby popromiennej nie ujawniają się około trzech tygodni po ekspozycji? Spojrzała na księżyc, którego tarcza była widoczna w trzech czwartych. Pierwszej, strasznej nocy po awaryjnym lądowaniu był zaledwie cienkim srebrnym różkiem.

Czyżby przebywali tu już dwadzieścia jeden dni?

– Przywykłem do ciemności – rzucił idący przed nią Bellamy, nieświadom jej rozterek. – W Kolonii zakradałem się do

opuszczonych magazynów. Najczęściej nie było tam światła.

Clarke skrzywiła się, zahaczywszy nogą o gałąź.

– A czego tam szukałeś? – zapytała, odsuwając na bok nieprzyjemne myśli. Gdyby u kogokolwiek pojawiły się objawy choroby popromiennej, mieli na to lekarstwa, chociaż w niewielkiej ilości.

– Wyprodukowane na Ziemi części starych maszyn, tkaniny, różne dziwne przedmioty. Wszystko, co mógłbym sprzedać na bazarze. – Clarke dosłyszała w jego swobodnym tonie pewne napięcie. – W centrum opieki Octavia nie dojadła, więc musiałem skądś zdobywać dodatkowe punkty przydziału.

To wyznanie poruszyło Clarke. Wyobraziła sobie, jak młodsza i chudsza wersja chłopaka, który szedł

teraz przed nią, samotnie w ciemności penetruje przepastny magazyn, i poczuła ukłucie w sercu.

– Bellamy... – zaczęła, szukając właściwych słów, po czym gwałtownie przerwała. Za drzewami coś mignęło. Rozsądek podpowiadał, by iść dalej, bo to zapewne tylko cień gałęzi, kołysanej wiatrem, ale mimo to coś kazało jej się zatrzymać.

– Bellamy, patrz – powiedziała, skręcając w tamtym kierunku. Na ziemi, rozrzucone pomiędzy korzeniami wielkiego drzewa, leżały jakieś przedmioty. Clarke kucnęła, żeby przyjrzeć się im z bliska, i zobaczyła, że wykonane są z metalu. Przesunęła dłonią po jednym z długich, skręconych elementów i gwałtownie wciągnęła powietrze. Do czego mogły służyć? I jak znalazły się tutaj, w środku lasu?

– Clarke! – krzyknął Bellamy – dokąd poszłaś?!

– Tu jestem! – odparła. – Zobacz, co znalazłam. Wyłonił się bezgłośnie z ciemności tuż koło niej.

– Co jest grane? – W jego głosie zabrzmiała lekka pretensja. – Powinniśmy się trzymać razem. Nie możesz tak po prostu sobie zniknąć.

– Popatrz – podniosła kawałek metalu, żeby lepiej go było widać w świetle księżyca. – Jakim cudem to przetrwało kataklizm?

– Nie mam pojęcia – zniecierpliwiał się Bellamy i zaczął

przestępować z nogi na nogę. – Możemy już iść? Nie chciałbym stracić tropu.

Clarke już miała odłożyć dziwny przedmiot, kiedy dostrzegła wyryte w metalu dwie znane litery. TG

– „Trillion Galactic”. – O mój Boże – wymamrotała. – To jest z Kolonii!

– Co takiego? – Bellamy przykucnął obok niej. – W takim razie to część lądownika, prawda? Pokręciła głową.

– Nie sędzę. Jesteśmy przynajmniej sześć kilometrów od obozu. Niemożliwe, żeby te resztki pochodziły z lądownika. – „A jeśli nawet, to na pewno nie z naszego!”, przebiegło jej przez myśl.

Poczuła nagłą dezorientację, tak jakby nie potrafiła rozróżnić, co jest wspomnieniem, a co snem.

– Tu jest więcej tych kawałków. Może znajdziemy coś, co... – przerwała z krzykiem, gdy nagły ból przeszył jej prawe ramię.

– Clarke! Co ci jest?

Bellamy objął ją, ale ona utkwiała wzrok w ziemi, gdzie wił się długi, cienki, ciemny kształt. Chciała pokazać palcem dziwne stworzenie, nie mogła się jednak poruszyć.

– Clarke? Co się stało?!

Otworzyła usta, lecz nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Mięśnie klatki piersiowej zaczęły tężeć. Prawa ręka paliła ją żywym ogniem.

– O cholera! – usłyszała.

Nie widziała już Bellamy'ego, a świat wokół niej zaczął się kręcić. Gwiazdy, niebo, drzewa i liście wirowały w ciemności. Piekący ból, postępujący w górę ramienia, zaczął znikać. Wszystko zniknęło. Osunęła się na ziemię, a potem poczuła, że coś unosi ją w powietrze.

Nie ważyła nic, zupełnie jakby dryfowała bezwładnie w jeziorze... albo wśród gwiazd, razem z rodzicami.

– Clarke, zostań ze mną! – błagał ją Bellamy z bardzo, bardzo daleka. Ciemność zamykała się wokół niej, owijając jej nogi i ramiona wstęgami gwiazd.

A potem zapadła cisza.

ROZDZIAŁ 3

Glass

Glass podniosła głowę z piersi Luke'a, próbując zignorować towarzyszący temu ruchowi wysięk. Zdołała się uśmiechnąć i usiadła, opuszczając nogi z boku kanapy. Nie była pewna, czy chce jej się spać z powodu braku tlenu, czy też w związku z tym, że większą część nocy spędziła bezsennie. Gdy leżała z Lukiem w łóżku, sen był ostatnią rzeczą, jaka przychodziła jej na myśl. Nie wiedzieli, ile czasu im zostało, więc cieszyli się każdą chwilą. Poprzednią noc spędzili w swoich ramionach, szepcząc sobie do uszu ulotne, na wpół uformowane myśli albo po prostu leżąc w ciszy i wsłuchując się w bicie swoich serc.

– Powinienem chyba wyjść po coś do jedzenia – powiedział Luke beztrosko, ale oboje wiedzieli, co się kryje za tą propozycją. Od chwili, gdy zamknięto rękaw między statkami, chaos na „Waldenie” wciąż rósł, aż osiągnął niewyobrażalny poziom. Rozpaczliwe poszukiwania pożywienia przeszły w stadium zamieszek. Glass i Luke, zaopatrzeni w garść pakietów żywnościowych, zabarykadowali się w mieszkanku chłopaka, usiłując zignorować dźwięki docierające do nich z korytarza – okrzyki wściekłości sąsiadów walczących o dostęp do zapasów, histeryczne łkanie matek szukających zaginionych dzieci i wyczerpane, świszczące oddechy ludzi walczących o każdy oddech w powietrzu, które z każdą minutą zawierało mniej tlenu.

– Nie trzeba – odparła powoli Glass. – Mamy dosyć na kilka dni, a potem... – urwała, patrząc gdzieś przed siebie.

– Za dobrze ci wychodzi zachowywanie spokoju w stresującej sytuacji. Zaczynam się ciebie bać. Powinnaś wstąpić do straży – zażartował Luke i połaskotał ją pod brodą. Glass spojrzała na niego sceptycznie. – Poważnie! – zapewnił ją. – Zawsze uważałem, że

kobiety byłyby najlepszymi strażnikami. Szkoda, że żadna dziewczyna z „Feniksa” nigdy nie chciała zostać jedną z nas.

Glass wyobraziła sobie zaskoczenie Wellsa, gdyby zobaczył, jak wchodzi swobodnie do sali szkolenia oficerskiego, i uśmiechnęła się do siebie. Z początku byłby prawdopodobnie zbyt wstrząśnięty, żeby wydobyć z siebie chociaż słowo, ale potem na pewno by ją poparł. Przed spotkaniem Luke’a należał do najważniejszych osób w jej życiu – jedyny chłopak, który zawsze traktował ją poważnie i wierzył, że jej umiejętności wykraczają daleko poza układanie fryzury i flirtowanie. – Chciałabym kiedyś spróbować sił jako strażniczka... tylko żeby nikt nie kazał mi wychodzić w przestrzeń. – Jak zwykle, poczuła mdłości na samą myśl o braku grawitacji.

Luke odchrząknął. – Przecież wiesz doskonale, że nie każdemu to wolno – wyjaśnił uprzejmie. On sam należał do elitarnego korpusu inżynierskiego straży, którego członkowie przeprowadzali najważniejsze – i najbardziej niebezpieczne – naprawy statków. Doskonale pamiętała przerażenie, jakie przeżyła przed kilkoma dniami na widok Luke’a spacerującego w kosmicznej pustce i naprawiającego zepsutą służę. Przez dwadzieścia długich minut łączyła go ze statkiem tylko cienka linka. Linka i żarliwa modlitwa Glass.

– Nie mówiąc już o tym, jak przepięknie wyglądałabyś w mundurze. – Przymierzyc twój? – zapytała niewinnie.

Uśmiechnął się. – Może później. – Tu jego uśmiech zgasł jak zdmuchnięty płomień. Oboje wiedzieli, że nie będzie żadnego „później”.

Glass podniosła się z kanapy i odgarnęła długie włosy do tyłu.

– Chodź – powiedziała. – Mam pomysł, co zrobić na kolację.

– Naprawdę? A jaki mamy wybór? Pasta proteinowa sprzed dwóch dni albo sprzed trzech.

– Mówię poważnie. Niech to będzie coś wyjątkowego. Zjemy na talerzach!

Ziemskie wyroby były na „Waldenie” rzadkością, ale jeden z przodków Luke’a zabrał ze sobą na statek dwa piękne talerze, które jego rodzina pieczołowicie przechowywała przez setki lat.

Luke wahał się tylko przez ułamek sekundy.

– Świetny pomysł. Pójdę po nie.

Ścisnął ramię Glass i zniknął w pokoju, w którym ukrywał rodzinne skarby.

Glass weszła do malutkiej łazienki i spojrzała w ułamek lustra

wiszący nad umywalką. Kiedyś uważała, że jest stanowczo za małe, żeby dało się przed nim poprawić swój wygląd. Teraz była wdzięczna losowi, że nie musi oglądać się po trzech dniach w tym samym ubraniu. Przeczesała palcami włosy i zwilżyła twarz ciepłą wodą.

Wydawało jej się, że trwało to tylko chwilę, ale gdy wróciła do saloniku, stwierdziła, że pomieszczenie całkowicie się zmieniło, oświetlone migoczącymi płomieniami prawdziwych świec.

– Skąd je masz? – zapytała zaskoczona, podchodząc bliżej. Świeczki były rzadkim towarem w całej Kolonii, a co dopiero na „Waldenie”.

– Zachowałem na specjalną okazję – oznajmił Luke, wychodząc ze swojego pokoju. Kiedy wzrok Glass przyzwyczaił się do ciemności, zaparło jej dech w piersi. Luke przebrał się w ciemne spodnie i dopasowaną do nich marynarkę. Czyżby był to prawdziwy garnitur? Takie rzeczy rzadko pojawiały się na bazarze. Nawet na „Feniksie” było o nie trudno.

Glass знаła Luke’a w mundurze strażnika, trzymającego się prosto i oficjalnie. Widziała go też w cywilnych ciuchach, w których zachowywał się naturalnie, żartując i śmiejąc się głośno podczas gry w berka z dziećmi sąsiadów. W garniturze natomiast wyglądał równie poważnie jak w wojskowym uniformie, ale jednocześnie inaczej. Na pewno był bardziej odprężony.

– Teraz to ja jestem niewłaściwie ubrana – stwierdziła, skubiąc rękaw nieco już sfatygowanej sukienki.

Luke przechylił głowę na bok i przez dłuższą chwilę przyglądał się jej uważnie, po czym oznajmił: – Wyglądasz idealnie! – W jego głosie zabrzmiała nuta podziwu, która sprawiła, że Glass w duchu podziękowała mu za przyćmione światło świec skutecznie kamuflujące jej stare ubranie i nagły rumieniec.

Podeszła do niego i pogłaskała go po ramieniu.

– Skąd masz ten garnitur? – zapytała.

– Właściwie należał do Cartera.

Na dźwięk tego imienia Glass pospiesznie cofnęła dłoń, jakby tkanina ją oparzyła.

– Wszystko w porządku? – spytał Luke.

– Tak, dzięki – odparła szybko. – To dla mnie... niespodzianka. Carter nigdy nie wyglądał mi na faceta, który mógłby chodzić w garniturze – dodała.

Carter, starszy od Luke’a, zaopiekował się nim po śmierci matki. Twierdził, że uczynił to z dobrej woli, ale Glass zawsze podejrzewała, że raczej ze względu na dodatkowe punkty przydziału. Facet był

leniem, manipulantem i niebezpiecznym człowiekiem, pewnego dnia próbował nawet zgwałcić Glass. Mimo że Luke wcale nie był naiwny, wdzięczność wobec starszego kolegi czyniła go ślepy na jego wady. Glass nie potrafiła otworzyć mu oczu na to, jakim człowiekiem jest naprawdę jego opiekun.

Luke wzruszył ramionami.

– Rzeczywiście, nigdy go nie nosił. Kiedyś już w połowie miesiąca zabrakło mu punktów przydziału, więc kupiłem go od niego. Poszedł mi na rękę, przecież na bazarze dostałby za niego o wiele więcej.

„Nie, nie dostałby – pomyślała Glass. – Aresztowano by go za sprzedaż kradzionego garnituru”. Poczula jednak wyrzuty sumienia. Carter był łajdakiem, ale teraz już nie żył – stracony za przestępstwo, którego nie popełnił.

I była to jej wina.

Rok wcześniej Glass z przerażeniem odkryła, że jest w ciąży. Było to naruszenie surowego prawa Kolonii dotyczącego kontroli narodzin.

Za jego złamanie niepełnoletni byli Odosobniani... a pełnoletni – karani śmiercią.

Glass usiłowała ukryć swój stan, rozpaczliwie pragnąc ocalić Luke'a. Aresztowano ją jednak i zmuszono, by wyznała nazwisko ojca. Gdyby powiedziała prawdę, Luke – który miał już dziewiętnaście lat – zostałby skazany na śmierć. W panice zeznała więc, że ojcem jej dziecka jest Carter, człowiek, który przyprawiał ją o dreszcz obrzydzenia. Była przekonana, że prędzej czy później i tak zostałby aresztowany.

Luke o tym nie wiedział. Do niedawna Glass sądziła, że nikt na „Waldenie” nie ma pojęcia, dlaczego w środku nocy Cartera wywleczono z łóżka. Jednak przed dwoma dniami Camille, przyjaciółka i była dziewczyna Luke'a, zagroziła wyjawieniem tej tajemnicy, jeżeli Glass nie spełni jej żądań.

– To co, siądziemy do kolacji? – spytała słabym głosem, rozpaczliwie pragnąc zmienić temat.

Luke postawił talerze na stole, aż brzęknęły. – Podano do stołu!

Glass zauważyła, że nałożył jej dużo więcej pasty proteinowej niż sobie, chociaż i tak było jej śmiesznie mało. Miało to jednak również swoje plusy: mogła podziwiać sceny, którymi przyozdobiono talerze.

Na jednym z nich widać było panią i pana na tle wieży Eiffla, na drugim ta sama para spacerowała w parku z psem. Luke nie znał historii talerzy, ale Glass lubiła sobie wyobrażać, że para z obrazków dostała je w prezencie ślubnym i przywiozła do Kolonii jako rodzinne

pamiętki.

– Czy to nie dziwne, że tak się przygotowujemy do kolacji, mimo że do jedzenia jest tylko pasta proteinowa? – spytał Luke, nabierając porcję łyżką.

– Chyba nie. Wells czytał mi kiedyś książkę o słynnej morskiej katastrofie. Kiedy statek szedł na dno, wszyscy pasażerowie założyli najlepsze stroje i słuchali muzyki.

Glass była dumna, że zapamiętała ten szczegół z ziemskiej historii, ale Luke tylko się skrzywił. – Powinnaś zostać na „Feniksie” – powiedział cicho – tutaj znalazłaś się na tonącym okręcie.

„Walden” i „Arkadia” zostały odcięte od rezerw tlenu i skazane na zagładę, lecz „Feniks”, największy statek, wciąż miał spory zapas tego życiodajnego gazu. Tymczasem Glass uciekła z bezpiecznego miejsca, żeby zostać z ukochanym na „Waldenie”.

– Jak sądzisz, czy Camille udało się przejść? – spytał Luke, wyskrobując łyżką ostatki pasty z talerza.

Glass ledwie powstrzymała się od skrzywienia. Kiedy przekradła się na „Waldena”, Camille zażądała, żeby zdradziła jej, jak udało jej się przedostać ze statku na statek. Glass wahała się, wiedząc, że strażnicy najprawdopodobniej zastrzelą każdego waldenitę przemykającego potajemnie na „Feniksa” po zamknięciu rękawa między statkami. Wówczas Camille szeptem zagroziła, że powie Luke’owi o tym, kto wrobił Cartera w zbrodnię. Glass nie miała pojęcia, jak tamta poznała jej tajemnicę, ale nie to było najważniejsze. Pospiesznie poprowadziła Camille do tajnego tunelu wentylacyjnego łączącego „Waldena” z większą jednostką.

– Mam nadzieję, że tak – odpowiedziała na pytanie Luke’a, odwracając wzrok.

– Jeszcze nie jest za późno. Tobie też mogłoby się to udać – powiedział troskliwie. Błagał ją, żeby wróciła na „Feniksa” wraz z Camille, ale odmówiła. – Gdybyś tylko przedostała się z powrotem przez tunel...

Glass upuściła łyżkę na talerz z brzękiem.

– Nie – powiedziała nieco ostrzej, niż zamierzała. – Rozmawialiśmy już o tym.

Luke westchnął.

– No dobrze, a gdyby tak zrobić inaczej? – Otworzył usta, żeby wyjaśnić, co miał na myśli, napotkał wzrok Glass i wybuchnął zdławionym śmiechem.

– Co? – zapytała. – Co cię tak bawi?

- Spojrzałaś na mnie spode łba, zupełnie jakbyś się pogniewała! Glass wyprostowała się na krześle. – No cóż, zirytowałeś mnie i nie mam pojęcia, dlaczego uważasz to za takie śmieszne.
- Och, jestem przekonany, że dokładnie taką samą minę robiłaś w dzieciństwie, kiedy coś było ci nie w smak.
- Luke, przestań. Próbuję traktować tę sytuację poważnie.
- Ja też – powiedział, wstając z krzesła i podając jej rękę. – A może przeszłabyś przez tunel i rozejrzała się? Jeżeli w pobliżu nie będzie patroli, to mogłabyś wrócić i dać mi znać.
- Glass milczała przez chwilę, starając się poznać po minie Luke’a, czy mówi serio. Czy czasem nie próbuje w ten sposób skłonić jej do powrotu na bezpieczny pokład „Feniksa” tylko po to, żeby potem zamknąć tunel i na dobre odciąć jej drogę powrotną?
- A gdyby się dało, przeszedłbyś tam ze mną? – spytała w końcu.
- Luke skinął głową.
- Jeżeli przy wylocie tunelu nie będzie strażników, być może uda się nam przedostać do twojego mieszkania tak, żeby nikt nas nie zauważył. A potem... – zawiesił głos.
- Glass ścisnęła jego dłoń. Oboje wiedzieli, że przekradając się na „Feniksa”, odłożą tylko ostateczny koniec na później. Kolonia zaczęła się rozpadać i w końcu nawet tam zabraknie powietrza.
- Po dłuższej chwili Luke przerwał milczenie.
- Może zaczną wysyłać ludzi w lądownikach.
- Tak myślisz? Przecież nie wiadomo, czy to bezpieczne – odparła Glass. Kolonia straciła kontakt z setką młodocianych przestępców, którzy zostali posłani na Ziemię, żeby na własnej skórze sprawdzić, czy poziom promieniowania spadł do bezpiecznych wartości.
- Dokładnie rzecz biorąc, z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma, ponieważ Glass uciekła z lądownika i przekradła się z powrotem do Kolonii. Poczowała wyrzuty sumienia na myśl o Wellsie, który także znalazł się wśród zesańców. Zawsze marzył, by polecieć na Ziemię – pamiętała, jak bawili się na sali gimnastycznej w gladiatorów, kiedy akurat fascynował go Rzym, albo jak udawała goryla ludożercę podczas zabawy w badaczy dżungli za biurkiem jego ojca.
- Miała nadzieję, że Wells jeszcze żyje, nie pożarły go żadne goryle ani też nie umiera powoli na chorobę popromienną. Miała nadzieję, że zesańcom w ogóle udało się wylądować.
- Nie pozostało im już nic innego – powiedział sucho Luke. Odnalazł jej wzrok. – Powinnaś była zostać w lądowniku, może wtedy miałabyś jakąś szansę.

- Tak myślałam, ale okazało się, że zostawiłam tu coś ważnego. Luke przesunął palcem po łańcuszku z wisiorem, który dostała od niego w prezencie na rocznicę ich związku. – Oczywiście. Nie mogłaś lecieć na Ziemię bez biżuterii.
- Glass uderzyła go żartobliwie w ramię.
- Wiesz, o czym mówię!
- Roześmiał się
- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak gniewasz się na mnie na Ziemi.
- Czy to jedyna rzecz, której nie możesz się doczekać?
- Nie – dłoń Luke’a objęła jej kark. Pochylił się i delikatnie ją pocałował. – Mam nadzieję, że jest tego dużo, dużo więcej.

ROZDZIAŁ 4

Wells

Nie mieli zegarków, więc w nocy Wells musiał zgadywać, która jest godzina, żeby obudzić zmienników. Sądząc po bólu nóg, patrolował polanę przynajmniej przez cztery godziny. Kiedy jednak poszedł po Erica, znalazł go skulonego obok Feliksa z tak rozanieloną miną, że nie miał serca im przeszkadzać.

Jęknął cicho, przeciągnął się i przełożył włócznie z ręki do ręki. Jako broń wydawała mu się śmieszna. Strzała, którą zabito Ashera, została wystrzelona ze śmiertelnie precyzyjną. Gdyby Ziemianie powrócili i obrali go sobie za cel, nie miałby najmniejszych szans.

– Wells? – zawołała jakaś dziewczyna.

Obrócił się, wyciągając wzrok w ciemności. – Priya? To ty?

– Nie... – w głosie dziewczyny usłyszał nutę urazy. – To ja, Kendall.

– Przepraszam – odparł Wells. – Co się dzieje? Wszystko w

porządku?

– O tak, w najlepszym porządku! – odpowiedziała radośnie. Zbyt radośnie jak na środek nocy. Na szczęście było zbyt ciemno, żeby zauważyła skrzywioną minę Wellsa. – Pomyślałam sobie, że dotrzymam ci towarzystwa.

Ostatnią rzeczą, jakiej sobie teraz życzył, były pogaduszki z kimkolwiek.

– Dzięki, ale właśnie zaraz zmienia mnie Eric – zełgał. Mimo ciemności mógł wyczuć rozczarowanie Kendall. – ...choć to bardzo miło z twojej strony, że o mnie pomyślałaś. Wracaj teraz spać, zanim ktoś zajmie twoje miejsce.

Kendall westchnęła niemal bezgłośnie, odwróciła się i powlokła w kierunku chaty. Wells usłyszał jeszcze stuknięcie zamykanych drzwi i ponownie skupił uwagę na linii drzew. Był tak zmęczony, że tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywał się od zamknięcia oczu.

Nieco później – po kilku minutach, a może godzinie? – ktoś wyłonił się z cienia. Wells mrugnął, spodziewając się, że postać zniknie, ale najwyraźniej nie miała takiego zamiaru. Raptownie oprzytomniał, podniósł włącznie i już otworzył usta, by krzyknąć ostrzegawczo, gdy rozpoznał przybysza i słowa zamarły mu na ustach.

Bellamy szedł chwiejnie ku obozowisku, niosąc w drżących ramionach bezwładną dziewczynę. Przez moment Wells myślał, że to Octavia, ale nawet w ciemności rozpoznał grzywę zmierzwionych, rudozłotych włosów. Poznałby je zawsze i wszędzie.

Ruszył biegiem i dotarł do nich w chwili, kiedy Bellamy opadł na kolana. Łapał powietrze krótkimi, urywanymi haustami, ale utrzymał Clarke w ramionach wystarczająco długo, żeby Wells zdążył ją wziąć od niego.

– U... U... – dyszał zmachany chłopak, opierając się na ręce. W końcu opanował oddech na tyle, by wydusić z siebie: – Ugryzł ją wąż! Wells nie słuchał dalej. Z Clarke na rękach ruszył do chaty szpitalnej. Ciasne wewnątrz wypełniali śpiący ludzie – kilkoro z nich skuliło się na pryczach i kocach.

– Ruszać się! – ryknął Wells, nie zważając na obrażone pomruki i protesty zaspanych. – Już!!!

– Co się stało? Wrócili?

– Czy to Ziemianie? – jęknął ktoś z ciemności.

– Nie, to Clarke! Co się z nią stało?

Wells, nie zwracając na nikogo uwagi, położył dziewczynę na jednej z opróżnionych prycz. Głowa opadła jej bezwładnie na bok.

– Clarke – zawołał, gwałtownie wciągając powietrze, i delikatnie potrzęsnał jej ramieniem. – Clarke!

Klęknął i zbliżył twarz do jej ust. Oddychała, ale ledwo, ledwo.

Do chaty wpadł Bellamy.

– Wyrzuć ich stąd! – rozkazał mu Wells, wskazując zaspane dzieciaki, które przestępowały z nogi na nogę, gapiąc się nieprzytomnie na Clarke.

Bellamy zagonił całą grupkę do wyjścia.

– Wynosić się, wszyscy! – zarządził bezceremonialnie głosem rwącym się z wyczerpania. Kiedy ostatnie postacie zniknęły za drzwiami, odwrócił się do Wellsa, gorączkowo przeszukującego zapasy lekarstw.

– Jak mogę pomóc? – zapytał.

– Pilnuj jej – odparł Wells, przerzucając bandażę oraz fiołki, a jednocześnie modląc się w myślach, żeby znalazła się między nimi antytoksyna... i żeby rozpoznał ją wśród innych buteleczek.

Przeklinał sam siebie, że nie uważał na lekcjach biologii i słuchał Clarke jednym uchem, kiedy opowiadała o studiach medycznych. Za bardzo fascynował go ogień, jaki pojawiał się w jej oczach, gdy mówiła o stażu. Teraz zaś groziło mu, że ogień ten zgaśnie na zawsze.

– Pospiesz się! – dobiegł go głos kolegi. Wells obrócił się i zobaczył, że Bellamy klęczy obok Clarke, odgarniając włosy z jej bladej twarzy. Na ten widok Wells wściekł się tak samo jak wówczas, gdy ci dwoje całowali się w lesie.

– Nie dotykaj jej – powiedział tak ostrym tonem, że aż się wzdrygnął.
– Daj... daj jej oddychać.

Bellamy skrzyżował z nim spojrzenie i rzucił gniewnie:

– Nie poodycha sobie za długo, jeżeli jej nie pomożemy!

Wells odwrócił się znów do skrzyni z lekarstwami, najwyższym wysiłkiem woli zachowując spokój. W końcu znalazł jasnopomarańczową fiołkę i ulga o mało nie zwała go z nóg.

Kilka lat wcześniej grupa naukowców w Sali Edenu przedstawiła wyniki badań. Ogłosili, że wynaleźli uniwersalne antidotum, lekarstwo, które stwarzało kolonistom szansę przeżycia na Ziemi – gdyby kiedyś chcieli na nią wrócić. Z jednej strony ludzie przez wieki utracili część naturalnej odporności, z drugiej – rośliny i zwierzęta mogły zmutować tak, że znane lekarstwa nie neutralizowałyby już ich jadu. Przez chwilę Wells poczuł się, jakby słuchał tego wykładu wieki temu, zanim jeszcze spotkał Clarke, zanim wicekanclerz zmusił jej

rodziców, by badali efekty promieniowania na ludziach. Poszedł wtedy do Sali Edenu tylko dlatego, że należało to do jego obowiązków jako syna kanclerza. Nigdy nie sądził, że kiedykolwiek postawi stopę na Ziemi, a co dopiero, że będzie musiał użyć tego antidotum, by ocalić dziewczynę, którą kocha.

Zacisnął zęby, napełnił strzykawkę lekarstwem i zbliżył ją do błękitnej żyły na ramieniu Clarke. Nagle zamarł, niepewny, czy na pewno robi to dobrze. A jeśli nieumiejętnie nabrał płynu i teraz wstrzyknie jej śmiertcionośny bąbel powietrza?

– Daj mi strzykawkę! – warknął Bellamy. – Ja to zrobię.

– Nie – odparł Wells z determinacją. Nigdy by tego nie przyznał, ale nie zniósłby myśli, że to jego rywal ocalił dziewczynę. Wystarczyło, że to przez niego, Wellsa, zesłano ją na Ziemię. Nie miał zamiaru dopuścić, żeby przez niego umarła.

Jednym zdecydowanym ruchem wbił igłę strzykawki w żyłę i nacisnął tłoczek. Antidotum powoli zniknęło.

– Clarke – wyszeptał, chwytając jej dłoń. – Słyszysz mnie? – Splótł jej palce ze swoimi i zamknął oczy. – Proszę. Zostań ze mną.

Przez chwilę siedział w milczeniu, trzymając dziewczynę za rękę.

– Dzięki Bogu – westchnął za nim Bellamy.

Wells podniósł wzrok i zobaczył, że powieki Clarke otwierają się z drżeniem. Odetchnął z ulgą tak potężną, że aż się zachwiał.

– Dobrze się czujesz? – zapytał łamiącym się głosem.

Mrugnęła, zdezorientowana. Wells pomyślał, że teraz wszystko sobie przypomni i twarz stężeje jej z nienawiści, ale ona znów zamknęła oczy i uśmiechnęła się słabo.

– Znalazłam... – wymamrotała.

– Co znalazłaś? – spytał, ściskając jej dłoń.

– Nie miałam po... – dziewczyna przerwała w pół słowa i zasnęła. Jej pierś unosiła się i opadała w normalnym oddechu.

Wells podniósł się, ściągnął koc z pobliskiej pryczy i delikatnie przykrył nim Clarke. Bellamy stał za nim sztywno, z oczami utkwionymi w skulonej postaci dziewczyny, która – mimo ogromnej wewnętrznej siły – podczas snu zawsze wyglądała na młodszą i bardziej kruchą.

Wells odchrząknął.

– Dziękuję – powiedział, wyciągając dłoń. – Za to, że ją przyniosłeś.

Tamten skinął powoli głową, wciąż wstrząśnięty.

– Tak się martwiłem. Myślałem... – przesunął dłonią po swojej głowie, po czym usiadł na ziemi, plecami do pryczy, na której leżała Clarke.

Wells zmarszczył brwi na widok tego zaborczego gestu, ale po namyśle nic nie powiedział. Mimo że był wdzięczny za przyniesienie ukąszonej dziewczyny do obozu, odczuwał fizyczny ból, gdy zaczynał sobie wyobrażać, co Bellamy mógł z nią robić przez ostatnie dwa dni.

Westchnął i usiadł na ziemi.

– Jak sądzę, to oznacza, że nie znalazłeś Octavii?

– Nie. Znaleźliśmy trop, ale wyglądał... dziwnie – odparł głucho Bellamy, nie podnosząc głowy. – Ślady świadczyły o tym, że nie biegła, raczej... jakby ktoś ją ciągnął.

– Ciągnął? – zdziwił się Wells. Fragmenty układanki wpadały na swoje miejsce, a obraz całości zaczynał go coraz bardziej martwić. – Nie wierzę... Porwali ją!

– Porwali? – Bellamy błyskawicznie uniósł głowę. – Kto?!

Wells zrelacjonował, co ostatnio zaszło w obozie: atak z zaskoczenia, śmierć Ashera i niezaprzeczalny dowód, że na Ziemi są jeszcze inni ludzie.

Zapadło milczenie. Kiedy Bellamy w końcu odezwał się, w jego głosie brzmiała wściekłość.

– Uważasz, że porwali Octavię w czasie pożaru?

Wells skinął głową.

– A kim są ci ludzie? Jak przeżyli kataklizm? I czego do cholery chcą od mojej siostry?

– Nie wiem. Może bronią swojego terytorium? Może porwanie Octavii było ostrzeżeniem, a potem, kiedy zobaczyli, że nie mamy zamiaru odejść, zabili Ashera, żeby pokazać, że nie żartują? Bellamy gapił się na rozmówcę przez dłuższą chwilę.

– Aha. Czyli sądzisz, że wrócą?

Wells już otworzył usta, żeby udzielić wymijającej odpowiedzi, tej samej, jaką dawał innym, żeby zapobiec wybuchowi paniki. Kiedy jednak napotkał wzrok Bellamy'ego, zrezygnował z wygłaszania komunałów. – Tak. Jestem przekonany, że wrócą – rzekł, po czym opowiedział o obsesji Grahama na punkcie uzbrojenia zesańców, co na pewno doprowadzi do tego, że zginie jeszcze więcej ludzi.

– Wygląda na to, że dla was te ostatnie dni też nie były łatwe – skomentował Bellamy. Spojrzał przez ramię, sprawdzając, jak czuje się Clarke. Dziewczyna nie poruszyła się, ale leżała spokojnie, oddychając miarowo. – Powinieneś odpocząć. Będę miał oko na Śpiącą Królową i dam ci znać, jeżeli coś się zmieni.

Coś w tonie Bellamy'ego sprawiło, że Wells poczuł się urażony.

– Czuję się dobrze – odparł. – I tak muszę zostać na straży, ale ty

powinieneś się położyć. Wyglądasz na wyczerpanego.
Patrzyli na siebie nawzajem bez słów, aż Bellamy przeciągnął się i stęknął.

– No to sobie tu posiedzimy we dwóch.

Trwali tak w milczeniu, unikając nawzajem swojego wzroku, spoglądając tylko na Clarke za każdym razem, kiedy przewróciła się z boku na bok czy westchnęła przez sen. Mijały kolejne godziny, kilka osób próbowało wrócić do namiotu szpitalnego, ale Wells stanowczo je wyprosił. W chacie było dość miejsca dla wszystkich, ale nie chciał ryzykować, że ktoś lub coś przeszkodzi Clarke w dojściu do siebie. Przez szczeliny w ścianach wpadało już światło słońca, kiedy głośny łomot obudził go z półsnu. Skoczył na równe nogi. Bellamy również uniósł głowę. – Co się dzieje? – zapytał niewyraźnie. Wells pospieszył na zewnątrz, nie siląc się na odpowiedź.

Na polanie panowała cisza i spokój. Ludzie, których wyrzucił z chaty szpitalnej, dołączyli do innych wokół ogniska. Wyglądało na to, że wszyscy jeszcze smacznie śpią.

Wells zaczął się odwracać, a wówczas jego wzrok przyciągnął ruch gdzieś u brzegu polany. Ktoś wyskoczył zza drzewa i zniknął w lesie – niska, szczupła postać, cała w czerni.

Niewiele myśląc, Wells ruszył za nią biegiem, niemal frunąc nad nierówną, pełną poskręcanych korzeni powierzchnią gruntu. Zbliżył się do intruza i rzucił na niego z krzykiem, który zmienił się w głucho stęknienie, kiedy tamten kopnął go kolaniem w żołądek. Wells zdołał jednak przewrócić przeciwnika i przycisnąć go do wilgotnej ziemi.

Złapał jednego z tamtych – jednego z Ziemiaków!

Emocje wzięły górę. Dopiero po dłuższej chwili był w stanie zebrać myśli i przyjrzeć się osobie, którą unieruchomił. Ze szczupłej twarzy patrzyły na niego z furią zielone oczy.

To była dziewczyna.

ROZDZIAŁ 5

Bellamy

Na Bellamym nie zrobiło wrażenia, że złapany Ziemianin okazał się dziewczyną. Szpiegową. Była ich wrogiem – jednym z ludzi, którzy zabili Ashera i porwali Octavię.

W jej oczach błyszczał strach, a czarne włosy opadły jej na twarz, gdy próbowała się uwolnić od uścisku. Bellamy, który klęczał obok Wellsa, tylko chwycił ją mocniej za ramię. Nie mogli pozwolić, by uciekła, zanim im nie zdradzi, dokąd zabrano Octavię.

Pomógł Wellsowi podnieść dziewczynę na nogi i szarpnął ją ku sobie.

– Gdzie ona jest! – wrzasnął. Przysunął twarz tak blisko twarzy pojmanej, że jego oddech rozwiewał jej włosy. – Dokąd zabraliście moją siostrę?!

Dziewczyna skrzywiła się tylko, lecz nic nie powiedziała.

Bellamy wykręcił jej ramię za plecami, tak samo jak chłopakom w centrum opieki, których przyłapał na dokuczaniu Octavii. – Albo powiesz natychmiast, gdzie ona jest, albo nigdy nie wrócisz tam, skąd przysłaś!

– Bellamy – zaproponował ostro Wells. – Uspokój się. Nie mamy pewności, czy ta dziewczyna ma coś wspólnego z...

– O nie, na pewno nie ma nic wspólnego! – przerwał mu ironicznie Bellamy. Złapał ją za włosy i przekręcił jej twarz ku sobie. – Gadaj, co wiesz, albo zrobi się bardzo nieprzyjemnie, i to szybciej, niż myślisz.

– Dość tego! – wycedził Wells. – Na razie nie wiemy nawet, czy mówi po angielsku. Zanim cokolwiek zdecydujemy, musimy...

I znów mu przerwano. Tym razem jego słowa zagłuszyły okrzyki osób zwabionych hałasem.

– Złapałeś jednego z nich! – stwierdził z niechętnym podziwem Graham, przepychając się przez tłum.

– Czy ona pochodzi z Ziemi? – spytała jedna z waldenitek.

– Potrafi mówić? – zaciekała się inna.

– To pewnie mutantka. Od samego dotyku można złapać chorobę popromienną – ostrzegł wysoki chłopak z „Arkadii”, wyciągając szyję, by lepiej widzieć całą scenę.

Bellamy'ego nie obchodziło, czy dziewczyna jest radioaktywna, a nawet czy ma skrzydła. Interesowało go tylko, dokąd zabrano jego siostrę.

- Co z nią zrobimy? – zapytała jedna z kolonistek, niezdecydowanie przekładając włócznię z ręki do ręki.
- Zabijemy ją – stwierdził Graham takim tonem, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie. – A potem nadziejemy jej głowę na czubek włóczni, żeby pokazać pozostałym Ziemianom, co robimy z ludźmi, którzy chcą nas zastraszyć.
- Nic z tego, dopóki sobie z nią nie porozmawiam – warknął Bellamy. Dziewczyna zmrużyła oczy, kiedy znów się do niej zbliżył. Zamachnęła się nawet kolaniem, próbując go kopnąć, ale odskoczyła na bok.
- Odsuń się, Bellamy – nakazał Wells, usiłując utrzymać więźnia bez ruchu.
- Chcesz się z nią najpierw troszkę zabawić? – zadrwił Graham. – Nie potrafię zrozumieć, jak dobierasz sobie laski, kanclerzyku, ale pewnie masz swoje potrzeby, jak każdy.
- Wells zignorował go i poprosił jednego z waldenitów o linę.
- Zwiążemy ją i zamkniemy w szpitalu, a potem zdecydujemy, co dalej z nią zrobić – oznajmił.
- Wściekły Bellamy spojrzał na niego spode łba. Nie podobał mu się pomysł Wellsa. Im dłużej będą tu stać, tym dalej porywacze zawloką Octavię.
- Musi nam powiedzieć, gdzie mogę znaleźć moją siostrę – zawołał prowokacyjnie.
- Wells zachowuje się, jakby decyzja należała do niego! W naturalny sposób zaczął obejmować przywództwo, co niezbyt obchodziło Bellamy'ego. Lepiej on niż Graham, ale nie oznacza to, że wolno mu decydować, co zrobić z pojmaną dziewczyną – jedynym ogniwem prowadzącym do siostry.
- Nadbiegł arkadyjczyk z linką. Wells skrępował dziewczynie ręce za plecami, a potem luźno związał jej stopy, by mogła chodzić małymi kroczkami. Zrobił to szybko i sprawnie, aż obserwujący jego ruchy Bellamy uprzytomnił sobie, że Wells nie jest wcale rozpieszczonym chłopczykiem z „Feniksa” – przed aresztowaniem przeszedł szkolenie oficera straży. Dłonie Bellamy'ego zacisnęły się w pięści.
- Zróbcie przejście! – zawołał Wells, eskortując złapaną Ziemiankę do chaty. Długie, czarne włosy odsłoniły teraz twarz i Bellamy mógł po raz pierwszy obejrzeć ją na spokojnie. Dziewczyna była mniej więcej w wieku Octavii. Miała zielone, lekko skośne oczy.
- Najdziwniejszą rzeczą nie była jednak wcale czarna czupryna. Bellamy zdał sobie sprawę, że jej skóra wygląda jakoś nietypowo.

Wśród kolonistów spotykało się rozmaite typy i odcienie, ale podczas pierwszego tygodnia na Ziemi wszyscy zesłańcy zdążyli się nieźle opalić, zanim Clarke poradziła im, żeby ograniczyli kontakt ze słońcem. Skóra dziewczyny natomiast nie była spalona, miała jedwabisty połysk, a na jej policzkach widniała masa piegów. W przeciwieństwie do kolonistów spędziła życie w naturalnym świetle słońca.

Wściekłość ustąpiła miejsca przerażeniu. Walcząc z mdłościami, Bellamy wyobraził sobie, jak Ziemianie traktują Octavię. Czy również ją związali? Zamknęli w jaskini? Przecież źle znosiła zamknięcie. Czy się bała? Czy płakała za bratem? W tym momencie był gotów wyjąć siekierkę i odrąbać sobie prawą dłoń, gdyby miało to pomóc siostrze.

Poszedł za Wellsem i dziewczyną do chaty szpitalnej, teraz opustoszałej. Jediną osobą wewnątrz była pogrążona we śnie Clarke. Wells kazał Ziemiance usiąść na pryczy, sprawdził więzy na jej nadgarstkach, po czym cofnął się o krok, mierzając ją baczным spojrzeniem z miną, której musieli uczyć podczas szkolenia oficerskiego.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

Zerknęła na niego złowrogo i spróbowała wstać, ale związane ręce jej to utrudniały. Wells z łatwością popchnął ją z powrotem na pryczę i kontynuował przesłuchanie.

– Rozumiesz, co mówię?

Przez furie zaćmiewającą Bellamy'emu umysł przedarła się niewygodna myśl: A może ona nie mówi po angielsku? Wylądowali w Ameryce Północnej, lecz nie oznaczało to, że Ziemianie mówią tym samym językiem co przed trzystu laty.

Wells klęknął i spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

– Nie wiedzieliśmy, że ktoś tutaj przeżył. Jeżeli w jakikolwiek sposób was obraziliśmy, przepraszamy, ale...

– Przepraszamy? – zapienił się Bellamy. – Porwali moją siostrę! Zabili Ashera! Ja tam za nic nie przepraszam!

Wells posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, a potem obrócił się z powrotem do Ziemi.

– Musimy wiedzieć, dokąd zabraliście naszą przyjaciółkę. Zostaniesz tu, dopóki nie udzielisz nam potrzebnych informacji.

Dziewczyna obróciła się ku niemu, ale zamiast odpowiedzieć, zacisnęła usta i łypnęła na niego ponuro.

Wells wstał, potarł czoło ruchem świadczącym o frustracji, i podszedł do wyjścia.

– I co? To wszystko? Tak ma wyglądać to twoje przesłuchanie? – zapytał na wpół osłupiały, na wpół wściekły Bellamy. – Wiesz, co robił twój ojciec i jego kolesie z rady, kiedy chcieli wyciągnąć od kogoś jakąś informację?

– Tutaj nie będziemy załatwiać spraw w taki sposób! – odparł Wells z irytującą świętoszkowatością. Tak jakby połowa ludzi z obozu nie była kiedyś przesłuchiwana przez strażników jego ojca! Podszedł do pryczy Clarke, poprawił jej koc i skierował się ku drzwiom.

– Masz zamiar tak ją tu zostawić? – spytał Bellamy z niedowierzaniem, przenosząc wzrok od Wellsa do pojmanej dziewczyny.

– Przez całą dobę przed chatą będą stać strażnicy. Nie martw się, nie ucieknie.

Bellamy podszedł bliżej. – Taa, pewnie, że nie ucieknie, do cholery.

Zostaję z nią tutaj... Z nimi obiema! – Wskazał śpiącą Clarke. –

Pewnie myślisz, że to świetny pomysł, zostawić ją tutaj z morderczynią?

Wells wytrzymał spojrzenie rozmówcy.

– Jest związana. Nikogo nie skrzywdzi.

Protekcjonalny ton mocno wkurzył Bellamy'ego.

– Nie wiemy nic o tych ludziach! – wypalił. – Nie mamy pojęcia, czy nie są mutantami. Pamiętasz dwugłowego jelenia?

Wells potrząsnął głową.

– Ależ ona jest człowiekiem, Bellamy, nie jakimś potworem.

Tamten parsknął gniewnie i zerknął na dziewczynę. Patrzyła wielkimi oczami to na jednego, to na drugiego z nich.

– Wszystko jedno. Poczuję się lepiej, jeśli osobiście będę miał na nią oko – rzucił już łagodniej. Wiedział, że Wells nie pozwoliłby mu tu zostać, gdyby podejrzewał, że skrzywdzi Ziemiankę.

– Świetnie – Wells ostatni raz spojrzął na Clarke, a potem jeszcze raz zwrócił się do kolegi: – Daj jej teraz spokój. Za chwilę wracam.

Bellamy usiadł na ziemi obok Clarke. Związana dziewczyna przesunęła się na pryczy tak, by patrzeć w inną stronę, ale napięcie jej ramion zdradzało Bellamy'emu, że doskonale zdaje sobie sprawę z każdego jego ruchu.

„Bardzo dobrze”, pomyślał. Niech się go boi. Im bardziej będzie przerażona, tym większa szansa, że powie im, gdzie szukać Octavii. Miał zamiar odnaleźć siostrę bez względu na cenę. Przez piętnaście lat ryzykował życie, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, i nie widział powodu, dla którego miałby teraz przestać.

Bellamy uwielbiał ceremonię pamięci. Nie dlatego, żeby szczególnie podobało mu się przynudzanie wychowawców z centrum opieki o tym, jakie mają szczęście, że ich przodkom udało się polecieć w kosmos. Gdyby praprapradziadek Bellamy'ego dowiedział się – jeszcze na Ziemi – że jego potomkowie będą mieli zaszczyt szorowania kibli w latającej puszczy wypełnionej sztucznie odświeżanym powietrzem, prawdopodobnie powiedziałby: „Wiecie co, chłopaki, zostaję tutaj”. Nie, Bellamy wyczekiwał ceremonii pamięci z utęsknieniem dlatego, że wtedy wszystkie pokłady pustoszały, a on mógł swobodnie zająć się buszowaniem po magazynach.

Wszedł za stary generator ustawiony niedbale pod ścianą. W takich miejscach można było znaleźć cenne przedmioty, od dziesięcioleci czekające na odkrycie. Podczas poprzedniej ceremonii pamięci w skrzyni na pokładzie C wpadł mu w ręce nowiutki scyzoryk. Teraz uśmiechnął się, gdy jego palce trafiły na coś miękkiego, i wyciągnął kawałek różowego materiału. Szalik? Strzepnął nim energicznie, nie zważając na obłok kurzu, jaki się przy tym poniósł. To był różowy kocyk z nieco ciemniejszym wykończeniem po bokach. Bellamy złożył go starannie i wsunął za pazuchę.

W drodze powrotnej do centrum opieki zastanawiał się, czy nie sprezentować go Octavii. Ostatnio przeniesiono ją z mniejszej sypialni dla pięcio- i sześciolatków do większego pomieszczenia dla starszych dziewczynek. Owszem, lubiła, kiedy traktowano ją jak dorosłą, ale nowa sypialnia przerażała ją. Być może dzięki kocykowi łatwiej byłoby się jej przyzwyczaić do nowego miejsca?

Lecz kiedy sięgnął ręką, by poprawić znalezisko pod pachą, miękkość wełny uświadomiła mu, że kocyk jest zbyt cenny, by go zatrzymać. Życie w centrum opieki bywało trudne. Teoretycznie żywność była rozdzielana równo, ale dzieciaki same stworzyły skomplikowany system dystrybucji oparty na przekupstwie i zastraszaniu. Gdyby nie pomoc brata, zapewne Octavia byłaby stale głodna. Bellamy wymieniał znaleziska na punkty przydziału albo wręczał obsłudze kuchni jako łapówki za dodatkowe porcje dla siostry. Przez ostatnie pięć lat radził sobie z tym całkiem nieźle, toteż Octavia nigdy nie miała ponurej, głodnej miny, tak często spotykanej u dzieciaków z centrum opieki.

Prześlizgnął się przez rzadko używany właz serwisowy i ukrył kocyk tam gdzie zawsze, w schowku w ścianie, tuż nad podłogą. Wróci tu wieczorem, wydobędzie znalezisko i przehandluje na czarnym rynku.

Ciemne, wąskie korytarze wciąż były puste, co oznaczało, że wszyscy mieszkańcy tłoczyli się na ceremonii pamięci, po raz kolejny wysłuchując wykładu na temat kataklizmu i choroby popromiennej.

Bellamy skręcił za róg. Ku jego zdumieniu z sypialni dziewcząt dochodził jakiś hałas: wysoki śmiech, który jednak nie był na tyle głośny, by zagłuszyć dźwięk – płaczu? Przyspieszył kroku i wpadł do środka bez pukania. Długi pokój był niemal pusty, a na jego końcu stało w kole kilka starszych dziewczyn, tak zaabsorbowanych tym, co się działo, że nie zauważyły jego wejścia.

Wysoka blondynka trzymała w powietrzu jakiś przedmiot, chichocząc, gdy ktoś mniejszy wyciągał z dołu rączkę w daremnych próbach złapania go. Octavia. Mimo marnego oświetlenia Bellamy dostrzegł jej wielkie oczy i mokre od łez policzki pomiędzy sylwetkami prześladowczyń.

Zabrały jej czerwoną wstążkę, tę, którą codziennie nosiła we włosach.

– Oddajcie! – błagała wzruszającym głosem.

– Dlaczego? – drażniła się z nią jedna ze starszych dziewcząt. – Wyglądasz w niej jak idiotka. Naprawdę chcesz tak wyglądać?
– No pewnie – rzuciła inna. – To dla twojego dobra. Teraz ludzie nie będą już pytali: „Kim jest ta dziwaczka z obrzydliwą wstążką?”.
Dziewczyna, która trzymała ozdobę, przyjrzała się jej z fałszywą troską.

– Myślę, że to nie jest prawdziwa wstążka. Wyciągnęłaś ją z worka na śmieci czy innego wstrętnego miejsca.
Jej przyjaciółka zachichotała. – To dlatego śmierdzi jak zsypana na śmieci...

– A ty będziesz śmierdzieć zgnilizną, kiedy znajdą twoje ciało! – przerwał jej Bellamy, rzucając się i wrywając jej wstążkę z dłoni.
Rozepchnął dziewczyny i ukląkł przy Octavii.

– Wszystko w porządku? – Wytarł jej łzy z policzków.

Pociągnęła nosem i skinęła głową. Wręczył jej wstążkę, którą złapała kurczowo, jakby była żywa i w każdej chwili mogła uciec.

Bellamy wstał, położył dłoń na ramieniu siostry i obrócił się do dziewczyn. Twardym głosem oznajmił:

– Jeżeli jeszcze raz usłyszę, że ją zaczepialiście, pożałujecie, żeście się urodziły.

Dwie z nich popatrzyły po sobie nerwowo, ale blondynka uniosła brew i uśmiechnęła się ironicznie.

– Nie powinno jej tu być. Marnuje tylko tlen. Urodziła się, bo wasza

głupia matka się puściła. Ta twoja siostrzyczka – wymówiła to słowo, jakby było obelgą – też wyrośnie na puszczałką.

Mięśnie Bellamy'ego zareagowały, zanim zrobił to mózg. Bez namysłu chwycił dziewczynę za gardło i popchnął pod ścianę.

– Jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mojej siostry... albo na nią spojrzysz, zabiję cię – syknął przez zaciśnięte zęby. Zacisnął palce, owładnięty nagłą chęcią uciszenia jej na dobre.

Usłyszał, że gdzieś daleko ktoś krzyknął. Puścił dziewczynę i zatoczył się, kiedy odciągano go od ofiary.

Bellamy nie po raz pierwszy został odesłany do gabinetu dyrekcji, ale nigdy przedtem nie kłął po drodze tak głośno i kwiecicie. Ochroniarz,

który złapał go w sypialni, popchnął go teraz na krzesło i kazał poczekać na panią dyrektor. – I nie ruszaj jej! – dodał, wskazując na dziewczynę siedzącą naprzeciwko Bellamy'ego.

Chłopak skrzywił się z wściekłością. Ochroniarz przesunął dłonią po skanerze, poczekał, aż otworzą się drzwi, po czym wyszedł na zewnątrz. Bellamy'emu wpadło do głowy, że ma okazję uciec. Czy próba uduszenia tej szmaty, która dręczyła jego siostrę, mogła zostać zakwalifikowana jako pogwałcenie prawa? Dostał już tyle ostrzeżeń, że tym razem pani dyrektor prawdopodobnie spisze raport, który skończy się Odosobnieniem... A kiedy go zamkną, kto zadba o Octavię? Lepiej zostać tutaj i próbować się bronić.

Spojrzał na dziewczynę. Miała chyba tyle samo lat co on, ale nie widział jej nigdy wcześniej. Musiała przybyć do centrum niedawno. Siedziała z podkulonymi nogami, bawiąc się nerwowo guzikami bluzy.

Falujące blond włosy były czyste i lśniące. Bellamy poczuł nieoczekiwane ukłucie żalu, wyobrażając sobie, jak dziewczyna czesze je we własnym pokoju po raz ostatni przed podróżą do tego piekła dla dzieci.

– Co przeskrobałeś? – zapytała, przerywając tok jego myśli. Jej głos był lekko zachrypnięty, tak jakby używała go dawno temu – albo jakby ostatnio płakała. Zastanawiał się, jak tu wylądowała. Czy jej rodzice zmarli? A może popełnili jakieś przestępstwo i skończyli w próżni?

Nie było sensu kłamać.

– Zaatakowałem dziewczynę – powiedział beztroskim tonem, którego zazwyczaj używał, opowiadając o swoich nierozważnych uczynkach.

Jego rozmówczyni zmrużyła oczy, więc postanowił dodać więcej szczegółów. – Próbowała skrzywdzić moją siostrę.

Otworzyła oczy szeroko.

– Twoją... siostrę? – Zabrzmiało to inaczej niż w ustach tamtej

blondynki. Tak jakby dziewczyna mówiła o cennym, rzadkim klejnocie. Tak, musiała być tu nowa. Wszyscy w centrum opieki wiedzieli o więzach łączących go z Octavią. Kodeks Gai – surowe prawo dotyczące kontroli urodzin – sprawił, że w ostatnim pokoleniu nikt poza nim w Kolonii nie miał rodzeństwa.

– No, dokładnie rzecz biorąc, to moja przyrodnia siostra, ale nie mam nikogo innego z rodziny. Nazywa się Octavia – uśmiechnął się, tak jak za każdym razem, kiedy wymawiał jej imię. – A ty pewnie dopiero co tu trafiłaś?

Skinęła głową.

– Jestem Lilly.

– Ładne imię. – Bellamy zarumienił się, słysząc ten banał. – A ja Bellamy.

Próbował wymyślić jakąś błyskotliwą uwagę, która dowiodłaby, że nie jest kompletnym kretynem, wówczas jednak drzwi się rozsunęły i do środka weszła powoli dyrektorka.

– O nie, znowu ty? – powiedziała, rzucając chłopakowi spojrzenie pełne dezaprobaty, a potem przeniosła wzrok na dziewczynę. – Lilly Marsh? – zapytała tonem, jakim nigdy nie mówiła do Bellamy'ego. –

Miło mi. Przejdźmy do mojego biura i wyjaśnię ci, jak tu funkcjonujemy. – Lilly podniosła się z ociąganiem, a pani dyrektor zwróciła się do Bellamy'ego: – Wyznaczam ci okres próbny. Jeśli w ciągu miesiąca nagniesz zasady choćby o milimetr, nie mówiąc o ich łamaniu, wylecisz stąd, tym razem na dobre.

Poczuł zarazem ulgę i zmieszanie, nie zamierzał jednak wystawiać cierpliwości dyrektorki na próbę. Skoczył na równe nogi i popędził do drzwi. Czekał, aż się otworzą, spojrzał jeszcze raz przez ramię na Lilly.

Ku jego zaskoczeniu uśmiechała się do niego.

ROZDZIAŁ 6

Clarke

„Pamiętaj: trzymaj się z dala od laboratorium”.

Usłyszała płacz pełen udręki. Nie potrafiła rozróżnić, czy dochodzi zza ściany, czy też odbija się echem w ciemnych zakamarkach jej własnego umysłu.

„Prowadzimy badania nad silnym promieniowaniem, to naprawdę niebezpieczne. Nie chcemy, żebyś zrobiła sobie krzywdę”.

Inaczej wyobrażała sobie laboratorium. Zamiast komputerów i stanowisk pracy stały w nim rzędy szpitalnych łóżek, a na każdym leżało dziecko.

„Próbujemy ustalić, kiedy ludzie będą mogli znowu żyć na Ziemi. Wszyscy w Kolonii na nas liczą”.

Clarke rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając wzrokiem Lilly, swojej przyjaciółki, samotnej i wystraszonej w sali pełnej umierających dzieci. Ich małe ciała schły z cierpienia, aż zostawało niewiele więcej niż skóra i kości.

„Nie chcieliśmy, żebyś się o tym dowiedziała w ten sposób”.
Gdzie jest Lilly? Clarke często ją odwiedzała, gdy rodziców nie było w laboratorium. Przynosiła przyjaciółce prezenty: książki skradzione z biblioteki i cukierki ze szkolnego sklepiku. Kiedy Lilly miała dobry dzień, ich śmiech zagłuszał nawet wszechobecne pikanie monitorów nadzorujących pracę serca.

„To nie nasz pomysł. Wicekanclerz zmusił nas, żebyśmy prowadzili badania na dzieciach. Zabiliby nas, gdybyśmy odmówili”.

Clarke przechodziła pomiędzy kolejnymi łózkami. Na każdym z nich leżało chore dziecko, ale żadne z nich nie przypominało jej najlepszej przyjaciółki.

Nagle przypomniała sobie: Lilly nie żyje. To ona, Clarke, ją zabiła.

„Zabiliby również ciebie...”.

Lilly błagała, żeby skrócić jej cierpienia. Clarke z początku nie chciała tego robić, ale wiedząc, że przyjaciółka nigdy nie wyzdrowieje, w końcu się zgodziła. Przyniosła i wstrzyknęła jej śmiertelną miksturę, a potem z bólem patrzyła, jak Lilly umiera.

„Przepraszam – usiłowałam powiedzieć Clarke. – Przepraszam. Przepraszam!”.

– Już dobrze, Clarke. Ćśśś. Już dobrze. Jestem tutaj.

Gwałtownie otworzyła oczy. Leżała na pryczy, z zabandażowanym ramieniem... dlaczego? Co się stało?

Bellamy siedział tuż przy niej, twarz miał brudną i zmęczoną, ale uśmiechał się tak jak nigdy dotąd. Szerokim, promiennym uśmiechem bez śladu ironii ani szyderstwa. Intymność tej sytuacji onieśmieliła ją.

Czuła, że w ten sposób chłopak mówi jej więcej niż wówczas, gdy pływali razem w jeziorze, rozebrani do bielizny.

– Dobrze, że się obudziłaś. Pamiętasz, jak ugryzł cię wąż? – zapytał.

Clarke zamknęła oczy i próbowała poskładać w całość fragmenty niedawnych wspomnień. Coś wiło się na ziemi, a potem potworny ból niemal ją oślepił. W tej chwili jednak czuła tylko ciepło dłoni Bellamy'ego na swojej.

– Daliśmy ci uniwersalne antidotum, ale nie byłem pewien, czy dostałaś je na czas.

Clarke usiadła, nagle rozbudzona.

– Niosłeś mnie z powrotem? Przez całą drogę do obozu? – Poczwała na policzkach rumieniec na myśl, że tak długo leżała nieprzytomna w ramionach Bellamy'ego. – Jak znalazłeś lekarstwo?

Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku drzwi.

– Tym akurat zajął się Wells.

Ogłuszyło ją to. Kiedy Wells powstrzymał ją ocalenia Thalii z płonącego namiotu, wiedzioną żalem i gniewem uciekła z obozu. Teraz jednak, rozglądając się po nowej chacie szpitalnej, czuła tylko smutek. Mimo że Thalia odeszła, nie winiła już Wellsa za jej śmierć.

Prawdę mówiąc, uratował życie jej samej – i to dwa razy.

Z drugiej strony niewielkiego pomieszczenia na innej pryczy kulila się jakaś dziewczyna. Clarke uniosła się na łokciach, żeby się jej przyjrzeć. Kiedy Bellamy zauważył to spojrzenie, usiadł na pryczy obok ukochanej, jakby chciał ją osłonić.

– Taak – powiedział, wskazując głową za siebie. – Jeżeli o nią chodzi, to...

I dziwnie obojętnym głosem opowiedział Clarke o ataku, podczas którego zabito Ashera, i o tym, jak Wells złapał tę dziewczynę.

– Co? – Clarke aż usiadła z wrażenia. – Chcesz powiedzieć, że urodziła się na Ziemi?

Podjęzanie dotyczące domniemanych Ziemi zakiełkowało w jej umyśle, kiedy zobaczyła równe rzędy jabłoni w sadzie, ale przebudzenie zaledwie kilka metrów od prawdziwej, żywej Ziemiarki było niemal ponad jej siły. W głowie Clarke eksplodowały tysiące pytań: jak tubylcy przeżyli kataklizm? Ilu ich było? Czy podobne skupiska ludzi można odnaleźć na całej planecie, czy tylko tutaj?

– Mów ciszej – szepnął Bellamy, kładąc jej rękę na ramieniu i

delikatnie popychając ją z powrotem na pryczę. – Chyba zasnęła i wolałbym, żeby spała tak długo, jak się da. Dostaję gęziej skórki, kiedy się na mnie gapi.

Clarke strząsnęła z siebie jego dłoń i wstała. Cała dygotała z zaskoczenia i podniecenia.

– Niewiarygodne! Muszę z nią porozmawiać!

Bellamy złapał ją za rękę, zanim zdążyła zrobić choćby krok.

– To zły pomysł. Jej towarzysze porwali Octavię i zabili Ashera.

Złapaliśmy ją na szpiegowaniu. – Jego usta wygięły się w szyderczym uśmiechu. – Prawdopodobnie chciała znaleźć następną ofiarę, którą mogłaby porwać.

Clarke popatrzyła na niego zmieszana. Po co snuć domysły na temat motywów działania dziewczyny, zamiast ją zapytać?

– Czy ktoś próbował z nią rozmawiać?

To chyba niczym nie groziło, zważywszy, że dłonie i kostki miała związane. Clarke wspięła się na palce, żeby lepiej widzieć.

Dziewczyna leżała skulona na boku, plecami do nich i w ogóle się nie poruszała.

Bellamy objął Clarke w pasie i pociągnął z powrotem na pryczę.

– Podejrzewam, że mówi po angielsku – rzekł. – Nie powiedziała ani słowa, ale wygląda, jakby rozumiała to, co się przy niej mówi. Jak tylko wyciągniemy z niej jakąś użyteczną informację o Octavii, ruszam z odsieczą.

Mówił spokojnym, opanowanym tonem, lecz kiedy wymienił imię siostry, dało się usłyszeć nutę troski. Przez chwilę myśli Clarke przestały krążyć wokół obcej dziewczyny na pryczy i powróciły do wyprawy tropem Octavii. Poczuli się winna, że to przez nią chłopak musiał porzucić poszukiwania.

– Bellamy – powiedziała powoli, kiedy w jej głowie zaczęła formować się inna myśl. – Przypomnij sobie te szczątki, które znaleźliśmy.

Pamiętasz, jakie logo na nich widniało? TG. – Każde dziecko w Kolonii orientowało się, że TG, Trillion Galactic, to firma, która dawno temu zbudowała ich statek.

– Wiem – odparł. – Ale to może oznaczać wszystko albo nic.

– Nie odpadły z naszego lądownika! – wykrzyknęła rozemocjonowana Clarke. – Co świadczy o tym, że muszą pochodzić z innego statku wysłanego przez Kolonię. Może bezzałogowego? A co, jeśli... – jej głos zamarł. Nagle poczuła, że nierozsądnie byłoby wypowiadać na głos to, co pomyślała. – Uważam, że to bardzo ważne, byśmy się dowiedzieli, skąd się wzięły – zakończyła

wymijająco.

Bellamy uściśnął jej dłoń. – Jak tylko odbijemy Octavię, sprawdzimy te szczątki.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – Za wszystko. Wiem, że straciłeś mnóstwo czasu, żeby mnie tu przynieść.

– Taa, no cóż, szkoda byłoby stracić jedyne go lekarza, jakiego mamy na Ziemi, nawet jeśli zostałaś aresztowana przed ukończeniem kursu medycznego. Przypomnij mi jeszcze raz, które części ciała powinienem oszczędzać podczas wyprawy? – rzucił kpiąco. – Łokcie czy kostki?

Lubiła, kiedy Bellamy wpadał w kpiarski nastrój, ale to nie wystarczało, żeby zdusić poczucie winy.

– Ja tylko... – zniżyła głos, zerkając znów na obcą dziewczynę – chciałam powiedzieć, że jeśli chcesz znaleźć siostrę, powinieneś wyruszyć. Czuję się koszmarnie. Przeze mnie straciłeś cały dzień. Jego kpiarski uśmiech znikł.

– Wszystko w porządku. – Wyciągnął rękę i z nieobecny wzrokiem zaczął owijać kosmyk jej włosów wokół palca. – Myślę, że powinienem się dowiedzieć czegoś od tej dziewczyny, zanim znów zacznę szukać Octavii.

Clarke skinęła głową, czując ulgę, że Bellamy nie wini jej za opóźnienie i nie planuje natychmiastowego wymarszu.

– Octavia to szczęściara, że ma takiego brata – stwierdziła, a potem przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego z uśmiechem. – Wiesz co? Pamiętam, że słyszałam kiedyś o rodzeństwie z „Waldena”.

Bellamy uniósł brwi.

– Moja reputacja mnie wyprzedza? Chociaż nie powinienem się dziwić. To niemożliwe, żeby nie obgadywali takiego przystojniaka jak ja.

Clarke szturchnęła go łokciem w żebra, a on skrzywił się przesadnie, po czym się roześmiał.

– To prawda – ciągnęła dalej. – Moja przyjaciółka Lilly pamiętała was z centrum opieki. Czeka, niech sobie przypomnę. O, mam, powiedziała dokładnie: „Spotkałam dziewczynkę ze starszym bratem. Fajnie jest mieć rodzeństwo, ale w tym wypadku to coś więcej. Ten chłopak jest tak atrakcyjny, że nie da się patrzeć na niego bezpośrednio. Jego uroda oślepią jak słońce!”.

Bellamy zbladł, zamiast się uśmiechnąć.

– Lilly? Ale nie Lilly Marsh, prawda?

Clarke poczuła w gardle wielką kulę. Że też musiało się jej wyrwać to

imię! Oczywiście że Bellamy i Lilly się znali. W centrum opieki na „Waldenie” przebywało tak niewiele dzieciaków, że nie mogło być inaczej. Lilly rzadko opowiadała sama z siebie o życiu na tym statku, a Clarke nie naciskała. Nie była to z jej strony świadoma decyzja – teraz zdała sobie sprawę, że łatwiej było myśleć o Lilly jako o dziewczynie bez przeszłości, która nigdy nikogo nie obchodziła.

– Jak poznałaś Lilly? – Bellamy gapił się na nią zachłannie, poszukując w jej oczach odpowiedzi, którą rozpaczliwie starała się ukryć.

– Spotkałam ją w szpitalu, podczas stażu – odparła Clarke, nie licząc nawet, ile kłamstw zmieściło się w tym krótkim zdaniu. – Byliście przyjaciółmi?

Modliła się, żeby chłopak wzruszył ramionami i wymijająco rzucił coś o przelotnej znajomości z centrum opieki.

– Byliśmy... – zaczął Bellamy i przerwał. – Byliśmy kimś więcej niż przyjaciółmi. Lilly była jedyną dziewczyną, na której mi zależało. To znaczy, dopóki nie spotkałem ciebie.

Wstrząśnięta Clarke patrzyła na niego, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Lilly, jej przyjaciółka i ofiara eksperymentów jej rodziców, była dla Bellamy’ego...

– Co się stało? – spytał Bellamy. – Przejmujesz się, że na statku miałem dziewczynę?

– Nie, oczywiście, że nie. Czuję się świetnie, tylko jestem trochę zmęczona. – Odwróciła się do niego pospiesznie plecami. Lepiej niech pomyśli, że jest zazdrosna i zaborcza, nie może przecież poznać nawet części okrutnej prawdy.

– To dobrze – ciągnął, najwyraźniej nieprzekonany. – To było bardzo dawno temu.

Dalej leżała tyłem do niego. Lilly mogła być dla niego już tylko odległym wspomnieniem, ale Clarke codziennie na nowo przeżywała w myślach jej śmierć. Za każdym razem, kiedy zamknęła oczy i próbowała zasnąć, widziała twarz i słyszała głos przyjaciółki odbijający się echem w jej głowie.

Nie mogła przestać myśleć o śmierci Lilly... ponieważ to właśnie ona ją zabiła.

ROZDZIAŁ 7

Glass

Glass i Luke milczeli, opuszczając mieszkanie chłopaka po raz ostatni. Gdy wyszli na puściuteńki korytarz, Glass, wstrząśnięta upiorną ciszą, złapała rękę Luke'a. Chaos, który panował na „Waldenie” przez kilka ostatnich dni, teraz już najwyraźniej ustąpił, splukany falą wszechobecnej rozpacz. Przyćmione światła migotały ospale jak wyczerpane dziecko, próbujące za wszelką cenę nie zasnąć.

Po cichu dotarli do głównych schodów i zeszli na niższe pokłady statku, gdzie mieściły się urządzenia sterujące elektrycznością i obiegiem wody. Milczeli aż do chwili, gdy stanęli przed kratką zasłaniającą wylot tunelu wentylacyjnego.

- Proszę – ukłonił się Luke – pani pozwoli. – Zdjął kratkę ze ściany i postawił na podłodze z przesadną troskliwością. – Pomyśleć, że przez cały ten czas, kiedy zamartwiałem się, na jaką randkę cię zabrać, rozwiązanie miałem pod nosem: romantyczne pełzanie przez tunel wentylacyjny.
- Masz zgubny wpływ na ludzi – odparła Glass, siląc się na uśmiech, mimo że do oczu napływały jej łzy.
- To co – Luke zmierzył jej pieśczośliwie fryzurę – dajesz w długą? Glass wspięła się na palce i pocałowała go. – Pora na przygodę. Luke przyciągnął ją do siebie i zamknął w uścisku.
- Kocham cię – szepnął jej do ucha, a potem podsadził do wylotu tunelu, zaczekał, aż wdrapie się do środka, i założył kratkę z powrotem.

Glass zatrzymała się na chwilę, żeby wytrzeć łzy i odzyskać ostrość widzenia.

- Też cię kocham – wyszeptała, wiedząc, że Luke tego nie słyszy. Zacisnęła zęby i zaczęła czołgać się wąską metalową rurą. Posuwała się powoli naprzód, wytężając w ciemnościach wzrok i wyobrażając sobie reakcję matki. Czy poczuje ulgę, gdy ją ujrzy, czy

też będzie wściekła, że Glass ryzykowała życie, przekradając się na „Waldena”? Na wspomnienie tego, co matka przez nią wycierpiała przez ostatni rok, ścisnęło jej się serce. Jeżeli wszystkich w Kolonii czekał smutny koniec, chciała przeprosić matkę i po raz ostatni powiedzieć, jak bardzo ją kocha.

Skrzywiła się, uderzywszy kostką w metalową ścianę. Gdyby dwa lata wcześniej ktoś jej powiedział, że pewnego dnia będzie pełznąć tunelem wentylacyjnym z „Waldena” na „Feniksa”, roześmiałyby mu się prosto w twarz. Wówczas wszystko wyglądało inaczej – i ona również była inna. Uśmiechnęła się w ciemności. Teraz wystawiała się na niebezpieczeństwo, ale czuła, że żyje.

– ...gdy rozpoczął się kataklizm, na świecie istniało sto dziewięćdziesiąt pięć suwerennych państw. Większość z nich przystąpiła do jednego z czterech głównych sojuszy.

Glass ziewnęła, bez przekonania zasłaniając usta. Nauczycielka przygasiała światła, żeby lepiej było widać hologramy, więc szansa, że zauważy lekceważące zachowanie jednej z uczennic, była nikła.

– W ciągu pierwszych sześciu tygodni trzeciej wojny światowej zginęły blisko dwa miliony ludzi...

– Cora – szepnęła Glass, pochylając się nad ławką. – Cora! Przyjaciółka podniosła głowę i popatrzyła na nią nieprzytomnie. – Co?

– ...a przez następne pół roku ponad pięć milionów umarło z głodu. – Dostałaś mój list?

Cora przetarła oczy, po czym mrugnęła raz jeszcze, włączając implant w rogówce. Na wpół opuściła powieki, przewijając nieprzeczytane wiadomości, aż w końcu dotarła do tej, w której Glass proponowała jej po lekcjach wspólną wycieczkę na bazar.

Kilka sekund później w prawym górnym rogu pola widzenia Glass mignęło światełko. Mrugnęła i wyświetliła wiadomość od Cory: „Pewnie, jeżeli się pospieszymy. Muszę się spotkać z matką o 3:00”.

„Po co?” – zapytała Glass.

„Praca w szklarni☺”.

Glass uśmiechnęła się. „Praca w szklarni” oznaczało w prywatnym rodzinnym kodzie Cory, że planują z matką wizytę na solarnych plantacjach. Takie odwiedziny były całkowicie nielegalne, ale strażnicy przymykali na nie oko, ponieważ ojciec Cory był szefem komitetu zasobów i nikt nie miał zamiaru z nim zadzierać. Glass nie przeszkadzało, że rodzina przyjaciółki ma najlepsze zaopatrzenie – jej własna rodzina też miała swoje źródła dostaw, a Cora co jakiś

czas częstowała koleżanki świeżymi jagodami.

– Tak, Clarke? – nauczycielka wskazała gestem dziewczynę z pierwszego rzędu, która podniosła rękę. Glass i Cora przewróciły oczami. Clarke zawsze zgłaszała się z jakimś pytaniem, a nauczyciele zachwycali się jej „intelektualną dociekliwością” i pozwalali jej gadać nawet wówczas, kiedy lekcja już się w zasadzie skończyła.

– Czy wyginęły wówczas jakieś gatunki zwierząt? Czy zaczęły wymierać dopiero po kataklizmie?

– O, to interesujące pytanie. W połowie dwudziestego pierwszego stulecia przynajmniej jedna trzecia...

– Chciałabym, żeby to ona wymarła – wymamrotała Glass, nie zadając sobie nawet trudu, żeby wysłać te słowa do Cory w postaci tekstu na implant.

Koleżanka roześmiała się, potem westchnęła i z powrotem oparła głowę na ławce.

– Obudź mnie, jak się to skończy.

Glass jęknęła.

– Ta dziewczyna powinna zacząć żyć normalnie – szepnęła. – Jeżeli się nie zamknie, to chyba wypchnę ją w próżnię!

Ku ich uldze nauczycielka wkrótce zakończyła lekcję. Glass skoczyła na równe nogi i złapała Corę za rękę.

– No, chodźże! – zniecierpliwiła się. – Muszę znaleźć guziki do tej sukienki!

– Idziecie na bazar? – zapytała skwapliwie Clarke ze swojej ławki. – Poszłabym z wami. Szukam poduszki dla przyjaciółki.

Glass zmierzyła ją wzrokiem. Clarke miała na sobie spodnie i bluzę, które wyglądały, jakby znalazła je na bazarze „Arkadii”. – Spal te spodnie, zawiń popioły w bluzę i voilà! Masz nową poduszkę, a my mamy ciebie z głowy.

Cora ryknęła śmiechem, ale Glass nie poczuła dreszczu satysfakcji. Oczy Clarke rozszerzyły się ze zdumieniem i urazą. Zaciśnęła usta, obróciła się na pięcie i wyszła bez słowa.

„Proszę bardzo – pomyślała mściwie Glass. – Tak skończy każda lizuska, która popsuje mi dzień”.

Przez dociekliwość koleżanki lekcja skończyła się później, więc Cora nie miała już czasu, żeby iść na bazar. Dlatego sfrustrowana Glass poszła do domu. Nie cierpiała chodzić na zakupy sama. Nie podobało jej się, jak spoglądają na nią strażnicy, kiedy ich dowódca akurat się odwróci... ani też jak spoglądają na nią mężczyźni, gdy ich żony

akurat się odwróca.

Po drodze do domu myślała, jak wyciągnąć od ojca więcej punktów przydziału. Zbliżała się ceremonia pamięci, a Glass chociaż raz chciała mieć ładniejszą sukienkę niż Cora.

Zeskanowała dłoń i weszła do mieszkania. Rzuciła szkolną torbę na podłogę.

– Mamo? – zawołała. – Mamo, wiesz, gdzie jest tato?

Matka wyszła chwiejnym krokiem z sypialni. Pod artystycznie nałożonym makijażem była blada, a oczy błyszczały jej dziwnie, chociaż może było to tylko odbicie światła lamp.

– Coś nie tak? – zapytała Glass przez ramię. Wolą rozmawiać z ojcem, bo kiedy matka miała jeden ze swoich dziwnych nastrojów, nie dało się z nią dogadać. – Gdzie tato? Jeszcze w pracy? Chciałam omówić z nim kwestię tygodniówki.

– Twój ojciec odszedł.

– Odszedł? Co masz na...?

– Opuścił nas. Przeprowadził się do tej... – matka zamknęła na chwilę oczy – do tej dziewczyny z komitetu. – Jej głos zabrzmiał bezbarwnie, wyprany z emocji równie starannie co jedna z nieskazitelnie czystych sukienek Sonji.

Glass zamarła. – Co to znaczy?

– To znaczy, że możesz zapomnieć o tygodniówce. Teraz to twój najmniejszy problem – wyjaśniła matka, opadła na kanapę i zamknęła oczy. – Zostałyśmy z pustymi rękami.

Gdy Glass dopełzła do zakrętu tunelu, za którym otwierała się prosta droga na „Feniksa”, miała poobcierane dłonie i czuła skurcze w mięśniach nóg. Modliła się, żeby po drugiej stronie nie było strażników, żeby mogła wrócić do Luke’a, a potem przeczołgać się tu z powrotem razem z nim. W całym tym zamieszaniu na pewno uda jej się ukryć ukochanego w mieszkaniu matki, a potem wymyśli jakiś sposób, żeby dostać się na jeden z lądowników.

Kiedy po raz pierwszy myślała o podróży na Ziemię – wówczas, gdy wyciągnięto ją z celi i powiedziano, że zostanie tam wysłana wraz z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma współpasażerami – pomysł wydał jej się przerażający. Teraz jednak zaczęła wyobrażać sobie życie na powierzchni planety całkiem inaczej. Spacery po lesie pod rękę z Lukiem. Wspólne oglądanie zachodów słońca ze szczytu wzgórza. Może przetrwały jeszcze jakieś miasta? Może udałoby im się dotrzeć do Paryża i podziwiać widoki takie, jak uwiecznione na talerzach Luke’a?

Uśmiechając się do siebie, sięgnęła dłonią do kratki zamykającej tunel wentylacyjny od strony „Feniksa”. Jej palce przez chwilę drapały ścianę, szukając punktu zaczepienia, ale go nie znalazły. Wyczuwała krawędzie tunelu, lecz od strony statku zaślepiono go na głucho płaską taflą metalu.

Glass przekręciła się stopami naprzód. Wzięła głęboki oddech i kopnęła. Bez rezultatu. Kopnęła raz jeszcze i aż krzyknęła z frustracji, kiedy przegroda tylko zagrzecotała.

– Nie! – wrzasnęła, krzywiąc się na dźwięk własnego głosu odbijającego się echem w tunelu. To Camille musiała zablokować przejście od strony „Feniksa”, żeby nikt nie poszedł jej śladem. Miało to sens – pojedynczy pasażer na gapę z „Waldena” miał większą szansę pozostać niezauważony niż cała rzesza uciekinierów. W ten sposób jednak skazała ich z Lukiem na śmierć.

Glass skuliła się, próbując nie myśleć, jaką minę będzie miał chłopak, kiedy powie mu, że przejścia nie ma. Na pewno spróbuje się opanować i wyglądać dzielnie, ale nie będzie potrafił ukryć rozpacz.

Nigdy nie zobaczy już matki. Gdy na „Feniksie” skończy się tlen, Sonja pozostanie sama w małym mieszkanku, łapiąc z trudem powietrze i myśląc o córce, która zniknęła bez słowa.

Glass odwróciła się i zaczęła pełznąć z powrotem. W tej właśnie chwili przyszedł jej do głowy pomysł, tak odważny i szalony, że mógł się udać.

Jeżeli nie dało się dostać z „Waldena” na „Feniksa”, pełznąć przez wnętrze Kolonii, być może trzeba będzie wyjść na zewnątrz.

ROZDZIAŁ 8

Wells

Po śniadaniu Molly nie czuła się ani trochę lepiej. Miała jeszcze wyższą temperaturę i nie potrafiła powstrzymać dreszczy, niezależnie od tego, iloma kocami przykrywał ją Wells.

Nadeszło południe, a ona wciąż leżała w chacie, w tym samym miejscu co rano. Wells popatrzył na nią zmartwiony. Na jej bladym czole perlił się pot, a oczy miały dziwny żółtawy odcień.

Przez cały dzień starał się unikać Clarke, ale w tej sytuacji nie miał już wyboru. Pochylił się, uniósł dziewczynkę w ramionach i wyszedł na polanę. Większość zesańców była zbyt zajęta plotkowaniem o Ziemianach lub nauką posługiwania się włócznieami na odległym końcu polany, by ich zauważyć. Kilka osób widziało jednak, jak Wells otwiera drzwi do chaty szpitalnej i wnosi Molly do środka.

Dziewczyna z Ziemi leżała plecami do drzwi, śpiąc lub udając, że śpi, natomiast Clarke siedziała na pryczy, przyglądając się tamtej tak intensywnie, że z początku nie zauważyła wchodzącego chłopaka. Wells zrobił wielki krok nad Bellamym, który najwyraźniej zasnął na podłodze, a potem delikatnie położył Molly na pustym łóżku. Kiedy się wyprostował, Clarke nie patrzyła już na Ziemiankę, tylko na niego.

Oczy miała szeroko otwarte.

– Cześć – odezwał się. – Jak się czujesz?

– Lepiej – odparła ochryple i odchrząknęła. – Dziękuję ci... Za podanie antidotum. Ocaliłeś mi życie.

To brzmiało szczerze. W jej głosie nie było śladu zapiekłej nienawiści ani pogardy do Wellsa za to, co zrobił podczas pożaru. Jej obojętny, grzeczny ton był niemal gorszy niż furia, jak gdyby chłopak był nieznajomym, który wyświadczył jej bezinteresowną uprzejmość. Zastanawiał się, czy teraz będzie tak pomiędzy nimi już zawsze. Czy też był to nowy początek z czystym kontem?

Szukał odpowiedzi, a tymczasem wzrok Clarke spoczął na Molly. Nieobecny wyraz twarzy ustąpił miejsca skupieniu. Wells świetnie znał to przenikliwe spojrzenie.

– Co jej się stało? – zapytała ostrym, przejętym głosem.

Wdzięczny za zmianę tematu, Wells opowiedział o nagłej chorobie dziewczynki. Clarke zmarszczyła brwi i zaczęła podnosić się z pryczy.

– Czekał – pospieszył Wells. Odruchowo położył jej dłoń na ramieniu, a potem gwałtownie ją cofnął. – Musisz odpoczywać. Nie widzisz jej ze swojego łóżka?

– Czuję się dobrze.

Postawiła stopy na ziemi i niepewnie wstała. Wells zwalczył pokusę,

by wesprzeć ją ramieniem. Podeszła powoli do chorej i uklękła przy niej.

– Hej, Molly, to ja, Clarke. Słyszysz mnie?

Dziewczynka w odpowiedzi tylko jęknęła, rzucając się pod kocem, którym owinał ją Wells. Clarke zacisnęła wargi, po czym złapała Molly za nadgarstek i zmierzyła puls.

– Jak myślisz, co to jest? – zapytał Wells, podchodząc z wahaniem.

– Nie jestem pewna... – Obmacała szyję Molly, szukając powiększonych gruczołów, a potem odwróciła się do niego. – Jak długo już tu jesteśmy? Po tym ukąszeniu i zamieszaniu straciłam poczucie czasu.

– Około trzech tygodni... – przerwał. – Wydaje mi się, że trzy tygodnie minęły wczoraj.

– Dwudziesty pierwszy dzień... – szepnęła Clarke bardziej do siebie niż do niego.

– Co to jest? O czym ty mówisz?

Odwróciła głowę, ale Wells dostrzegł w jej spojrzeniu lęk. Wiedział, co to oznacza. Pamiętał ten udręczony wzrok od chwili, w której Clarke opowiedziała mu o eksperymentach rodziców.

– Myślisz, że ta choroba ma coś wspólnego z promieniowaniem? – zapytał. – Przecież... ludzie powinni zachorować o wiele wcześniej?!

Clarke po raz kolejny zacisnęła usta, a potem je skrzywiła. Zawsze tak robiła, kiedy dawała sobie chwilę, żeby poukładać myśli.

– Gdyby skażone cząstki były w powietrzu, tak. Wtedy nie moglibyśmy oddychać... ale jeśli ich śladowe ilości występują w wodzie, to objawy mogą wystąpić właśnie po trzech tygodniach. Nie sądzę jednak, żeby z Molly było aż tak źle – dodała szybko. – To nie wygląda jak choroba popromienna. – W jej oczach odbiło się cierpienie, a Wells zrozumiał, że właśnie pomyślała o nieżyjącej przyjaciółce. – Wydaje mi się, że to może być alergiczna reakcja na jakiś czynnik. Gdzie jest reszta uniwersalnego antidotum? W skrzynce z lekarstwami?

– Reszta? – zdziwił się Wells. – Była tylko jedna fiołka!

– Tylko nie mów, że zużyłeś na mnie całą fiołkę. Zawierała chyba dwanaście dawek!

– A niby skąd miałem to wiedzieć? – zaprotestował, oburzeniem maskując poczucie winy.

– Czyli wszystko poszło? – Clarke odwróciła się do Molly i zaklęła pod nosem. – Niedobrze...

Wells nie zdążył poprosić jej o wyjaśnienie, gdy drzwi nagle stanęły

otworem i do chaty wpadł Eric, prowadząc za rękę Feliksa. – Clarke?
Całe szczęście, że się obudziłaś! Potrzebujemy cię.

Wells pospieszył ku niemu i pomógł mu ułożyć przyjaciela na pryczy.
Zazwyczaj tak spokojny Eric wydawał się teraz niezwykle zdenerwowany, a to było ze wszech miar niepokojące.

– Zemdlał po drodze znad strumienia – opowiadał, niespokojnie patrząc to na Clarke, to na Feliksa. – A wcześniej powiedział, że od razu zwraca wszystko, cokolwiek zje.

W tym momencie obudził się Bellamy. Powoli wstał, przecierając oczy, i ziewnął głośno.

– Co tu się dzieje? Clarke, ty nie w łóżku? Co do cholery?

Nie odpowiadając, podeszła chwiejnym krokiem do Feliksa. Oczy miał otwarte, lecz z trudem skupiał wzrok na pani doktor i najwyraźniej nie był w stanie odpowiedzieć na żadne jej pytanie.

– Na co zachorował? – zapytał Eric, patrząc na Clarke z napięciem, które skojarzyło się Wellsowi ze strażnikami w centrum dowodzenia na statku wypatrującymi na ekranach radarów asteroid i innych obiektów zagrażających Kolonii.

– Nie jestem pewna – powiedziała ze zmieszaniem i irytacją. Nienawidziła takich sytuacji. – Prawdopodobnie nie ma się czym martwić. Być może odwodnił się z powodu grypy żołądkowej. Napoimy go i zobaczymy, czy mu się poprawi. Bellamy, mógłbyś przynieść nam więcej wody?

Bellamy zawahał się, spoglądając na Wellsa, jakby sugerował, że to tamten powinien przynieść wodę, w końcu jednak skinął głową i zniknął za drzwiami.

Wells przyklęknął przy Clarke, wystarczająco blisko, żeby cicho z nią porozmawiać, ale jednocześnie wystarczająco daleko, żeby nie poczuła się skrępowana.

– Dziwne, prawda? Molly i Felix zachorowali mniej więcej w tym samym czasie...

– Tak naprawdę to nie. Przy setce ludzi stłoczonych na tak małej przestrzeni to cud, że dotąd nie wybuchła epidemia.

Wells obejrzał się na Erica, który głaskał Feliksa po włosach, i obniżył głos:

– A jeśli to nie grypa? Jeżeli mamy do czynienia z promienio...

– Nie mamy! – odparła Clarke z naciskiem, zbliżając głowę do klatki piersiowej Feliksa. Nie miała stetoskopu, więc musiała zrobić to w ten sposób.

– Ale gdyby? Czy mamy w skrzynce z lekarstwami coś na tę

- chorobę?
- Moi rodzice pracowali nad nowym środkiem – powiedziała cicho Clarke. – Widziałam w skrzynce butelkę z tabletkami, które spowalniają efekty choroby popromiennej.
 - Czy w takim razie nie powinniśmy ich prewencyjnie rozdać wszystkim w obozie?
 - Ależ nie!
- Ton głosu Clarke nie pozostawiał wątpliwości, lecz Wells naciskał dalej.
- Dlaczego?
- Clarke gwałtownie odwróciła głowę w jego kierunku i posłała mu spojrzenie pełne frustracji pomieszanej ze strachem.
- Ponieważ... Jeśli to nie choroba popromienna, te tabletki ich zabiją.

ROZDZIAŁ 9

Clarke

- Jesteś pewna, że dasz sobie radę przez kilka godzin? – zapytał Bellamy, oglądając z troską spuchnięte ramię Clarke. – Na wszelki wypadek postaram się nie odchodzić za daleko...
 - Jestem pewna – przerwała mu. – Idź na polowanie. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.
- Zapasy jedzenia były na ukończeniu. Gdy Wells przyszedł po południu sprawdzić stan Molly i Feliksa, schował urazę do kieszeni i poprosił Bellamy'ego o pomoc w napełnieniu spiżarni. Bellamy kiwnął głową w kierunku dziewczyny śpiącej po przeciwnej stronie chaty.
- Obiecuj, że nie będziesz z nią gadać – powiedział. – Nie podoba mi się, że zostajecie tu same.

– Nie same – zaprotestowała Clarke. – Przecież są tu również Molly i Felix!

– Nieprzytomni się nie liczą. Trzymaj się od niej z daleka, dobra? I spróbuj odpocząć.

– Dobrze, obiecuję – powiedziała pewnym głosem, usiłując nie zdradzić, że niecierpliwie czeka, aż sobie pójdzie. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, klęknęła na łóżku, żeby przyjrzeć się ziemskiej dziewczynie.

Ubrana była na czarno, lecz Clarke nie potrafiła rozpoznać większości materiałów. Obcisłe spodnie uszyte z czegoś gładkiego i połyskliwego – może ze skóry jakiegoś zwierzęcia? – natomiast górna część stroju wyglądała na miękką i puszystą. Jak się nazywało splecione włosie owiec? Wełna? Nastroszony, okazały kołnierz niewątpliwie uszyte z futra. Clarke postanowiła się dowiedzieć, z jakiego zwierzęcia. Jedynym ssakiem, jakiego dotąd widziała na Ziemi, był jeleń. Futro z kurtki dziewczyny było ciemniejsze i gęstsze. Leżący na swojej pryczy Felix jęknął przez sen. Clarke pospiesznie do niego podeszła i położyła mu rękę na czole. Temperatura się podniosła. Clarke przygryzła wargę, myśląc o tym, co powiedziała Wellsowi. Prawda, choroba popromienna wygląda inaczej: po mdłościach i gorączce pojawia się owrzodzenie, dziąsła zaczynają krwawić, wypadają włosy. Dlatego właśnie Lilly pod koniec życia wyglądała tak przerażająco. Clarke dobrze wiedziała, co czeka przyjaciółkę w każdym stadium choroby.

Wracając na pryczę, Clarke myślała o tabletkach, o których wspomniała Wellsowi. Jeżeli objawy Feliksa i Molly nie mają nic wspólnego z promieniowaniem, lekarstwo ich zabije. Jeśli jednak Clarke się myli, skazuje ich na długą i bolesną śmierć. Tabletki należało podać we wczesnym stadium choroby popromiennej. Usiadła i ukryła twarz w dłoniach, po raz kolejny zastanawiając się, dlaczego przed posłaniem setki młodocianych przestępców na Ziemię rada nie raczyła nawet z nią porozmawiać. Tak, została skazana, ale była również jedyną osobą znającą od podszewki badania swoich rodziców.

– Kto to jest Lilly? – zabrzmiał nieznamy głos z przeciwnej strony chaty.

Clarke wzdrygnęła się i odwróciła głowę. Zatkęło ją z wrażenia. A więc Ziemianka mówi po angielsku! Siedziała teraz, przyglądając się Clarke. Długie, czarne, lśniące włosy miała w nieładzie. Ciepły odcień skóry podkreślał zieleń oczu.

- Co... Co ty...? – wyjąkała Clarke. Zaczerpnęła powietrza i wzięła się w garść. – Dlaczego interesuje cię Lilly?
Dziewczyna wzruszyła ramionami.
- Wymieniałaś to imię przez sen, kiedy leżałaś z gorączką.
Jej akcent i śpiewna intonacja różniły się od używanych w Kolonii. Na dźwięk tego głosu Clarke poczuła ciarki na plecach, tak jak wówczas, gdy podczas szkolenia medycznego po raz pierwszy słuchała bicia serca.
- A potem tamten chłopak zachowywał się dziwnie, kiedy o niej wspomniałaś – dodała dziewczyna.
- Lilly była moją przyjaciółką... Dawno temu, na statku – powiedziała powoli Clarke. Czy Ziemianie w ogóle wiedzieli o Kolonii? Na usta cisnęło jej się milion pytań, a każde chciało być pierwsze.
Zdecydowała zacząć od podstaw. – Ilu was tu jest?
Dziewczyna chwilę się zastanawiała.
- Teraz... trzysta pięćdziesiąt cztery osoby. Delphine była blisko rozwiązania. Jeżeli już urodziła, to trzysta pięćdziesiąt pięć. Dziecko. Czy urodzi się w szpitalu? Czy to możliwe, żeby Ziemianie mieli jakiegokolwiek działające wyposażenie sprzed kataklizmu? Czy odbudowali jakieś miasta?
- Gdzie mieszkacie? – zapytała niecierpliwie.
Twarz dziewczyny pociemniała, a Clarke pożałowała nietaktu. Tamta była wszak jeńcem i z pewnością nie chciała zdradzić, gdzie przebywają jej przyjaciele i rodzina.
- Jak się nazywasz? – zapytała więc szybko.
– Sasha.
- A ja Clarke – odwzajemniła się, chociaż miała wrażenie, że dziewczyna już to wie. Uśmiechnęła się, powoli wstała i przeszła na drugi koniec chaty. – Co za odlot! Nie wierzę, że rozmawiam z kimś z Ziemi. Wiedziałaś, że w kosmosie mieszkają ludzie? Co pomyślałaś, kiedy nas zobaczyłaś? – spytała, siadając na pryczy obok Sashy.
Dziewczyna spoglądała na nią przez dłuższą chwilę, jakby niepewna, czy Clarke mówi poważnie.
- Cóż, nie spodziewałam się, że będziecie tacy młodzi – powiedziała w końcu. – Poprzedni byli starsi.
Te słowa zaparły Clarke dech w piersiach. Poprzedni? Niemożliwe!
Musiała się przesłyszeć.
- Jak to? – zapytała z trudem. – Twierdzisz, że już spotkałaś ludzi z Kolonii?
Sasha skinęła głową, a serce Clarke zaczęło bić mocniej.

– Jakiś rok temu wylądowała tu grupa kolonistów. Z dawien dawna wiedzieliśmy, że w kosmosie mieszkają ludzie, ale i tak przeżyliśmy wstrząs, spotykając ich twarzą w twarz. Wylądowali strasznie kiepsko, całkiem jak wy... – przerwała, najwyraźniej zastanawiając się, w jakim stopniu może sobie pozwolić na szczerość. – Za pierwszym razem nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać, więc próbowaliśmy im pomóc. Przeprowadziliśmy ich do naszego... to znaczy pozwoliliśmy im zostać z nami. Daliśmy im jedzenie i schronienie, mimo że ich przodkowie porzucili naszych podczas wielkiej ucieczki. Mój lud chciał jednak w imię pokoju i przyjaźni zapomnieć o przeszłości.

Głos Sashy nabrał twardych tonów, uniosła lekko brodę, jak gdyby prowokowała rozmówczynię do zakwestionowania jej słów.

Clarke mimo pokusy powstrzymała się od stanięcia w obronie kolonistów i od bombardowania dziewczyny dalszymi pytaniami.

Uznała, że najlepszym sposobem na zdobycie jej zaufania jest zachowanie milczenia. I rzeczywiście, po dłuższej chwili Sasha podjęła wątek:

– Nie powinniśmy byli im zaufać. Miał miejsce... pewien wypadek. – Skrzywiła się boleśnie na samo wspomnienie.

– Co się stało? – zapytała Clarke delikatnie.

– To bez znaczenia. Tamci już dawno odeszli.

Clarke odchyliła się, usiłując uporządkować zdumiewające wieści. Czyżby rzeczywiście rok wcześniej na Ziemię wyruszyła inna misja?

Pomyślała o znalezionych szczątkach z logo TG i nagle klocki zaczęły się układać w sensowną całość. Kim jednak byli ci starsi koloniści z poprzedniej misji? Dlaczego posłano stu zesańców, jeżeli przed nimi zaginęła inna wyprawa?

– Czy znasz... jakiegokolwiek szczegóły? – spytała Clarke, starając się nie okazać przejęcia. – Czy przylecieli tu na ochotnika, czy ich zmuszono?

– Nie mam pojęcia – odparła Sasha. – Nie mieliśmy wiele czasu, żeby rozmawiać na takie tematy. Nie po tym, jak...

Clarke zmarszczyła czoło, starając się odgadnąć zakończenie tego zdania. Nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób koloniści mogli tak ciężko urazić Ziemiaków. Sasha jednak nie kwapiła się, by powiedzieć coś więcej, a Clarke uważała, że powinna natychmiast podzielić się tymi wieściami z innymi.

– Za chwilę wracam – powiedziała, wstając z pryczy. – Nigdzie nie odchodź.

Sasha uniosła brwi i wyciągnęła nogi, tak by było widać jej spętane kostki.

Clarke zarumieniła się ze wstydu. Klęknęła przy dziewczynie i zaczęła rozwiązywać sznur. Wells zastosował wyjątkowo skomplikowany węzeł – z pewnością nauczyli go tego na szkoleniu oficerskim – ale młoda lekarka usunęła w życiu tyle szwów, że szybko sobie z nim poradziła. Sasha wzdrygnęła się, kiedy obca dłoń dotknęła jej po raz pierwszy, ale nie protestowała.

Clarke rozsupłała ostatnią pętlę i rzuciła linkę na ziemię.
– Chodź – powiedziała, wyciągając dłoń. – Pójdziemy razem, inaczej nikt mi nie uwierzy.

Sasha spojrzała ostrożnie na rękę Clarke, wstała, potrząsnęła jedną stopą, a potem drugą, krzywiąc się, kiedy napływała do nich krew.

– Chodźmy – powtórzyła Clarke, biorąc młodszą dziewczynę za łokieć i prowadząc na zewnątrz.

ROZDZIAŁ 10

Bellamy

Zaledwie kilka minut temu wrócił do obozu z upolowanymi królikami, a już piekły się na ognisku. Kuszący zapach przyciągnął większość zesłańców, którzy czekali niecierpliwie na posiłek. Najwyraźniej głód dał im się we znaki.

Bellamy przypomniał sobie centrum opieki na „Waldenie”: za każdym razem, kiedy wracał z poszukiwań, najmłodsze dzieciaki wybiegały mu na spotkanie z nadzieją, że przyniósł im coś do jedzenia. Nigdy jednak nie udawało mu się nakarmić wszystkich – podobnie jak teraz.
– Przyniosłeś tylko dwa? – zapytała Lila, wymieniając niezadowolone

spojrzenie ze swoją przyjaciółką Elizą, blondynką o piskliwym głosie, która wydawała się Bellamy'emu spokojniejszą i – choć to nieprawdopodobne – głępszą wersją Lili. Tydzień temu te dwie dziewczyny razem z kilkoma koleżankami obcięły nogawki swoich standardowych szarych spodni, otrzymując w efekcie szorty o różnej długości. Zignorowały przy tym ostrzeżenie Clarke, że pożałują tego, kiedy pogoda się popsuje.

No i właśnie żałowały. Trzęsły się z zimna, chociaż Lila próbowała za wszelką cenę ukryć dreszcze. Eliza wyglądała doprawdy żałośnie.

– Świetnie liczysz, Lila – oświadczył Bellamy takim tonem, jakby chwalił zdolnego przedszkolaka. – Coś czuję, że niedługo dojdiesz do dziesięciu.

Lila zmrużyła oczy i założyła ręce na piersi.

– Ale z ciebie dupek, Bellamy!

– Słyszałaś kiedyś takie powiedzenie: „Nie gryź ręki, która cię karmi”?

– odpalił z uśmiechem. – Albo jeszcze inaczej: jak inteligentnie zauważyłaś, są dwa króliki, ale nas wszystkich jest o wiele więcej. –

Dziewięćdziesięcioro sześciuro, i nikomu nie trzeba było przypominać, że stracili już czworo spośród siebie. – Nie każdy dostanie choćby kęs. A ty właśnie ułatwiłaś mi wybór, więc dzięki wielkie. – Wyciągnął rękę do Lili, udając, że chce uścisnąć jej dłoń. – Jestem niewymownie wdzięczny za pomoc.

Cofnęła się gwałtownie, odwróciła na pięcie i odeszła z wściekłością, obciągając nierówne nogawki szortów. „Typowa waldiotka!”, pomyślał

Bellamy, używając terminu ukutego przez Octavię na określenie dziewczyn z „Waldena”, które celowo wzorowały się na głupich pannach z „Feniksa”. Myśl o Octavii sprawiła jednak, że uśmiech znikł mu z twarzy jak zdmuchnięty, a w piersi poczuł ukłucie bólu. Być może jego siostra właśnie w tej chwili była torturowana, podczas gdy

Lila i jej paczka biegały po obozie jak obrażone kwoki.

Eric i Priya obdarli króliki ze skóry, a dwóch arkadyjczyków zaczęło je piec. Bellamy chciał iść i sprawdzić, jak się czuje Clarke, wiedział

jednak, że jeśli teraz odejdzie od ogniska, mięso zniknie w mgnieniu oka. Nie potrzebował go dla siebie, ale chciał mieć pewność, że

Clarke dostanie przynajmniej kilka kawałków.

– Nie wystarczy dla wszystkich – powiedziała Priya do Wellsa, który właśnie wrócił z nad strumienia. – Ile mamy jeszcze pakietów

żywnościowych?

Wells skrzywił się i pokręcił głową, potem pochylił się i wyszeptał jej coś na ucho. Próbowali być dyskretni, ale nie przychodziło im to łatwo

w obecności dwudziestu osób nerwowo zerkających w ich stronę. Bellamy przypomniał sobie dni zaraz po lądowaniu, kiedy wszyscy byli pełni pasji i energii. Teraz wyczerpanie i głód sprawiły, że stali się osowiali i małowówni. Nawet gadatliwa Kendall, naśladowca na ogół dziewczyny z „Feniksa”, siedziała cicho, patrząc na Wellsa i Priyę, chociaż uśmieszek igrający jej na ustach dowodził, że jest raczej rozbawiona niż podejrzliwa.

Przez kilka minut ciszę na polanie zakłócał tylko trzask ognia i stuk drewnianych włóczy odbijających się od pni drzew i lądujących w trawie. Zesłańcy przyjęci przez Grahama do „sił bezpieczeństwa” trenowali przez cały dzień. Nawet Bellamy musiał przyznać, że niektórzy z nich byli faktycznie nieźli. Gdyby do upolowania czegoś na kolację przejawiali taki zapał jak do celowania w wyimaginowane sylwetki Ziemi, być może w obozie w ogóle nie zapanowałby głód.

Kendall przerwała milczenie jako pierwsza.

– Wells, kiedy przyleci następny lądownik?

Bellamy niemal parsknął z rozbawienia, tak przejrzysta była ta próba wciągnięcia Wellsa w konwersację. Ostatnio kilka dziewcząt zaczęło poświęcać więcej uwagi kanclerskiemu synkowi.

– A kogo to obchodzi! – wtrąciła Lila, która tymczasem zdążyła już powrócić do ogniska. Wyprężyła się na pokaz i przeciągnęła z rękami nad głową. – Chcesz, żeby wszędzie naokoło łazili strażnicy zachowujący się, jakby wszystko tutaj należało do nich? Nie mam ochoty znów tego znosić!

Bellamy przyklasnął jej w myślach, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, żeby nie dawać jej satysfakcji. Ze wszystkich zesłańców to on miał najwięcej do stracenia. Owszem, jego szalony plan przedostania się do lądownika w mundurze strażnika powiódł się, ale w zamieszaniu postrzelono ojca Wellsa, kanclerza. Trafił go pocisk przeznaczony dla Bellamy’ego. Nawet gdyby pozostali uczestnicy misji zostali ułaskawieni, on nadal byłby uznawany za przestępcę. Być może strażnicy dostali nawet rozkaz, żeby strzelać do niego bez ostrzeżenia.

– Przecież rada musi już wiedzieć, że na Ziemi jest bezpiecznie – ciągnęła Kendall, wskazując bransoletę na nadgarstku. Żadne z nich nie wiedziało, czy czujniki jeszcze działają i czy wysyłają na statek informacje o stanie ich zdrowia, czy też cały system został uszkodzony podczas awaryjnego lądowania.

– Bezpiecznie? – powtórzyła Lila i zaniósł się gorzkim śmiechem. – Taa, Ziemia rzeczywiście wygląda mi na bezpieczną!

– Chodziło mi o poziom promieniowania – upierała się Kendall, spoglądając na Wellsa z nadzieją, że ją poprze. On jednak patrzył w innym kierunku. Najwyraźniej jego uwagę przyciągnęło coś między drzewami.

Nagle Bellamy skoczył na równe nogi, złapał łuk i podbiegł do Wellsa. Na polanie rozległ się krzyk triumfu, a Bellamy odetchnął z ulgą. To nie Ziemianie, to Graham.

Z włócznią w ręku przedzierał się przez krzaki rosnące na skraju lasu. W drugiej ręce trzymał coś dużego, ciemnego i futrzanego. Bellamy sam nie wiedział, czy bardziej go cieszy, czy irytuje, że tamten coś upolował. Byłoby wspaniale mieć pomocników w myśliwskim rzemiośle, ale czy nie mógłby to być ktoś inny?

– Patrzcie, co mam! – wrzasnął Graham, rzucając zdobycz na ziemię.
– To jeszcze żyje – powiedziała Priya, przyglądając się stworzeniu, gdy inni cofnęli się ze strachem i obrzydzeniem.

Miała rację. Zwierzę wciąż się poruszało. Było większe od upolowanych wcześniej królików, ale mniejsze niż jeleń. Miało długi pysk, lekko zaokrąglone uszy i długi, puchaty ogon w paski. Wells podszedł bliżej i zobaczył, że zwierzak krwawi z głębokiej rany na brzuchu. W końcu zdechnie, ale zanim to nastąpi, będzie cierpieć. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął scyzoryk, który zawsze nosił przy sobie.

– Musisz celować w serce – pouczył Grahama Bellamy. – To się nazywa czyste trafienie. Zwierzę natychmiast umiera. Jeżeli po postrzeleniu jeszcze żyje, poderżnij mu gardło.

Graham wzruszył ramionami, jakby Bellamy udzielał mu reprimendy za niedomkniętą klapę od namiotu spiżarni.

– To lis – stwierdził, dotykając ofiary stopą.

– Właściwie to szop – sprostował Bellamy.

Wydawało mu się, że stworzenie wygląda podobnie jak szopy, które znał ze zdjęć, ale miało na głowie coś świecącego. Gdy zwierzak rzucał się na boki, na ciemnej trawie tańczył krążek światła.

Wyglądało to niemal tak, jakby miał na głowie latarkę czołową, niczym inżynierowie naprawiający statek od zewnątrz. Bellamy przypominał sobie niejasno film o rybie z podobnym świecącym wyrostkiem służącym do wabienia zdobyczy w głębinach oceanu.

– Czeka! Poszedłeś sam na polowanie? – spytała Lila z mieszanką podziwu i potępienia w głosie. – A co by było, gdyby w lesie wciąż byli Ziemianie?

– Mam nadzieję, że gdzieś tam są. Jak ich znajdę, pożałują, że nie

wyginęli podczas kataklizmu – zaśmiał się Graham, podrzucając wólczy w powietrze i łapiąc ją jedną ręką. – My będziemy ich kataklizmem!

– Nie bądź głupi – warknął Wells, którego cierpliwość najwyraźniej zaczynała się wyczerpywać. – Mogą ich być setki albo tysiące. Jeżeli dojdzie do prawdziwej bitwy, nie stawiałbym na nasze zwycięstwo.

Graham zaczepnie wysunął naprzód podbródek.

– To zależy od tego, kto nas poprowadzi do walki, nie sądzisz? – powiedział niebezpiecznie spokojnym głosem. Przez chwilę hardo spoglądał na Wellsa, a potem z uśmiechem odwrócił wzrok. – No?

Kto obedrze to coś ze skóry? Konam z głodu.

– Krok pierwszy: zwierzak musi być martwy – dociął mu Bellamy.

Spojrzał na Wellsa, wciąż trzymającego w dłoni scyzoryk.

– Jest martwy – wtrąciła radośnie Kendall, klęcząca na ziemi obok szopa. – Złamałam mu kark.

Bellamy myślał, że żartuje, ale stworzenie leżało nieruchomo, a dziwne światło na jego głowie zgasło. Zaskoczony, odwrócił się ku Kendall, lecz zanim zdążył zapytać, gdzie się tego nauczyła, jego uwagę przyciągnął głośny tupot.

To biegła ku nim Clarke, ciągnąc za sobą Ziemiannkę.

– Chłopak! – wydyszała. W jej oczach płonął blask. Bellamy widział ją wcześniej w takim stanie zaledwie kilka razy, kiedy spotkała się na Ziemi z czymś nowym, co poruszyło do głębi jej naukowy umysł. –

Nie uwierzcie!

Wszyscy zerwali się z miejsc, tłocząc się wokół dziewcząt.

– O co chodzi? – zapytał Bellamy.

Clarke spojrzała na niego, potem na Ziemiannkę.

– Powiedz im – poprosiła. – Powiedz im to, co powiedziałaś mnie.

„Aha – pomyślał Bellamy – więc tamta mówi po angielsku”.

Większość grupy widziała ziemską dziewczynę po raz pierwszy od czasu pojmania. Niektórzy przepychali się do przodu, rzucając zafascynowane spojrzenia, inni nerwowo się wycofywali. Bellamy zauważył, że Wells po cichu wrócił do ogniska, z zainteresowaniem przyglądając się Clarke i jej towarzyszce.

Ta ostatnia milczała, ze strachem patrząc na zgromadzony tłum.

– No dalej, Sasha – zachęciła ją Clarke.

„Sasha?”, zjeżył się Bellamy. Clarke знаła imię dziewczyny? Co tu się, do cholery, działo, kiedy był na polowaniu?

Ziemiannka odchrząknęła nerwowo. Szepty w tłumie ucichły.

– Ja... powiedziałaś Clarke, że nie jesteście pierwszą grupą

kolonistów na Ziemi.

Na polanie zapadła cisza.

– To niemożliwe – zaprzeczył Wells, występując z tłumu. – Skąd mogłabyś to wiedzieć?

Dziewczyna zacisnęła zęby, zadarła w górę brodę i spoglądając Wellsowi prosto w oczy, wyjaśniła spokojnym głosem:

– Ponieważ spotkałam ich osobiście.

Tłum eksplodował setką zdumionych głosów naraz, gdy każdy z zesańców zaczął wykrzykiwać własne teorie i obawy. Wells włożył do ust dwa palce i ostro gwizdnął. Bellamy drgnął. Dźwięk ten przypomniał mu, jak razem z matką chowali Octavię przed strażnikami. Właśnie gwizdem dawała sygnał do ukrycia córki.

Wreszcie gwar głosów ucichł.

– Spotkałaś innych ludzi z Kolonii? – zapytał Wells z niedowierzaniem.

– Tak. Poznałam ich. Pozwoliliśmy im zamieszkać wśród nas, kiedy statek się rozbił. – Sasha wskazała gestem pozostałości lądownika młodych kolonistów. – Czy naprawdę nikt z was nie potrafi przyzwoicie posadzić statku na ziemi?

Bellamy nie mógł już tego znieść.

– Zostawmy sobie te lekcje historii na później, teraz powiedz mi, gdzie znajdę siostrę!

– Nic mi nie wiadomo o twojej siostrze – odparła Sasha. – Przykro mi.

– Chyba masz nas za idiotów! – warknął, ignorując ostrzegawcze spojrzenie Clarke. – Zabiliście Ashera i porwaliście moją siostrę. Lepiej zacznij gadać, ale już!

– Bellamy, pozwól jej skończyć – wtrącił się Wells tonem bardziej kanclerskim, niżby chciał, po czym zwrócił się łagodnie do Sashy: – Opowiedz nam, co się stało.

Sasha zerknęła na Clarke, która zachęcająco skinęła głową.

– Ponad rok temu przyleciała tu jakaś grupa ludzi. Rozbili się podczas lądowania i stracili większość zapasów, więc przyjęliśmy ich do siebie.

– Ilu ich było? – zapytał podejrzliwie Graham, mierząc wzrokiem Ziemiankę.

– Dziesięcioro, ale tylko siedmioro przeżyło lądowanie.

– A ilu wsadziliście strzałę w gardło? – dodał Graham pod nosem, na tyle głośno jednak, żeby wszyscy usłyszeli.

Sasha wzdrygnęła się, lecz kontynuowała.

– Z początku wszystko szło dobrze. Oczywiście dziwnie było spotkać

nowych ludzi. Reszta z nas znała się przez całe życie, a wówczas po raz pierwszy spotkaliśmy obcych. – Zachmurzyła się, po czym lodowatym tonem dodała: – Nie odwzajemnili naszej uprzejmości, więc musieli nas opuścić.

– Co to znaczy, do cholery? – zapytał szorstko Bellamy, zdenerwowany słowami dziewczyny. Miał dosyć jej niejasnych odpowiedzi. – Gdzie teraz są?

Wzięła głęboki wdech i rzekła:

– Nie żyją.

– Nie żyją? – powtórzył Wells, momentalnie tracąc opanowanie. Tłum zareagował gniewnym pomrukiem. – Wszyscy?

Sasha skinęła głową.

„Mordercy!”, pomyślał Bellamy. Ci Ziemianie to szaleńcy, zabójcy.

Zastrzelili Ashera bez ostrzeżenia. Zatrząsał się, kiedy do głowy przyszła mu myśl, którą od pewnego czasu starał się odpędzić: „A jeśli Octavia już nie żyje?”. Zacisnął pięści, wbijając paznokcie w dłonie. Jeżeli nie zdoła odbić siostry żywej, Ziemianie za to zapłacą.

Każdy z nich zapłaci własnym życiem.

– Aha, zabiliście ich? – rzucił Graham. – Ale było wam za mało, więc stwierdziliście, że trzeba też zabić Ashera?

– Nie, było inaczej! My...

Lecz Graham przerwał jej, zwracając się szyderczo do Wellsa:

– Jeszcze nie jest za późno. Zdamy ją zabić, no nie?

– Zaczynaj słuchać! – warknęła gniewnie Clarke. – Przecież mówi, że nie zabili Ashera!

– W takim razie kto to zrobił? Odpowiadaj! – zażądał Bellamy.

Najwyższym wysiłkiem powstrzymał się, by nie wykrzyknąć tego pytania prosto w twarz Clarke. Dlaczego, do ciężkiego licha, brała stronę tej Ziemianki?

– Nikt z nas nie sądził, że kiedykolwiek wyląduje jeszcze jedna grupa, ale potem przybyliście wy. – Sasha popatrzyła w kierunku Clarke i

Wellsa, tak jakby to oni wpadli na pomysł, by wylądować na tej przeklętej planecie. – Pokłóciliśmy się, potem zaczęliśmy walczyć, a w końcu od naszej grupy oderwało się... pewne stronnictwo. To oni zabili waszego przyjaciela. – Zacisnęła usta. – Założę się, że porwali również twoją siostrę.

– Gdzie oni są? – warknął Bellamy.

– Też chciałabym wiedzieć. Nikt z nas nie widział ich, od kiedy odeszli. Jesteście ostatnimi osobami, które się z nimi spotkały. A my jesteśmy inni niż oni.

- Dlaczego mielibyśmy ci uwierzyć na słowo? – spytał szyderczo Graham, natychmiast poparty przez chór głosów z tłumu. – Są sposoby, żeby upewnić się, że mówi prawdę!
- Graham, odpuść sobie! – warknął Wells, stając między nim a dziewczyną. – Clarke, zabierz Sashę z powrotem do szpitala i miej ją na oku, dopóki nie zdecydujemy, co robić.
- Ja wiem, co robić – wtrącił Bellamy z coraz większą wściekłością i frustracją. – Łapmy za broń i ruszajmy za tymi sukinsynami, którzy porwali Octavię.
- Nie! – wykrzyknęła Sasha nieoczekiwanie łamiącym się głosem. – Mają przewagę! Pozabijają was!
- No to użyjemy cię jako zakładniczki!
- Graham przepchnął się do przodu i złapał Sashę za ramię.
- Puść ją! – wrzasnęła Clarke, ale Ziemiarka nie potrzebowała pomocy. Płynnym ruchem kopnęła Grahama kolanem w brzuch, wyswobodziła się z jego uścisku i wykręciła mu rękę za plecami.
- Nie dotykaj mnie! – syknęła.
- Odepchnęła Grahama, który zatoczył się z jękiem, i odskoczyła o kilka kroków, chwiejnie, jakby ten akt pozbawił ją wszystkich sił.
- Dobrze się czujesz? – zapytała Clarke, ujmując Sashę za łokieć.
- Świetnie – odparła słabo, kiedy ugięły się pod nią kolana.
- Kiedy ostatnio coś jadłaś? – zapytał Wells.
- Dawno...
- Bellamy dostrzegł, jak Wells zerka przez ramię w kierunku ogniska, gdzie napoczynano właśnie dwa króliki
- O, nie! Żebyś mi się nie ważył karmić jej tym, co upolowałem! – przestrzegł głosem zimnym jak lód.
- Właśnie! – podchwycił Graham. – Jeszcze by tego brakowało, żebyśmy karmili tę małą gnidę!
- Poparło go trzy czwarte grupy, reszta była zbyt zajęta walką o ostatnie strzępki mięsa, jakie jeszcze zostały na króliczych kościach. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, z cienia drzew na odległym końcu polany wzniósł się pod niebo głośny wrzask. Bellamy ruszył biegiem w tamtym kierunku, za nim tuzin innych osób. Wpadli na niego, kiedy raptownie się zatrzymał.
- Na polanę weszła Eliza, zatoczyła się i osunęła na ziemię z głośnym jękiem. Z rany na udzie, tuż pod poszarpaną krawędzią szortów, tryskała krew. Z nogi dziewczyny sterczała upierzona strzała.
- Jasna cholera! – zaklął Graham, stając obok Bellamy'ego, zbyt zaskoczony, żeby pospieszyć rannej z pomocą.

Clarke już do niej biegła. Bellamy odwrócił się i spojrzał na dziewczynę z Ziemi, przytrzymywaną przez dwóch chłopaków: ponurego Azumę i szyderczo uśmiechniętego Dmitriego. Wodziła przerażonym wzrokiem od rannej do ciemnego lasu. Bellamy nie dał się jednak na to nabrać.

Gdy następnym razem w obozie dojdzie do rozlewu krwi, będzie to jej krew.

ROZDZIAŁ 11

Wells

– Wells? – ktoś uparcie trącał jego ramię. – Hej, Wells!

Oczy Wellsa otworzyły się gwałtownie, a z jego umysłu uleciały ostatnie strzępy sennych marzeń. Płynął właśnie kanałem w Wenecji... Nie, chwilkę, jechał na koniu do bitwy u boku Napoleona. Stała nad nim Kendall, ale zignorował ją, zrywając się na równe nogi. Dziewczyna z Ziemi – Sasha – była tam, gdzie ją zostawił. Nie próbowała wstawać w nocy, zresztą nawet gdyby to zrobiła, trudno byłoby jej się poruszać z nogami związanymi w kostkach. Siedziała oparta o drzewo, patrząc w dal z wyrazem twarzy tak nieodgadnionym, jakby specjalnie ćwiczyła ukrywanie myśli.

Wieczorem okazało się, że Wells musi spędzić noc z więźniem na świeżym powietrzu. W chaosie, jaki nastąpił po drugim ataku, niemal setka ludzi stłoczyła się pospiesznie w trzech chatach. Ledwie starczyło miejsc siedzących, nie mówiąc już o spaniu w tych warunkach.

Wells i Bellamy przenieśli przytomną, łkającą Elizę do namiotu. Clarke torowała im drogę. Na szczęście rana nie zagrażała życiu, a lekarce udało się zszyć i zabandażować nogę waldenitki mimo

tłoczących się wokół przerażonych zesłańców.

Gdy jednak do szpitalnej chaty weszli Eric i Graham, ciągnąc za sobą Sashę, podniosły się gniewne okrzyki.

– Jestem za tym, żeby ją od razu zabić – ryknął Graham, a głosy protestu natychmiast zostały zastąpione przez głośnie wiwaty.

– W żadnym razie! – warknął Bellamy. – Najpierw powie nam, gdzie znaleźć moją siostrę!

Graham zaśmiał się sarkastycznie.

– Obawiam się, że muszę to powiedzieć głośno i wyraźnie: Octavia prawdopodobnie już nie żyje. Jedyne sposoby, żeby wymierzyć sprawiedliwość, to obciąć głowę tej gnidzie i zostawić ją w lesie, żeby znaleźli ją jej kumple.

Nie było szansy na pokojowe rozwiązanie, dopóki oszalałymi ze strachu kolonistami powodowała adrenalina. Wells zdecydował się więc spędzić noc z więźniem na zewnątrz. W ten sposób Sasha była bezpieczna, a zarazem odizolowana od wrogiej grupy kolonistów.

Kilka osób sprzeciwiało się również takiemu wyjściu, twierdząc, że Wells nie powinien spać na polanie, ponieważ to zbyt niebezpieczne.

Gdy jednak zdali sobie sprawę, że alternatywą jest pozostawienie Sashy w chacie, wycofali swoje obiekcje.

Wells wiedział, że po tym, co spotkało Ashera i Elizę, powinien się bać, ale kiedy ułożył się pod drzewem kilka metrów od Sashy, ciekawość szybko przemogła strach. Nie chciał mu się wierzyć, że patrzy na kogoś, kto urodził się na Ziemi i być może jest w stanie odpowiedzieć na wszystkie pytania, nad którymi zastanawiał się w dzieciństwie. Co się czuje, dotykając śniegu? Czy Sasha kiedykolwiek widziała niedźwiedzia? Czy istnieją jeszcze jakieś miasta? Co zostało z Nowego Jorku? A z Chicago? Nikt w Kolonii nie potrafił rozstrzygnąć tych kwestii, więc chłopak zasypiał rozczarowany, odwiedzając Ziemię tylko w snach.

– Hmm, Wells? – odezwała się znowu Kendall. – Dobrze się czujesz? Wells odwrócił się do niej i przetarł oczy. – Tak, świetnie. Co się dzieje?

– Obiecałam, że zapytam cię o śniadanie. Ile pakietów zostało? Westchnął ciężko.

– Obawiam się, że dzisiaj nie będzie śniadania.

Z królików Bellamy'ego i szopa Grahama zostały tylko kości, a pakietów żywnościowych było tak mało, że musieli ograniczyć się do jednego dziennie na osobę.

– Och, szkoda – twarz Kendall wydłużyła się. – Wstałam rano i

wycięłam imię Ashera na nagrobku. Nieźle wygląda, chcesz zobaczyć?

– Może później – odparł Wells. – Ale wielkie dzięki, że o tym pomyślałaś.

Kiedy stało się jasne, że Kendall sama z siebie nie ma zamiaru odejść, poprosił ją, żeby wróciła do namiotu i przygotowała zesłańców na to, że śniadania nie będzie. Wyglądała na zawiedzioną, że Wells nie chce natychmiast zobaczyć jej dzieła, ale jego prośba ją usatysfakcjonowała. Lubiła czuć się potrzebna.

Gdy odeszła, Wells wyjął z kieszeni pognieciony pakiet żywnościowy, którego nie dojadł, i spojrzał na Sashę. Była wyraźnie bledsza niż poprzedniego dnia, nie wiedział tylko, czy z powodu stresu, czy też z głodu. Niezależnie od wszystkiego nie miał zamiaru pozwolić, by głodowała. Nie zrobiła nic złego i znęcanie się nad nią było niepotrzebnym okrucieństwem.

– Hej – zagaił ostrożnie, wyciągając dłoń z pakietem. – Chcesz trochę? Chyba jesteś głodna, co?

Sasha popatrzyła przez moment na pakiet, potem na Wellsa.

– Co to jest? – zapytała zachrypniętym głosem.

– Pasta proteinowa. Nie próbowałaś jeszcze czegoś takiego? Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Proszę – zachęcił ją. – Wyciągnij rękę.

Wycisnął resztę pasty na jej dłoń i uśmiechnął się, patrząc jak Sasha nabiera ją palcem i marszcząc nos, podnosi do ust.

– Nie jest taka zła, jak wygląda – przyznała, biorąc następną porcję. Zjadła wszystko i wytarła dłonie. – Wiem, gdzie można znaleźć jedzenie. Prawdziwe jedzenie.

Wells łypnął na nią podejrzliwie. – Naprawdę?

Skinęła głową.

– Zaprowadzę cię tam, jeżeli pozwolisz mi wyjść z obozu.

Zawahał się. Strategia podpowiadała, że powinni trzymać ją pod kluczem, dopóki nie wróci Octavia. Nawet jeśli Sasha mówiła prawdę na temat wojowniczego odłamu Ziemi, i tak mogła okazać się cenną kartą przetargową. Nie chciał ryzykować jej ucieczki.

– Jaką mam gwarancję, że nie zwiejesz? – zapytał.

– Możesz związać mi z powrotem ręce, jeżeli chcesz – odparła. – Słuchaj, próbuję tylko wam pomóc. A przy okazji się najeść – dodała. Jakby na potwierdzenie tych słów zaburczało jej głośnie w żołądku.

– Dobrze – powiedział powoli Wells, uważnie szukając na jej twarzy oznak podstępu. – Zbiorę tylko paru ludzi i pójdziemy.

– Nie! – Spojrzała mu prosto w oczy twardym wzrokiem. – To nie będzie szkolna wycieczka. Ufam tobie i tylko tobie. Idziemy we dwoje i bierzesz, co potrzebujesz. Tylko ten jeden raz. Zgoda?

Wells zawahał się. Pozostali będą wściekli, kiedy dowiedzą się, że pozwolił Sashy opuścić obóz, nawet jeżeli miało to na celu zaopatrzenie w żywność. Z drugiej strony przywódca musi czasem robić to, co uważa za stosowne, nawet jeśli ujmuje mu to popularności. Tej lekcji udzielił mu ojciec.

– Wszystkiego najlepszego! – zaśpiewała matka Wellsa, wychodząc z kuchni. Niosła przed sobą coś, co wyglądało podejrzanie podobnie do urodzinowego tortu.

– Jakim cudem go upiekłaś? – zapytał Wells tonem pełnym podziwu, obserwując, jak stawia na stole ciasto pokryte białym lukrem. Tkwiły w nim nawet świece – całe dwanaście sztuk – ale niezapalone. Świeczki były towarem jeszcze bardziej deficytowym od cukru czy koncentratu jajecznego. Jeżeli mama w ogóle zdecyduje się je zapalić, to na króciutko.

– Czary mary – odparła z uśmiechem. – Nie przejmuj się. Wszystko zostało załatwione w zgodzie z prawem. Twój ojciec też nie musi się tym martwić.

Inaczej niż paru innych członków rady, ojciec Wellsa był wzorem surowości, jeżeli chodziło o przestrzeganie Kodeksu Gai, zbioru praw ustalonych w pierwszych latach po założeniu Kolonii. Zaledwie kilka minut wcześniej Wells minął w drodze ze szkoły do domu radcę Brisbane'a z dwiema butelkami zawierającymi najwyraźniej czarnorynkowe wino.

Popatrzył tęsknie na tort. Może zostanie go wystarczająco dużo, żeby poczęstować Glass?

– Ojciec na pewno nie będzie miał nic przeciwko?

Zastanawiał się, czy kanclerz wysunie więcej zastrzeżeń wobec marnowania zapasów na coś tak mało pożywnego jak ciasto, czy wobec świętowania urodzin w ogóle. Odwieczna tradycja zbytnio podkreślała wartość jednostki, podczas gdy liczył się przecież cały gatunek. Zawsze było warto uczcić nowe życie, ale kanclerz nie widział powodu, by raz do roku dawać komuś fałszywe poczucie ważności.

– Ależ oczywiście, że nie. – Matka siadła na krześle obok niego. – A może to w ogóle nie jest tort z okazji urodzin? Może to tort dla uczczenia twoich najlepszych stopni w klasie trzeci rok z rzędu? Albo tort pod hasłem: „Hurra, nareszcie posprzątałeś w pokoju!”?

Wells uśmiechnął się.

– Czy tato skończy dzisiaj wcześniej pracę?

Kanclerz zazwyczaj pracował do późna i zjawiał się w domu, gdy syn już spał. Przez cały ubiegły tydzień Wells praktycznie nie widział ojca i miał nadzieję, że chociaż ten jeden wieczór spędzą we troje.

– Powinien skończyć. – Matka pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Powiedziała mu, że wyprawiamy dzisiaj specjalną kolację na cześć jego nadzwyczajnego syna.

Nakładając do misek sałatkę, zapytała go o szkołę. Opowiedział jej śmieszna historię o chłopaku z klasy, który chciał się dowiedzieć, ile dinozaurów zginęło podczas kataklizmu.

– Zaczynij już jeść – zasugerowała matka, kiedy zaburczało mu donośnie w brzuchu.

Widoczny przez okna blask sztucznego oświetlenia Kolonii zaczął przygasać zgodnie z dobowym rytmem. Matka nie odezwała się ani słowem, ale uśmiechała się coraz bardziej nerwowo, a jej żarty stały się wymuszone. W końcu uściśnęła dłoń Wellsa.

– Coś chyba zatrzymało ojca dłużej w pracy. Napocznijmy lepiej tort, dobrze?

– Pewnie! – rzucił dziarskim głosem, unikając starannie spojrzenia matki.

Tort były słodki i pyszny, ale Wells ledwie poczuł jego smak, tak się skupił, żeby nie okazać rozczarowania. Wiedział, że ojciec nie jest winien spóźnienia. Jako kanclerz był odpowiedzialny nie tylko za dobrobyt i bezpieczeństwo mieszkańców Kolonii, ale przede wszystkim za przyszłość rasy ludzkiej. Jego najważniejszym obowiązkiem było zagwarantowanie przeżycia ludzi jako gatunku tak długo, by zdążyli wrócić na Ziemię. Jeżeli coś zatrzymywało go w pracy w dzień urodzin syna, to najwyraźniej musiało być bardzo ważne.

Wells poczuł wyrzuty sumienia na myśl o ojcu, zmęczonym, siedzącym samotnie w biurze i przekopującym się przez opasłe tomy najnowszych raportów. Codzienne problemy Kolonii odbierały mu całą radość z przebywania w towarzystwie bezcennych relikwii z Ziemi, dzięki którym Wells uważał kanclerski gabinet za swoje ulubione miejsce. Godzinami mógł przyglądać się wypchanemu orłowi lub podziwiać portret ciemnowłosej kobiety o tajemniczym uśmiechu. Przypomniawszy sobie również widziany przelotnie pojemnik na wieczne pióra z inskrypcją „Non Nobis Solum Nati Sumus”. „Nie rodzimy się tylko dla siebie”. Cytat z rzymskiego poety Cyncerona.

Drzwi się otworzyły i wszedł ojciec Wellsa. Mimo że wyglądał na wykończonego, trzymał się prosto i szedł pewnym krokiem. Spojrzał na matkę Wellsa, potem na napoczęty tort i westchnął.

– Bardzo mi przykro. Zebranie rady się przedłużyło. Nie mogłem przekonać Brisbane’a do zgody na nowe środki bezpieczeństwa na „Waldenie”.

– Och, wszystko w porządku. – Wells zerwał się na równe nogi, potrącając stół, aż zabrzęczały szklanki i talerze. – Zostawiliśmy ci trochę tortu.

– Mam jeszcze sporo pracy. – Kanclerz pocałował żonę w policzek i zdawkowo skinął głową Wellsowi. – Wszystkiego najlepszego.

– Dzięki – odparł Wells, zastanawiając się, czy cień smutku w oczach ojca był tylko tworem jego wyobraźni.

Gdy kanclerz zniknął za drzwiami gabinetu, w głowie jego syna zagościła nieproszona myśl. Jak to możliwe, że ojciec pertraktował z Brisbane’em, jeśli Wells widział radcę kilka godzin wcześniej na pokładzie A?

Poczuł, że żołądek skręca mu się w supeł, gdy zdał sobie sprawę z niezwykle krępującego faktu.

Ojciec skłamał.

– Dobrze – Wells skinął Sashy głową. – Jeżeli jednak idziemy tylko we dwoje, będę cię musiał przywiązać do siebie, żebyś mi nie uciekła, jak tylko wejdziemy do lasu.

– Proszę bardzo.

Wstała i wyciągnęła ręce przed siebie. Skrzywił się, widząc na jej nadgarstkach czerwone otarcia, tam, gdzie lina wpiła jej się w skórę.

– Tym razem wezmę metalowe kajdanki. Nie powinny zostawić takich śladów.

Przyniósł je z namiotu z zapasami, następnie owinął prawy przegub Sashy bandażem i zapiął na nim obręcz kajdanek. Zawahał się przez chwilę, zanim drugą zatrzasnął na swoim lewym nadgarstku i schował kluczyk głęboko do kieszeni.

– Gotowa? – rzucił.

Skinęła głową, a on rozejrzał się po polanie, czy nikt nie patrzy w ich kierunku, po czym poprowadził ją do linii drzew, zwalniając kroku, gdy ucisk metalu dał mu znać, że porusza się za szybko.

Kiedy tylko weszli do lasu, okazało się, że ma poważny problem, by dotrzymać kroku dziewczynie. Musiał stale zwalniać, żeby ominąć wystające korzenie i obrośnięte mchem kamienie, gdy tymczasem Sasha przyspieszała, przeskakując lekko nad przeszkodami. On nie

potrafił zrobić kroku po cichu, a ona poruszała się z gracją sarny. Najwyraźniej już wiele razy przemierzała te ścieżki. Wells zastanawiał się, jak to możliwe, żeby znać las tak dobrze jak bliską osobę...

Przeskakiwać nad zwalonym pniem tak naturalnie, jakby się ujmowało czyjąś dłoń.

Sasha prowadziła Wellsa w dół wzgórza szlakiem, którym szedł po raz pierwszy w życiu. Drzewa rosły tu rzadziej, a wysoka trawa sięgała niemal do kolan. Długi warkocz dziewczyny rozplótł się, a ciemne włosy spłynęły jej na plecy.

– Myślisz, że twoi bliscy się o ciebie martwią? – wypalił bez zastanowienia.

Z początku myślał, że go nie usłyszała, ponieważ nie odwróciła się ani nie zwolniła tempa. Łączący ich łańcuch zadrżał jednak.

– Martwią... a pewnie także się wściekają – przyznała. – Kazano nam trzymać się z daleka od was, ale musiałam was zobaczyć na własne oczy.

Wells przyspieszył tak, że szli teraz po raz pierwszy obok siebie.

– Całe życie zastanawiałam się, jak jest w kosmosie i jacy ludzie tam mieszkają. Nie znałam blisko nikogo z pierwszej grupy, zamieniłam z nimi może ze dwa słowa. Kiedy wylądowaliście, nie mogłam tego przegapić.

Wells wybuchnął śmiechem. Łańcuch nagle się napiął. Sasha stanęła i spojrzała na niego podejrzliwie.

– Co w tym zabawnego? – zapytała.

– Nic. To śmieszne, że chciałaś wiedzieć, jak jest w kosmosie, podczas gdy ja przez całe życie byłem ciekaw, jak wygląda życie na Ziemi.

Popatrzyła na niego dziwnie, ale znowu ruszyła naprzód.

– Naprawdę? A co chciałbyś wiedzieć?

– Ilu ludzi przeżyło kataklizm? Czy są gdzieś jeszcze jakieś miasta? Jakie zwierzęta tu teraz żyją? Czy widziałaś kiedyś ocean? Co się dzieje, kiedy... – przerwał, widząc, że Sasha szczyrzy zęby w uśmiechu. – No co?

– Może tak po jednym pytaniu?

– Dobra – uśmiechnął się. – No to na pierwszy ogień: kto przeżył? Jak to wyglądało po bombardowaniu?

– Nie jesteśmy pewni – przyznała Sasha. – Nasi przodkowie zdążyli się ukryć w głębokim samowystarczalnym schronie przeciwiatomowym. Skały ochroniły ich przed promieniowaniem. Wyszli na powierzchnię dopiero pięćdziesiąt lat temu i nie znaleźli

żadnych śladów innych ludzi. O ile wiemy, tylko my tutaj przeżyliśmy, ale być może gdzieś na świecie są jeszcze inni.

– A gdzie właściwie jesteśmy? – zapytał Wells.

– Naprawdę nie wiesz? – Uniosła brwi, niepewna, czy chłopak nie żartuje. – W Ameryce Północnej. To miejsce kiedyś nazywano Wirginią. Nie powiedzieli wam, dokąd was posyłają? Po co taka tajemnica?

Wells zawahał się. Nie chciał ujawniać wszystkich szczegółów misji. Gdyby przyznał, że wszyscy są młodocianymi przestępcami, których w osiemnaste urodziny niemal na pewno czekała egzekucja, prawdopodobnie nie przydałoby im to wiarygodności w oczach tubylców.

– Lądownicy nie mają wyrafinowanego systemu nawigacji. Nie byliśmy pewni, gdzie ostatecznie usiądziemy.

– A mimo to wylądowaliście w promieniu dziesięciu mil od poprzedniego statku – skomentowała sceptycznie dziewczyna. – Musieli was posłać w to miejsce z jakiegoś powodu. Może mieliście nas odnaleźć?

Wells poczuł ciarki na plecach. Nikt w Kolonii nie wiedział przecież o ludziach ocalonych z kataklizmu... ale czy na pewno?

– Jeżeli jesteśmy w Wirginii, to gdzieś tu w pobliżu powinien być Waszyngton, no nie? – zapytał, chcąc zmienić temat. – Czy pozostały tam jakieś budynki?

Poczuł, że tętno przyspiesza mu na myśl o wyprawie do ruin Białego Domu albo jeszcze lepiej – któregoś ze sławnych muzeów. Pamiętał, że w Waszyngtonie było ich wiele.

Skrzywił się z rozczarowaniem, gdy Sasha pokręciła głową.

– Nie, podczas wojny miasto zrównano z ziemią. Zostało tam zaledwie kilka budowli, i to w kompletnej ruinie. Uważaj na głowę! – przestrzegła, pochylając się pod gałęzią.

Poprowadziła go ścieżką nad strumyczkiem, a potem przez gaj, w którym drzewa rosły tak blisko siebie, że ich gałęzie splatały się w dach nad głową. Wells poczuł się głupio: pozwalał, żeby prowadziła go w kierunku, w którym nie zapuszczał się jeszcze nikt z zesańców.

A jeśli to pułapka?

Poczuł na karku muśnięcie czegoś miękkiego i lepkiego. Krzyknął i zamachnął rękoma, próbując się uwolnić. Między palcami zostały mu rozpadające się delikatne nici przypominające jedwab.

– Co to jest? – zapytał z obrzydzeniem, wycierając dłonie.

– Spokojnie – roześmiała się Sasha, a on mimo woli też się

uśmiechnął, zdając sobie sprawę z tego, jak głupio wyglądał. – To tylko pajęczyna, widzisz?

Wells podążył wzrokiem za jej palcem i zobaczył drzewo spowite w delikatne błyszczące sploty wiszące między gałęziami i tworzące osobliwą sieć.

Sasha pociągnęła go naprzód, ale nie mógł oderwać oczu od tego widoku. Pajęcza sieć wydawała mu się nieoczekiwanie piękna, jej geometryczne kształty fantastycznie komponowały się z płataniną gałęzi i liści.

– Myślałem, że pająki są malutkie – zdziwił się.

– Niektóre z nich. Te mieszkające w lesie są większe. Niektóre mają taaakie długie nogi – powiedziała, pokazując gestem.

Przeszedł go dreszcz obrzydzenia, ale opanował się i ruszył dalej. Szli cicho przez zagajnik po ściółce tłumiącej odgłos kroków. Cisza i cienie pod drzewami tworzyły niezwykłą atmosferę, w której nie chciało się przerywać milczenia. Podobnie było w Kolonii: ludzie ściszczyli głosy za każdym razem, gdy znaleźli się w Sali Edenu, tradycyjnym miejscu zgromadzeń na „Feniksie”. Stało tam jedyne – jak wierzono – drzewo na świecie, przesadzone na „Feniksa” po kataklizmie. Rosło sobie spokojnie aż do chwili, kiedy podpalił je Wells, chcąc, by go aresztowano i posłano na Ziemię razem z Clarke. Po kolejnych dziesięciu minutach las znów zaczął rzednąć. Sasha poprowadziła go w górę stromego stoku. Gdy zatrzymali się na szczycie, uniosła rękę.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Wskazała kępę drzew nieopodal. Z początku Wells nie zauważył w nich nic szczególnego. Potem jednak zdał sobie sprawę, że z gałęzi zwisa coś dużego.

Podeszli do najbliższego pnia. Konary uginały się pod ciężarem zielonych strąków. Sasha stanęła na palcach i wyciągnęła dłoń ponad głowę, nie dosięgnęła jednak nawet tych najniższych

– Pozwól – zaoferował Wells, wyciągając rękę i łapiąc ten strąk, po który przed chwilą sięgała. Zerwał go z gałęzi i wręczył Sashy, podziwiając jego gruzłowatą powierzchnię.

Wprawnymi ruchami zaczęła obierać zewnętrzne warstwy, odsłaniając kolbę jasnoróżowych nasion.

– Co to takiego? – zapytał.

– To w kosmosie nie macie kukurydzy?

– Na plantacjach solarnych hodujemy różne warzywa, ale żadne z nich tak nie wygląda. – Urwał, a po chwili spytał: – Czy kukurydza nie

powinna rosnąć na polach?

Sasha wzruszyła ramionami.

– Może kiedyś tak, ale teraz rośnie na drzewach. Uważaj tylko na niebieskie, są dość ostre. Uniosła rękę w kajdankach. – Jak mi je zdejmiesz, możemy wspiać się na to drzewo i zerwać tyle kolb, ile tylko zdołamy unieść.

Wells zawahał się. Chciał jej wierzyć i czuł, że może to zrobić, ale gdyby zaryzykował i przegrał, wyszedłby na skończonemu durnia.

W końcu sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyk.

– Dobrze, zdejmę ci kajdanki, ale wiedz, że jeżeli uciekniesz, wszyscy będziemy cię ścigać.

Przez chwilę milczała, a potem uniosła prawą dłoń. Wells bez słowa wsadził kluczyk do zamka i przekręcił. Obręcz kajdanek otworzyła się, Sasha przez chwilę rozprostowywała i zginała palce, potem potrząsnęła dłonią i uśmiechnęła się.

– Dzięki!

Błyskawicznie wspięła się na drzewo, a potem podciągnęła na gałąź.

Wyglądało to na łatwe zadanie, lecz gdy Wells próbował ją naśladować, okazało się, że trudno mu znaleźć dobry uchwyt. Kora była szorstka, ale pokrywał ją śliski mech, więc dopiero po kilku próbach udało mu się wejść na jeden z niższych konarów.

Gdy dotarł do trzeciego od dołu, niezłe się zasapał. Tutaj kaczany rosły najgęściej. Sasha dopełzła niemal do koniuszka gałęzi, usiadła na niej okrakiem i obiema rękami zrywała kolby. Rzuciła je na ziemię, z tej wysokości wyglądającej na bardzo odległą.

Wells zaczerpnął powietrza głęboko w płuca i zmusił się do podniesienia wzroku. Widok z drzewa zapierał dech w piersiach. Oglądał wcześniej niezliczone fotografie najbardziej malowniczych miejsc na Ziemi, ale żadne z nich nie było tak piękne jak rozciągający się przed nimi pejzaż. Zielona łąka wyglądała prześlicznie na tle zamglonych fioletowych gór w oddali. Dostrzegł ich poszarpane białe szczyty i poczuł dreszcz podniecenia. Leżał na nich śnieg.

– Będę musiał pokazać to ojcu, kiedy się tu zjawi – powiedział bez zastanowienia.

Sasha podniosła głowę.

– Ojcu? To przyleci was więcej?

Wells nie był pewien, dlaczego jej oskarżycielski ton wywołał w nim poczucie winy. Koloniści spędzili ostatnie trzysta lat, usiłując rozwiązać problem powrotu ludzkiej rasy na Ziemię. W końcu mieli do niej takie samo prawo jak ci, którzy się na niej urodzili.

– Ależ oczywiście – odparł. – Statki nie będą istnieć wiecznie. W końcu wszyscy będą musieli wylądować.

„»W końcu« może równie dobrze oznaczać »w ciągu kilku najbliższych tygodni« – pomyślał. – A wszystko to przeze mnie”. Po zatrzymaniu Clarke za wszelką cenę chciał doprowadzić do tego, żeby zesłano ją na Ziemię, a nie stracono. Wiedział, że rada wciąż rozważa zesłanie Odosobnionych nastolatków, ale miał również świadomość, że misja musi się rozpocząć przed osiemnastymi urodzinami Clarke – więc zrobił coś strasznego: celowo uszkodził służbę zamykającą wyjście w przestrzeń kosmiczną. W ten sposób skrócił czas możliwego pobytu kolonistów w kosmosie i zmusił ich do przyspieszenia przylotu na Ziemię. Miał potworne wyrzuty sumienia, ale wiedział, że dzięki temu uratował życie Clarke.

– Czy ojciec nie chciał przylecieć razem z tobą?

Wellsowi ścisnęło się serce. Przypomniawszy sobie, w jakich okolicznościach widział go po raz ostatni. Znow patrzył przez zamykający się luk lądownika, jak krew rozlewa się coraz większą plamą na mundurze kanclerza. Przez następne tygodnie przekonywał sam siebie, że rana od postrzału była powierzchowna, a ojciec szybko wyzdrowieje i wyląduje z kolejną falą kolonistów. Nie było jednak żadnego sposobu, by dowiedzieć się, co naprawdę zaszło i czy ojciec jeszcze żyje.

– Ma mnóstwo obowiązków na statku – powiedział wymijająco. – Jest kanclerzem.

Sasha otworzyła oczy szeroko.

– Aha, czyli wszystkimi dowodzi? To dlatego ty jesteś przywódcą grupy, która wylądowała?

– Nie jestem żadnym przywódcą! – zaprotestował Wells.

– A mnie się wydawało, że wszyscy cię słuchają.

– Może... – westchnął. – Cokolwiek zrobię, przez cały czas czuję, że nie potrafię zadowolić wszystkich.

Sasha skinęła głową.

– Skądś znam to uczucie. Mój ojciec... widzisz, on dowodzi naszymi ludźmi.

Wells gapił się na nią, zaskoczony.

– Naprawdę? Twój ojciec jest kanclerzem?

– Nazywa się inaczej, ale myślę, że chodzi o to samo.

– Ach, więc wiesz, jak to jest... – zawiesił głos, próbując znaleźć właściwe słowa. Trudno było mu określić, co czuje, tym bardziej że przez szesnaście lat życia usilnie próbował ignorować te uczucia.

– Jak co jest? Jak to jest, kiedy w imię wysokich standardów wolno ci mniej niż pozostałym? Kiedy wszyscy spodziewają się, że będziesz znał odpowiedzi, podczas gdy przez większość czasu nie wiesz nawet, jakie pytania powinieneś zadać?

Wells uśmiechnął się. – Tak. Coś w tym rodzaju.

Sasha cisnęła na ziemię kolejny kaczan kukurydzy i przygryzła wargę.

– Współczuję ojcu, ale szczerze mówiąc, mam już tego serdecznie dość. Wszystko, co robię, jest interpretowane jako polityczna deklaracja.

– A co takiego zrobiłaś?

Zaśmiała się złośliwie.

– Różne rzeczy... których nie powinnam robić. Na przykład poszłam do waszego obozu. – Spojrzała Wellsowi prosto w oczy i figlarna mina zniknęła z jej twarzy. – A ty? Ojciec musiał ci naprawdę zaufać, jeżeli posłał cię samego na Ziemię.

Wells znalazł się w kropce. Najlepiej byłoby jej pozwolić myśleć w ten sposób. Na pewno inaczej potraktuje setkę zesłańców, jeżeli będzie przekonana, że zostali wybrani i specjalnie przeszkoleni do tej misji, a nie posłani na pewną śmierć jako banda kryminalistów.

Podmuch wiatru rozwiął czarne włosy Sashy i zasłonił jej twarz.

– Byłaś blisko, ale nie – odparł, zastanawiając się, co takiego w jej oczach sprawia, że on, Wells, zaczyna się zachowywać nader lekkomyślnie. – Nie uwierzyłabyś, gdybym powiedział ci prawdę.

Uniosła brwi. – Daj mi szansę.

– Kilka tygodni temu zostałem aresztowany za podpalenie jedyne go drzewa w Kolonii.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem ku jego zaskoczeniu zaśmiała się i przełożyła nogę na drugą stronę gałęzi. – Schodzę, zanim to drzewo ci podpadnie.

Dziewczyna zawisła na rękach, puściła konar i wylądowała zgrabnie pod drzewem.

– No, dalej – ponagliła. – Mamy już dość kukurydzy. A może się boisz?

Pokręcił głową. Nie miał zielonego pojęcia, jak zejść z drzewa, ale nie dbał o to. Po raz pierwszy, od kiedy wylądowali na Ziemi, czuł, że niczego się nie boi.

ROZDZIAŁ 12

Glass

- Nie możesz tego zrobić – oznajmił kategorycznie Luke, przerywając ciszę, jaka zapadła w małym warsztacie. Dotarli bez przeszkód do opuszczonego posterunku strażników, w którym przechowywano kombinezony używane do wychodzenia w przestrzeń kosmiczną. – To nie tylko niebezpieczne. To praktycznie samobójstwo. Jeżeli już ktoś powinien wyjść na zewnątrz, to raczej ja. Szkolono mnie do tego. Glass położyła mu rękę na ramieniu i z zaskoczeniem stwierdziła, że cały drży.
 - Nie – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy po raz pierwszy, od kiedy zdradziła mu swój plan. – To byłoby szaleństwo. Wyjść w kosmos, ryzykując życie, tylko po to, żeby zostać zastrzelonym zaraz po wejściu na „Feniksa”.
 - Myślę, że przy służbie raczej nie będą czekać na mnie strażnicy. Chyba nie podejrzewają, że ktokolwiek będzie na tyle szalony, by przedostać się na „Feniksa” od zewnątrz.
- Dotychczas na kosmiczne spacery wybierali się wyłącznie członkowie specjalnie wyszkolonego oddziału, do którego należał Luke, poza tym robili to tylko w razie konieczności, a wreszcie – podczas wyjścia w przestrzeń zawsze czuwał zespół kontrolujący poziom i ciśnienie tlenu, wypatrujący kosmicznych śmieci, które mogły zagrozić astronautom, oraz zapewniający wsparcie w razie awarii sprzętu. Glass próbowała nie dopuścić do siebie myśli, że niedługo spróbuje przejścia samotnie, bez asysty profesjonalistów.
- Otwarcie służby uruchomi alarm. Mogą mnie uwięzić, ale raczej nie zastrzelą bez pytania – upierała się.
 - Glass, nie mogę ci na to pozwolić. – Głos Luke’a był ochryply ze zdenerwowania.
 - Nie robię tego tylko dla nas – odparła, usiłując zachować spokój. –

Zamykając rękaw, „Feniks” zostawił kolonistów z „Waldena” i „Arkadii” na pewną śmierć. Nie pozwolę cierpieć niewinnym ludziom, jeżeli mogę im pomóc. Chcę otworzyć przejście.

Luke westchnął i zamknął oczy.

– No dobrze – powiedział. – W takim razie zaczynajmy.

Zaczął metodycznie sprawdzać wyposażenie, wyjaśniając Glass, jak to wszystko działa: kombinezon ciśnieniowy, klamry, lina, która połączy ją ze statkiem. Mówił o tym spokojnym, rzeczowym tonem, tak jakby szkolił nowego strażnika, a nie jedyną osobę we wszechświecie, którą kochał.

Poprowadził dziewczynę do sporego okna zaraz obok śluzy i pokazał uchwyty umieszczone na kadłubie statku.

– Śluzę na „Feniksie” da się otworzyć z zewnątrz. Odkręć duże koło, wejdź do komory, zamknij za sobą luk i wpuść powietrze. Jak już będziesz w środku, pójdę do rękawa i tam się spotkamy.

– To jesteśmy umówieni – powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Luke wręczył jej jednoczęściowy strój termiczny, który strażnicy zakładali pod kombinezon. – Przykro mi. To najmniejszy rozmiar – mruknął. Najwyraźniej uszyto go dla kogoś o wiele większego, ale musiał wystarczyć.

Glass szybko zdjęła koszulę i spodnie. Zadrżała z zimna i od razu dostała gęsiej skóry. Zakładając bieliznę termiczną, spojrzała na Luke’a. Przyglądał się jej tak intensywnie, jak jeszcze nigdy dotąd – jakby starał się zatrzymać w pamięci każdą linię jej ciała.

– Czekaj, wszystko się na tobie marszczy – powiedział nieswoim głosem. – Musi przylegać do skóry, o tak.

Glass stała nieruchomo, a on wygładzał materiał dłońmi, prostując fałdy. Jego palce przesuwaly się delikatnie po jej ramionach, w dół pleców i po biodrach, aż przeszedł ją dreszcz. Za każdym razem, gdy dotykał nowego miejsca, czuła ukłucie żalu. A jeśli Luke robi to po raz ostatni w życiu?

Skończył, cofnął się o krok i sięgnął po kombinezon. Sprawdził jego systemy i wręczył Glass.

W milczeniu pomógł jej wejść w dolną część kombinezonu i zapiął go ciasno wokół jej talii. Gdy dziewczyna podniosła ręce do góry, naciągnął przez głowę górę, a potem połączył obie części. Zatrząsk głośno kliknął, a Glass aż się zachłysnęła z wrażenia.

– Dobrze się czujesz? – zapytał chłopak.

Skinęła głową. Luke otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i sięgnął po rękawice. Naciągnął je starannie na jej dłonie.

Pozostał hełm.

– Powinnam najpierw spiąć włosy – zmartwiła się Glass, podnosząc dłonie w rękawicach.

– Ja to zrobię.

Luke wyjął gumkę do włosów z kieszeni jej spodni, następnie stanął za nią i delikatnie zebrał włosy w koński ogon, starannie zakładając kilka luźnych kosmyków za uszy, a na końcu ściągnął je gumką. Z nerwowym uśmiechem odstepił o krok.

– Myślę, że już czas ruszać. – Objął ciasno dziewczynę i mimo że kombinezon utrudniał kontakt, Glass poczuła się dużo lepiej. –

Proszę, uważaj na siebie na zewnątrz, dobrze? – powiedział stłumionym głosem. – Jeśli zdarzy się coś nieprzewidzianego, natychmiast wracaj. Nie ryzykuj bez potrzeby.

Glass skinęła głową.

– Kocham cię.

Nie potrafiła powiedzieć, ile razy już wypowiadała te słowa, ale tym razem brzmiało w nich echo wszystkich dotychczasowych „kocham cię” i nadzieja na wiele następnych.

Luke pochylił głowę i pocałował ją. Zamknęła na chwilę oczy i spróbowała udawać, że to normalny pocałunek, a ona jest zwykłą siedemnastolatką, która żegna się na chwilę z ukochanym. Pochyliła się ku niemu i w tym momencie sztywny, ciężki kombinezon przypomniał jej, gdzie się znajduje.

Luke podniósł hełm.

– Powodzenia – powiedział, pochylając się raz jeszcze i cmokając ją w czoło. Potem założył jej hełm i zatrzasnął klamry.

Glass z trudem powstrzymała krzyk, kiedy świat wokół niej pociemniał. Poczwała, że jest jej duszno. Znalazła się z powrotem w Odosobnieniu, nie widząc nic wokół siebie i nie mogąc odetchnąć. Ale gdy Luke uściśnął jej dłoń przez rękawicę, uspokoiła się, wzięła głęboki oddech i tlen z butli popłynął do jej płuc.

Ostatnio oddychała powietrzem, w którym go brakowało, toteż teraz opanowała ją chwilowa euforia. Nagle poczuła, że w pełni kontroluje swoje ciało i jest zdolna do wszystkiego. Pokazała Luke’owi dłoń z wyciągniętym kciukiem na znak, że jest gotowa, a potem podeszła do panelu kontrolnego. Wewnątrz hełmu coś zachrobotało i nagle usłyszała głos Luke’a:

– Jak się czujecie, astronauto?

– Wszystko w porządku – odparła niepewnie, zapomniawszy, gdzie znajduje się mikrofon. – Słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie – zameldował. – Radio działa. Dobra, idziemy na spacer?

Glass potwierdziła, a on zaprowadził ją do śluzy. Kombinezon był lżejszy, niż się spodziewała, ale chodzenie w nim wymagało świadomego wysiłku. Czuła się teraz jak dziecko uczące się chodzić, niepewnie wypróbowując każdą kończynę, zanim nią normalnie poruszyła. Luke wpisał kod na klawiaturze obok ciężkich metalowych drzwi, które otworzyły się, ukazując ciasną komorę śluzy. Po przeciwnej stronie widniał luk prowadzący na zewnątrz, w próżnię o temperaturze -270 stopni.

Luke przypiął linę z przodu kombinezonu, a potem sprawdził, czy jest porządnie przymocowana. Już wcześniej pokazał jej, w którym miejscu powinna przyczepić linę do statku i jak będzie się ona rozciągać i kurczyć, zgodnie z ruchami astronautki.

– Dobrze – jego głos dobiegał gdzieś zza jej prawego ucha. – Wróć teraz do środka i zamknij wewnętrzne drzwi. Potem dam ci znać, kiedy będziesz mogła bezpiecznie otworzyć luk na zewnątrz. Masz dziesięć sekund na przejście, zanim zaczniesz się automatycznie zamykać. Złap za pierwszy uchwyt i wyciągnij się na zewnątrz.

– To będzie łatwizna!

Sprawdził po raz ostatni kombinezon i wyposażenie, a potem ścisnął jej dłoń.

– Dasz sobie świetnie radę. – Delikatnie pogładził szybę hełmu. – Niedługo się zobaczymy.

– Tak, niedługo się zobaczymy – odparła niczym echo.

Zniknął za drzwiami, zostawiając ją samą. Od przepastnej kosmicznej przestrzeni dzieliła ją tylko pokrywa zewnętrznego luku i trzystuletni kombinezon kosmiczny.

– Okej – powiedział Luke przez radio. – Przygotuj się. Otwieram luk!

Glass podeszła do wyjścia, czując, jak jej nogi nagle stają się nieznośnie ciężkie. Po kilku krokach, chyba najdłuższych w życiu, dotarła do luku.

– Jestem gotowa – zaraportowała.

– Świetnie. Wprowadzam kod.

Usłyszała głośny pisk i pokrywa przed nią powoli usunęła się na bok.

Przez chwilę tylko stała i po raz pierwszy w życiu patrzyła w przestrzeń. Teraz rozumiała, co miał na myśli Luke, mówiąc, że kosmos jest piękny. Niebo było aksamitnie czarne, jak sukienka, którą uszyła jej kiedyś matka. Gwiazdy na tym tle wydawały się o wiele jaśniejsze niż wtedy, gdy oglądała je przez okno. Po raz pierwszy

szare chmury otulające powierzchnię Ziemi wyglądały tajemniczo, a nie przerażająco. Wydało jej się niewiarygodne, że gdzieś tam na dole jest Wells... „Jeżeli jeszcze żyje”, dodał cyniczny głosik w jej głowie.

– Ruszaj – zabrzączał głos Luke’a w jej uchu.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. Sięgnęła do pierwszego uchwytu, zmuszając się do zaciśnięcia na nim palców w rękawicy, i wyciągnęła resztę ciała na zewnątrz.

I oto zawisała w przestrzeni kosmicznej, trzymając jedną ręką za uchwyt. Patrzyła w przyprawiającą o zawrót głowy otchłań pełną gwiazd, gotową, by ją połknąć. Pokrywa luku zamknęła się za nią z głuchym łomotem.

Glass okręciła się w miejscu, przez chwilę ciesząc się nieważkością. Odnalazła wzrokiem drogę na „Feniksa” i momentalnie zaschło jej w ustach. Kiedy szła rękawem na „Waldena”, by spotkać się z Lukiem, nie sądziła, że to aż taka odległość – na zewnątrz ten sam szlak wydawał się nie mieć końca. Musiała przedostać się przez całą szerokość burty „Waldena”, żeby w ogóle dotrzeć do rękawa. „Dasz sobie radę – myślała, zaciskając zęby. – Musisz dać sobie radę. Po jednym uchwycie naraz”. Sięgnęła lewą dłonią do następnego szczebla, porem przeciągnęła resztę ciała. Przy braku przyciągania wymagało to niewielkiej siły, ale tętno wzrosło jej do niebezpiecznego poziomu.

– Jak ci idzie? – głos Luke’a odbił się echem wewnątrz hełmu.

– Tu jest pięknie – powiedziała cicho. – Teraz rozumiem, dlaczego zawsze zgłaszałeś się pierwszy, kiedy szukali ochotników do wyjścia w próżnię.

– Uroda kosmosu nie dorównuje twojej.

Glass przeciągała się od jednego szczebla do następnego, powoli wpadając w rytm. – Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom z centrum kontroli.

– Jeżeli dobrze pamiętam, to już ci to kiedyś powiedziałem – odparł, a ona się uśmiechnęła. Gdy wymykali się razem na plantacje solarne, patrzyli na gwiazdy przez wielkie okna kosmicznych szklarni, a Luke zawsze twierdził, że Glass jest od nich piękniejsza.

– Wygląda na to, że potrzebujesz nowego tekstu na podryw, chłopcze. – Wychyliła się ku następnemu uchwytowi i zaryzykowała spojrzenie wstecz. Luk śluzę zniknął już gdzieś za krzywizną kadłuba.

– Jak dużo mi zostało? – zapytała.

– Zbliżasz się do rękawa, więc bądź ostrożna. Nikt nie może cię

zobaczyć. Pod rękawem jest drugi zestaw szczelbi. Najlepiej, żebyś poszła właśnie tamtędy.

– Rozumiem.

Miarowymi ruchami przesuwała się naprzód, próbując nie myśleć, co by się stało, gdyby skafander uległ uszkodzeniu. Nagle wydał jej się bardzo cienki i delikatny jak na strój, który ma ją chronić przed próżnią.

Kątem oka dostrzegła rękaw. Przejście między „Feniksem” a „Waldenem” wciąż było zamknięte: hermetyczna przegroda tkwiła na swoim miejscu. Od strony „Waldena” kłębił się tłum ludzi bezsilnie walących w barierę pięściami w daremnej nadziei, że zostaną przepuszczeni na drugą stronę. Zbliżając się do rękawa, zobaczyła szczelbe, o których wspominał Luke. W przeciwieństwie do uchwytów umieszczonych z boku nie były one widoczne z przejścia. Pomiędzy ostatnią klamrą na kadłubie statku a pierwszym ze szczelbi pod spodem rękawa była jednak spora odległość, przez którą nie dało się sięgnąć ręką.

Glass zatrzymała się na chwilę. Jeżeli mocno odepchnie się od „Waldena”, powinna polecieć ku następnej drabinie. Jeśli chybi, nie stanie się nic złego, będzie tylko swobodnie orbitowała przez kilka sekund, zanim Luke nie zwinie linki i nie przyciągnie jej z powrotem. – Teraz muszę skoczyć do następnego uchwytu – powiedziała Glass. Skuliła się, opierając obie stopy o burtę, i wyciągnęła jedno ramię w kierunku szczelbi. Wzięła głęboki oddech, napięła mięśnie i odepchnęła się. Wrażenie szybowania w przestrzeni było niesamowite!

Niestety, najwyraźniej przeceniła siłę, z jaką powinna była się odepchnąć, i teraz przeleciała obok uchwytu, a palce wyciągniętej dłoni złapały tylko próżnię.

– Luke, nie trafiłam. Możesz mnie wciągnąć?

Zaczęła obracać się w przestrzeni. Straciła poczucie kierunku.

– Luke?

Głośnik wewnątrz hełmu milczał.

Glass słyszała tylko własny oddech. Wirowała coraz dalej od statku, a linka rozwijała się za nią swobodnie.

– Luke! – wrzasnęła, młócąc bezradnie ramionami. – Luke! – powtórzyła znowu, dysząc ciężko.

Zdawało jej się, że tlen ucieka w próżnię. Zaczepnęła go zbyt wiele i musiała poczekać, aż płuca się do tego przystosują. „Nie panikuj!”, przykazała sobie, jednak w tym samym momencie w wizjerze hełmu

mignęła jej Kolonia. Oddaliła się już zbyt daleko – „Walden”, „Feniks” i „Arkadia” z każdą sekundą malały jej w oczach. Linka zanadto się rozwinęła. Czy nie powinna się napiąć i zacząć przyciągać jej z powrotem do Kolonii? Wówczas przeszła ją jak ostrze noża inna myśl: a jeśli lina się zerwała? Glass orientowała się wystarczająco, by wiedzieć, że w takim wypadku będzie cały czas lecieć w tym samym kierunku, chyba że trafi na coś, od czego mogłaby się odepchnąć. Za dziesięć minut zacznie kończyć jej się tlen, a potem umrze. Jej ciało będzie wirować w próżni przez całą wieczność, coraz dalej i dalej od Kolonii.

Poczuła, że za chwilę się rozplacze i przygryzła wargę.

– Luke! – rzuciła w przestrzeń, próbując nie oddychać zbyt głęboko, by nie marnować tlenu. Wciąż obracała się wokół osi, co całkowicie ją dezorientowało, a w dodatku zaczynała ją boleć od tego głowa. Za każdym razem, kiedy widziała Kolonię, statki były coraz mniejsze.

Czyżby tak miał wyglądać koniec jej kosmicznego spaceru?

W tym momencie poczuła jednak gwałtowne szarpnięcie z przodu skafandra. Linka się napięła.

– Glass, jesteś tam? Wszystko w porządku?

– Luke! – Nigdy dotąd nie czuła takiej ulgi na dźwięk jego głosu. – Próbowałam skoczyć i nie sięgnęłam do uchwytu, a potem... Co się stało, że nie odpowiadałeś?

Linka zaczęła powoli ściągać ją z powrotem ku kadłubowi statku.

– Miałem... nieoczekiwanych gości w centrum kontroli. Jacyś ludzie szukali zapasów. Nie martw się, zająłem się nimi.

– To znaczy?

Luke westchnął.

– Musiałem ich ogłuszyć. Było ich czterech, Glass, i chcieli... – urwał.

– Nie zachowywali się przyjaźnie. Byłaś w niebezpieczeństwie, a ja nie miałem czasu wyjaśniać im, co się dzieje.

– Już dobrze, Luke – odparła.

W tym momencie dostrzegła rękaw i rząd szczebli biegnących po jego spodniej stronie. Tym razem na pewno chwyci je na czas.

– Jeszcze trochę... jeszcze troszeczkę – mruknęła do mikrofonu.

Uchwyt szybko się zbliżał, więc wyciągnęła ramię i sięgnęła do... –

Mam! – wrzasnęła, łapiąc metalową klamrę palcami.

– Dzielną dziewczyna! – w głosie Luke’a usłyszała uśmiech.

Odetchnęła z ulgą, a potem chwyciła następny szczebel. Szybko przedostała się pod rękawem i zbliżyła do kadłuba „Feniksa”.

W końcu dotarła do luku. Postawiła nogi na kadłubie i z całej siły

naparła na ciężkie koło. Luk otworzył się z cichym sykiem. Złapała za krawędź i wciągnęła się do ciasnej śluzy wyglądającej niemal identycznie jak ta na „Waldenie”.

– Jestem w środku!

Luke pozwolił sobie na okrzyk radości, po czym rzucił do mikrofonu:

– Świetnie, w takim razie lecę. Spotkamy się w rękawie!

– Do zobaczenia.

Glass zaczekała, aż zamknie się zewnętrzny luk, potem odczepiła linkę od skafandra i spieszenie ruszyła ku wewnętrznym drzwiom, które otworzyły się automatycznie. Po drodze zdjęła hełm i zaczęła odpinać mocowania kombinezonu. Jego zdjęcie zajęło jej więcej czasu, niż Luke’owi założenie, ale w końcu dopięła swego.

Na korytarzach było pusto: brakowało nie tylko strażników, ale ludzi w ogóle. Ucieszyła się, ale po chwili zreflektowała: co może teraz robić jej matka? Czy siedzi w mieszkaniu sama, ogarnięta panicznym strachem? Czy też mieszkańcy „Feniksa” udają, że wszystko jest jak zwykle, ignorując fakt, że dwie trzecie mieszkańców Kolonii zostało pozostawione na pewną śmierć? Gdzie się wszyscy podziali?

Przy rękawie było tylko dwóch strażników i żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na panel kontrolny. Stali w głębi rękawa z rękami na broni wiszącej u pasa, pilnując przegrody opuszczonej na środku przejścia. Od strony „Waldena” przy przezroczystej grodzi tłoczyli się ludzie wyglądający stąd jak żywa ściana.

Przyciskali twarze do szyby, krzycząc i pokazując strażnikom siniejące z braku tlenu dzieci. Gródź była dźwiękoszczelna, ale Glass wiedziała, jak cierpią, nawet nie słysząc ich głosów. Widziała dłonie czerwone od walenia w ścianę. Napierający tłum miażdżył powoli starszego człowieka z pobladłą twarzą, który osuwał się po przegrodzie na podłogę.

Nie miała wyboru. Musiała ich wpuścić, nawet jeśli oznaczało to mniej tlenu dla niej, dla jej matki i Luke’a.

Przemknęła do opuszczonego stanowiska z panelem kontrolnym.

Przełącznik był całkiem prosty. Ta technologia nie kryła w sobie żadnych niuansów: rękaw można było otworzyć lub zamknąć.

Zaczerpnęła oddech i pstryknęła głównym przełącznikiem.

Gdy odezwał się dzwonek alarmu, było już za późno. Strażnicy odwrócili się i z przerażeniem spojrzeli na Glass, kiedy gródź zaczęła podnosić się do sufitu. Pierwszy przecisnął się starszy mężczyzna, pchany przez niecierpliwą tłum. Następnie przez szczelinę przepęzło na brzuchu kilka kobiet. W ciągu kilkunastu sekund przegroda

całkowicie się otworzyła, a rękaw wypełnili biegnący ludzie – krzyczący, łkający z ulgi i radości, łapczywie chwytający powietrze. Glass stanęła na palcach, próbując dostrzec ponad głowami tłumy twarz jedyne go człowieka, na którym jej zależało. I oto był, na samym końcu. Kiedy do niej dotarł, dumny uśmiech na jego twarzy powiedział jej, że postąpili słusznie. Właśnie ocalili setki ludzkich istnień – zarazem skracając życie setek innych. W tym również własne.

ROZDZIAŁ 13

Clarke

Późnym rankiem chata była już niemal pusta. Po dwunastu godzinach walki o miejsce w zatłoczonej przestrzeni śmierdzącej potem i strachem koloniści najwyraźniej uznali, że zagrożenie ze strony Ziemi nie jest takie znów wielkie.

Mimo to w obozie nadal panowała napięta atmosfera. Większa grupa zesłańców wzięła się do stawiania czwartej chaty, która miała rozwiązać problem ciasnoty. Wells był nieobecny, więc nadzór nad budową przejął chwilowo Bellamy. Clarke słyszała, jak wydaje polecenia dotyczące fundamentów i belek nośnych.

Uśmiechnęła się, ale uśmiech szybko spęłzył jej z twarzy, kiedy sprawdziła stan Molly i Feliksa. Nic nie wskazywało, by mieli szybko wyzdrowieć. Co gorsza, u dwojga innych – arkadyjczyka i dziewczyny z „Waldena” – pojawiły się te same objawy: zmęczenie, dezorientacja i mdłości.

W chacie szpitalnej Priya pomagała na wpeł przebudzonej Molly przełknąć kilka łyków wody. Skinęła na powitanie, delikatnie opuściła głowę chorej z powrotem na poduszkę, a potem podeszła do Clarke,

wciąż dzierżąc metalowy kubek.

– Może będziemy używać tego kubka wyłącznie w szpitalu? – zaproponowała cicho. – W razie gdyby ich choroba okazała się zakaźna?

– Doskonały pomysł – pochwaliła Clarke. – A ty nie boisz się, że coś złapiesz?

Priya wzruszyła ramionami i odgarnęła kosmyk czarnych włosów za ucho.

– Jeżeli nie będziemy dbali o siebie nawzajem, to znaczy, że w Kolonii nie mylili się co do nas.

– Nie mylili? Oni? To znaczy kto?

– Ci, którzy skazali nas na śmierć w osiemnaste urodziny. Wiesz, że trafiłam do lądownika prosto z komory straceń? Doktor stał już przy mnie, gotów do zastrzyku, kiedy na jego implant przyszła wiadomość, że egzekucja jest odwołana, że zsyłają mnie na Ziemię.

– Za co cię Odosobniono? – zapytała półgłosem Clarke, wyczuwając, że to odpowiedni moment na zadanie pytania, które w ich obozie stanowiło największe tabu.

Zanim jednak Priya zdążyła odpowiedzieć, drzwi otworzyły się szeroko i do środka wpadł zdenerwowany i wyczerpany Eric.

– Uważam, że powinnaś dać im w końcu te tabletki – powiedział, porzucając wszelkie pozory dobrych manier. Clarke już miała zapytać, o co mu chodzi, ale Eric nie dał jej dojść do słowa: – Wiem o tabletkach na chorobę popromienną. Powinnaś dać je chorym, i to już.

Clarke popatrzyła na niego, mając nadzieję, że roztacza wokół siebie aurę profesjonalizmu i pewności.

– To coś innego – stwierdziła, przywołując ostatnie rezerwy cierpliwości, jakie zostały jej po ubiegłej przerażającej nocy. – A jeżeli nie są chorzy z powodu radiacji, te tabletki ich zabiją.

– Skąd wiesz? Na pewno? Nie ukończyłaś nawet szkolenia medycznego! Co ty wiesz o chorobie popromiennej?!

Clarke zbladła. Pytanie nie obraziło jej – wiedziała przecież, że Eric martwił się o Feliksa – ale dotknęło jej najgłębszej tajemnicy, dużo bardziej bolesnej niż

jakakolwiek fizyczna rana. Tylko dwoje ludzi na Ziemi wiedziało, za co została Odosobniona. Nikt poza tym nie był świadom eksperymentów jej rodziców ani losu dzieci, które ucierpiały w ich wyniku.

Spróbowała inaczej:

– Gdyby promieniowanie zabijało, wszyscy Ziemianie byłiby już

martwi.

– Nie, jeśli wykształcili ewolucyjną odporność. A może poradzili sobie z tym jakoś inaczej?

Na to nie znalazła odpowiedzi. Żałowała, że nie zdążyła zapytać Sashy o innych kolonistów z grupy, która wylądowała tu rok wcześniej. Od chwili, kiedy natknęła się na metalowe szczątki, w jej umyśle powoli dojrzewiała pewna teoria. Była pewna, że te kawałki to brakujące ogniwo, musiała tylko dowiedzieć się czegoś więcej.

– Nie martw się – powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu Erica. – Na pewno coś ustalimy i wyleczymy ich. Możesz przez chwilę dotrzymać Prii towarzystwa i popilnować pacjentów? Zaraz wracam.

Eric skinął głową i z westchnieniem usiadł na ziemi obok pryczy Feliksa. Priya patrzyła na niego przez chwilę, a potem kucnęła obok i ścisnęła współczująco jego rękę.

– Możesz iść, Clarke. Zadbamy o chorych.

Clarke zmrużyła oczy, wychodząc na oświetloną przestrzeń. Ból w ramieniu prawie minął i po raz pierwszy od kilku dni mogła myśleć jasno. Fizycznie czuła się dużo lepiej, ale męczył ją wewnętrzny niepokój. Szukając w obozie Sashy, zastanawiała się, czy Ziemiańska zdołała zmylić czujność Wellsa i uciec. A może dorwali ją Graham z kumplami?

Rozejrzała się po polanie. Większość zesańców krzątała się zwawo przy nowej chacie. Część ściągała wielkie kłody drewna na budowę, inni robili w mniejszych klocach wycięcia służące do łączenia elementów konstrukcji. Kilku starszych chłopaków zaczęło toczyć największe pnie w kierunku wykopów na fundamenty.

Bellamy pracował bez koszuli, a jego tułów lśnił od potu. Nawet z tej odległości Clarke widziała, jak mięśnie grają mu pod skórą, kiedy z całych sił próbował wepchnąć pień na swoje miejsce.

Akurat podeszła do niego wysoka dziewczyna w towarzystwie dwóch chichoczących koleżanek. Te trzy doprowadziły modę na skracanie odzieży do skrajności, a teraz obciągały postrzępione krawędzie szortów, które sięgały doprawdy wysoko.

– Hej – powiedziała kuszącym tonem pierwsza z nich – potrzebujemy kogoś wysokiego, kto pomógłby nam naprawić dach w północnej chacie. Trochę się zapada w jednym rogu.

Bellamy nie raczył nawet spojrzeć: – Zbudujcie sobie drabinę.

Clarke powstrzymała chichot, kiedy przez twarz dziewczyny przemknął cień irytacji, a potem ponownie pojawił się na niej fałszywy uśmiech:

- Pokażesz nam, jak to zrobić?
Bellamy zerknął przez ramię i skinął ręką.
– Hej, Antonio, podejdź tu, proszę!
Natychmiast podbiegł do niego niski krępy chłopak z pryszczami i
dobrodusznym uśmiechem.
- Te damy potrzebują pomocy przy naprawie chaty. Zobacz, co się da
zrobić.
- Z przyjemnością – odparł Antonio, wodząc wzrokiem od
Bellamy’ego do dziewczyn, które bez powodzenia próbowały ukryć
rozczarowanie.
- Clarke uśmiechnęła się do siebie, zadowolona, że podrywaczki nie
zainteresowały Bellamy’ego. Promieniował wszak taką pewnością
siebie i galanterią (jeżeli dopisał mu nastrój), iż trudno było uwierzyć,
że miał wcześniej tylko jedną dziewczynę.
- Jeszcze trudniej byłoby uwierzyć, że Clarke widziała jej twarz każdej
nocy przed snem i słyszała jej głos, kiedy cichły wszystkie inne.
Potrząsnęła głową, by odegnać koszmary, i ruszyła ku Bellamy’emu.
- Ależ z ciebie dżentelmen – rzuciła prowokacyjnie, patrząc na
oddalającą się grupkę dziewcząt, którym przewodził wyraźnie
uszcześliwiony Antonio.
- Noo, dzień dobry! – Bellamy przyciągnął ją do siebie i
bezceremonialnie uściskał. – Jak się dzisiaj czujesz?
- Czuję, że potrzebuję prysznic – odepchnęła go od siebie ze
śmiechem. – Cała jestem w twoim pocie!
- Cóż, to jesteśmy kwita. Niosłem cię, nieprzytomną, przez sześć
kilometrów. Nie wiedziałem, że człowiek może się tak ślinić i nie
umrzeć z odwodnienia.
- Nie obśliniłam cię! – zaprotestowała.
- A skąd wiesz? Przecież straciłaś przytomność, chyba że... –
zmrużył oczy z żartobliwym namysłem – chyba że udawałaś
ugryzioną, żebym cię niósł. No, nieźle to sobie wymyśliłaś!
- Clarke tylko się uśmiechnęła i zmieniła temat:
- Wiesz może, dokąd poszła Sasha?
Twarz Bellamy’ego stężała.
- Myślę, że Wells gdzieś ją zabrał. Od paru godzin nie widziałem
żadnego z nich. – Potrząsnął głową. – Co za idiota!
- Aha. – Clarke usiłowała to powiedzieć bez drżenia w głosie.
Przecież nie powinno jej obchodzić, że Wells zniknął gdzieś z Sashą.
Miał prawo rozmawiać z ziemską dziewczyną tak samo jak Clarke. Z
jakiegoś powodu jednak nie spodobała jej się wizja tych dwojga

samych w lesie.

– No tak, zgadzam się z tobą – odparł Bellamy, myląc jej zaskoczenie z dezaprobatą. – Nie wiem, co on sobie, do cholery, myśli. Ja nie mogę jej zmusić, żeby pomogła mi znaleźć Octavię, ale Wells może sobie z nią iść na piknik. To się trzyma kupy, no nie?

– Wiesz co, a może pójdziesz ze mną? Chcę jeszcze raz zerknąć na szczątki, które znaleźliśmy w lesie.

Bellamy zawahał się. – To chyba nie jest za dobry pomysł.

– Będziemy uważać na Ziemię. Wszystko pójdzie świetnie.

– Ale to... Wolałbym nie oddalać się zbyt od obozu, w razie gdyby Octavia wróciła. Nie chciałbym tego przegapić.

Clarke skinęła głową, czując wyrzuty sumienia. Oto próbuje udowodnić swoją śmieszoną teorię, podczas gdy Bellamy nawet nie wie, czy jego siostra żyje! Jej koledzy być może umierają w chacie szpitalnej, a ona ma tabletki, które mogłyby ich ocalić.

– Masz rację. Pójdę sama.

– Co? – potrząsnął głową. – Co to, to nie. Wolałbym raczej, żeby Graham obślinił mnie od stóp do głów. Nie pozwolę!

– A co ty tu masz do pozwalania? – zapytała zaczepnie. – Przykro mi bardzo, ale ostatnio nikt mną nie komenderował!

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. Martwię się o ciebie.

– Dam sobie radę.

– Oczywiście, że dasz radę, bo idę z tobą.

– No dooobra... – zgodziła się Clarke, udając, że jest na niego zła. Wiedziała doskonale, że Bellamy nie próbuje jej kontrolować, tylko stara się o nią zadbać. Ta myśl wywołała rumieńce na jej twarzy. Wyślizgnęli się z obozu, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybierają.

Kilka minut później wędrowali już w milczeniu leśną ścieżką. Po jakimś czasie znaleźli się w znajomym miejscu, Clarke jednak miała wątpliwości.

– Jesteś pewien, że dobrze idziemy? – zapytała, kiedy minęli pokryty mchem gład, obok którego przechodzili chyba kilka minut wcześniej.

– No pewnie. Tam prawie cię upuściłem – odparł, wskazując jakiś nieokreślony punkt w oddali. – Tutaj zatrzymałem się, żeby sprawdzić, czy czasem nie udławiłaś się wymiocinami. A tu, popatrz, dokładnie tutaj odzyskałaś na chwilę świadomość i powiedziałaś mi, że w życiu nie widziałas takiego wielkiego... – tu przerwał z okrzykiem udawanego bólu, gdy Clarke dała mu łokciem kuksańca w brzuch.

Roześmiał się, ale natychmiast spoważniał, kiedy jakiś przedmiot

nieco dalej przyciągnął jego wzrok.

– Teraz jesteśmy już blisko.

Clarke skinęła głową i zaczęła bacznie oglądać okolice w poszukiwaniu metalowych szczątków. Za wszelką cenę chciała wyjaśnić, skąd pochodziły. Z lądownika? Czy też ze schronienia wybudowanego przez pierwszych kolonistów?

Zamiast błysku metalu dostrzegła jednak coś innego: kształty, które sprawiły, że poczuła serce w gardle.

Z ziemi wystawały trzy spore głązy. Kiedyś być może stały prosto, ale teraz dwa z nich pochylały się ku sobie, a trzeci od nich odstawał.

Zbliżonych rozmiarów, różniły się tylko kształtem. Niewątpliwie zostały tam postawione celowo. Nawet z pewnej odległości Clarke potrafiła rozróżnić prymitywne oznaczenia – litery wyrzeźbione pospiesznie jakimś prowizorycznym narzędziem... A może wykute przez kogoś, kto trząsał się z żalu i strachu?

„Spoczywaj w pokoju”.

Clarke nigdy nie słyszała, żeby ktoś wypowiedział te słowa na głos, ale czuła ich wagę w sercu, jakby pamięć o nich przekazano jej w genach. Wyciągnęła dłoń ku Bellamy'emu, jej palce chwyciły jednak tylko powietrze.

Odwróciła się i zobaczyła, że chłopak klęczy przed jednym z nagrobków. Podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

– To groby – powiedział cicho, nie patrząc na nią.

– Przed nami naprawdę była tu inna misja. Sasha mówiła prawdę.

Skinął głową i przesunął palcem po kamieniu.

– Wiesz co, to miłe – mieć takie miejsce, w którym można odwiedzać tych, którzy odeszli. Żałuję, że nie mieliśmy czegoś takiego w Kolonii, czegoś bardziej osobistego niż ściana pamięci.

– Kogo chciałbyś odwiedzić? – zapytała cicho. Czy wiedział, że Lilly nie żyje? Kiedy widział ją po raz ostatni?

– Kilku... przyjaciół. Ludzi, z którymi nie zdążyłem się pożegnać.

Bellamy wstał z westchnieniem i objął Clarke. Odwzajemniła uścisk, a potem spojrzała jeszcze raz na mogiły.

– Myślisz, że zginęli podczas lądowania? Czy później, po spotkaniu z Ziemianami?

– Nie wiem. Czy to ważne?

– Żałuję, że nie posłano nas wcześniej. Może moglibyśmy im pomóc? Bellamy przytulił ją.

– Nie da się ocalić wszystkich, Clarke – wymruczał.

„Nie masz o tym pojęcia”, pomyślała.

ROZDZIAŁ 14

Wells

- Ostrożnie – przestrzegł Wells, widząc, że jeden z młodszych chłopców sięga do ognia. – Zrób to patykiem.
- Dam radę – odparł tamten, ostrożnie zdejmując kolbę kukurydzy z rozgrzanych kamieni ułożonych przez Wellsa w ognisku tak, jak poradziła mu Sasha.

Kukurydza ocaliła im życie. Teraz w obozie zamiast pokątnych szeptów i jęklivych skarg rozlegał się ożywiony gwar rozmów, a w tle trzaskało wesoło ognisko. Zesłańcy siedzieli wokół niego, wgrzając się w dziwne, ale jakże pożądane jedzenie.

Wells i Sasha wrócili do obozu, dźwigając tyle kukurydzy, ile potrafili unieść, a potem chwycili dwa puste wiadra i jeszcze raz udali się do sadu. Kiedy przynieśli więcej zapasów, uśmiechając się mimo zmęczenia, Wells niemal zapomniał, że Sasha właściwie jest jeńcem.

Czuł się bardzo niezręcznie, kiedy, podziękowawszy jej za pomoc, musiał przemycić ją z powrotem do chaty szpitalnej. Na szczęście

Clarke gdzieś poszła, a chorzy spali, więc nikt nie widział, jak przeprosza Ziemiankę za to, że musi ponownie związać jej ręce. „Złapaliśmy ją, kiedy nas szpiegowała”, przypomniał sobie. W tle grupa dziewcząt z „Waldena” wyzywała chłopaków na zawody w rzucaniu obgryzionymi kaczanami. Wells chciał zaprotestować, ponieważ Sasha ostrzegła ich, żeby nie zostawiali na polanie resztek kukurydzy, które mogłyby przyciągnąć zwierzaki, ale zrezygnował. Jeżeli chce przemycić trochę jedzenia dla więźniarki, lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

Ostrożnie wyjął kilka kolb spomiędzy żarzących się węgli, zawinął w koszulę, żeby nie poparzyć sobie rąk, i wrócił do chaty.

– Hej – wyszeptał, podchodząc do jej pryczy. – Przyniosłem ci trochę kukurydzy.

Wręczył jej kaczan, który zdążył już nieco ostygnąć, a potem ułożył pozostałe przy Molly, Feliksie i Elizie, żeby mogli je zjeść, kiedy się obudzą. Coraz trudniej było znaleźć ochotników, którzy zaopatrywaliby chorych w pożywienie i wodę. Plotki o chorobie zaczęły rozchodzić się po obozie i do chaty szpitalnej nie zaglądał już prawie nikt poza Clarke, Wellsem, Bellamym, Prią i Erikiem.

– Dzięki – odparła Sasha, spojrzała czujnie w kierunku drzwi i nadgryzła swoją porcję.

– Jak smakuje? – spytał Wells, siadając znów na jej pryczy. – Lepiej niż pasta proteinowa?

Uśmiechnęła się.

– Tak, dużo lepiej. Ale i tak jest dość mdła. Dlaczego nie przyprawiliście kukurydzy liśćmi pieprzowymi, jak wam poradziłam?

– Wiesz, kukurydza znikąd sama w sobie była już wystarczająco podejrzana. Gdybym zdradził im jeszcze jakieś fikuśne kulinarne sztuczki, mogłyby wybuchnąć rozruchy.

Spodziewał się, że Sasha skomentuje kpiąco jego kucharskie umiejętności, ale ona spoważniała.

– Nie ufają mi, tak? – spytała z napięciem w głosie. – Co mam zrobić, żeby przekonać was, że nie miałam nic wspólnego z atakami?

– Wystarczy poczekać – odparł, chociaż nie był do końca pewien, czy on sam jej wierzy. Wiedział, że Sasha jest życzliwa i działa rozsądnie.

Niestety nie oznaczało to, że inni – a zwłaszcza jej ojciec – nie uciekną się do przemocy. Gdyby Kolonii zagrażał jakiś wróg, kanclerz Jaha nie zastanawiałby się dwa razy przed zaatakowaniem go.

Otworzyły się drzwi i do chaty weszła Kendall. Wells skoczył na równe nogi.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała, patrząc z nieprzeniknionym wyrazem twarzy to na Wellsa, to na Saszę. – Chciałam się tylko zdrzemnąć. Nie spałam najlepiej ubiegłej nocy.
– Świetnie, proszę bardzo. – Wells wskazał gestem puste prycze. – Jest tu mnóstwo miejsca.

Najwyraźniej Kendall nie obawiała się zarażenia tajemniczą chorobą.

– Ach, nie będę przeszkadzać. Spróbuję w innej chacie.

Spojrzała z ociąganiem na Wellsa, odwróciła się i wyszła.

– Widzisz? Nikt nie chce przebywać ze mną w jednym

pomieszczeniu. Wszyscy uważają mnie za morderczynię. Wells spojrzął w kierunku Elizy. Jej grubo zabandażowana noga była bardzo wymownym ostrzeżeniem przed Ziemianami. A na cmentarzu przybył świeży grób Ashera. Dopóki Sasha nie udowodni, że naprawdę nie ma nic wspólnego z krwiożerczym odłamem Ziemian, młodzi zesańcy nie przestaną traktować jej jako zagrożenia.

– Chcesz iść na spacer? – zaproponował. – Głupio, żebyś tak tu siedziała przez cały dzień.

Sasha posłała mu długie, badawcze spojrzenie, a potem uniosła związane dłonie.

– Dobrze, ale tym razem bez kajdanek. Wiesz, że nigdzie ci nie ucieknę.

Wells rozwiązał ją, a potem, kiedy poprawiała włosy, sprawdził jeszcze, jak się ma Molly.

– Hej – szepnął, klękając przy jej pryczy. – Jak się czujesz? – Wymamrotała coś niewyraźnie, ale nie otworzyła oczu. – Molly? – Wells z westchnieniem naciągnął koc na jej chude ramiona, a potem założył kosmyk przepoconych włosów za ucho. – Niedługo wrócę – powiedział cicho.

Wyjrzał na polanę. Większość zesańców wciąż jeszcze siedziała wokół ognia, a pozostali kończyli konstrukcję dachu nowej chaty. Jeśli on i Sasha się pospieszą, dadzą radę wymknąć się niepostrzeżenie. Nie przyszło mu do głowy, że po raz drugi tego samego dnia robi coś w tajemnicy przed innymi. Odwrócił się i skinął na Sashę. Szybko przemknęli ku linii drzew.

Tym razem poprowadziła go w innym kierunku. Nigdy nie chodził w tę stronę. Wells, inaczej niż Bellamy, nie przebywał dłużej w lesie i czuł się pewnie tylko na ścieżce, którą noszono wodę ze strumienia do obozu.

– Uważaj – rzuciła Sasha przez ramię. – Zaraz zrobi się trochę stromo.

„Trochę stromo” – łagodnie powiedziane! Grunt zaczął raptownie opadać, więc Wells zsuwał się bokiem, łapiąc się cienkich, giętkich drzewek rosnących na stoku, by nie runąć w dół. Spadek był tak ostry, że korzenie niektórych drzew rosły w powietrzu, zamiast zagłębiać się w ziemię.

Dla Sashy stromość zbocza wydawała się nie być żadnym problemem. Wyprzedziła Wellsa o dobrych parę metrów. Prawie nie zwolniła, tylko rozpostarła ramiona, żeby łatwiej utrzymać równowagę. Wyglądała jak ptaki, które widywał szybujące nad

polaną.

Z tyłu dobiegł głośny trzask. Zaskoczony, odwrócił szybko głowę. To wystarczyło. Stracił równowagę i zaczął się zsuwać po śliskiej trawie.

Próbował wbić palce w zbocze, żeby spowolnić spadanie – bezskutecznie. Nabierał prędkości, aż coś go gwałtownie zatrzymało. Bez tchu odwrócił głowę do tyłu i zobaczył Sashę, która trzymała go za kołnierz kurtki.

- Zachciało ci się na sanki? Poczekaj jeszcze parę miesięcy – zażartowała, pomagając mu się podnieść.
- Sanki? – powtórzył Wells, otrzepując siedzenie spodni i próbując nie myśleć, jak idiotycznie musiał wyglądać. – Chodzi ci o to, że spadnie śnieg?
- Jeżeli dożyjesz zimy – odparła, łapiąc go za łokieć, gdy znów się poślizgnął.
- Jeśli umrę, nie zobaczywszy śniegu, to dlatego, że jeden z twoich przyjaciół wsadzi mi strzałę w plecy, a nie dlatego, że upadnę na tyłek.
- Ile razy mam ci to wyjaśniać? Ci mordercy wcale nie są moimi przyjaciółmi.
- No dobrze, ale chyba znasz ich na tyle, że możesz poprosić, by przestali nas atakować? – odparł, usiłując przeniknąć badawczym spojrzeniem jej beznamiętną minę.
- To trochę bardziej skomplikowane – westchnęła, ruszając w dół stoku.
- Wygląda na to, że lubisz skomplikowane rozwiązania – odciął się, pokazując gestem trudną trasę.
- Przewróciła oczami.
- Zaufaj mi, chłopczyku z kosmosu. To, co ci chcę pokazać, będzie tego warte.

Byli już niemal na dole, gdy Wells odepchnął się, chcąc pokonać ostatnie metry skokiem. Wylądował jednak nie na trawie, jak się spodziewał, lecz na czymś twardym. Zabolało, i to nieźle. Na szczęście tym razem nie upadł. Skrzywił się, lecz gdy spojrzał w dół, zaskoczenie kazało mu zapomnieć o bólu.

Zeskoczył nie na ziemię ani na trawę, ale na skałę. Schylił się i musnął palcami szorstką, szarą powierzchnię. Nie, to nie była skała – to była nawierzchnia szosy. Odskoczył na bok i rozejrzał się w obie strony, niemal spodziewając się usłyszeć warkot silnika.

- Wszystko w porządku? – zapytała Sasha, podchodząc do niego. Skinął głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Kiedy znalazł Clarke w

ruinach kościoła, był zbyt przerażony, by zwracać na cokolwiek uwagę. Teraz się pochylił i przyjrzał uważnie cementowej nawierzchni pociętej szczelinami, w których wyrastały małe roślinki.

Mieszkając w Kolonii, uważał kataklizm za abstrakcję. Wiedział, ilu ludzi wówczas zmarło, ile ton toksyn uwolniono do atmosfery i tak dalej. Teraz jednak przyszli mu na myśl ludzie, którzy jechali, biegli, a może nawet pełzli tą drogą, rozpaczliwie próbując uniknąć śmierci. Ilu zmarło w tym właśnie miejscu, gdy ziemia się zatrzęsała, a powietrze wypełnił trujący dym?

– To zaraz za zakrętem – powiedziała Sasha, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Chodź za mną.

– Co jest zaraz za zakrętem? – zapytał, rozglądając się wokół. Panowała tu inna atmosfera niż na polanie. Powietrze było ciężkie od wspomnień, które przyprawiły go o gęsią skórkę.

– Zobaczysz.

Szli w ciszy przez kilka minut. Z każdym krokiem serce Wellsa biło szybciej.

– Musisz mi przyrzec, że nikomu nie powiesz o tym miejscu – zwróciła się do niego Sasha. Ściszyła głos i co chwilę oglądała się za siebie nerwowo.

Wells przez chwilę milczał. Nauczył się boleśnie, jak smakuja przysięgi, których nie można dotrzymać.

– Możesz mi zaufać – powiedział w końcu.

Sasha patrzyła na niego przez chwilę, a potem skinęła głową. Gdy minęli zakręt, Wells poczuł dreszcz, jakby przez jego nerwy przebiegł jakiś potężny impuls, a ciało przygotowywało się na spotkanie nieznanego.

Droga biegła dalej prosto, ale w pobliżu nie było widać nic nadzwyczajnego. Tylko popękana nawierzchnia poprzerastana roślinami.

– Tam – Sasha wyciągnęła dłoń w kierunku drzew okalających drogę. – Widzisz?

Wells już miał zaprzeczyć, kiedy nagle zamarł, dostrzegłszy w płataninie gałęzi wieloboczny kształt.

Dom.

– O rany – wyszeptał, podchodząc bliżej. – To niemożliwe. Myślałem, że nic podobnego się nie uchowało!

– Niewiele się myliłeś. Góry osłoniły kilka budynków przed falą uderzeniową. Większość ludzi z tych okolic przetrwała bombardowanie. Umarli później, na chorobę popromienną albo z

głodu.

Stanęli przed domem. Wells dostrzegł, że zbudowano go z kamienia. Być może dzięki temu miał większą szansę przetrwania kataklizmu, chociaż całe prawe skrzydło i tak się zawaliło.

W żadnym oknie nie pozostała szyba, a większość ścian pokryły gęste pnącza. Pięły się w górę niemal drapieźnie, wrastając do środka przez puste otwory okienne i wydostając się z powrotem na zewnątrz przez pozostałości po kominie. Zdawało się, że natura próbuje zetrzeć z powierzchni ziemi wszystkie oznaki ludzkiego życia.

– Możemy wejść do środka? – zapytał Wells, kiedy zdał sobie sprawę, że stoją przed domem już od dłuższej chwili i gapią się na niego w milczeniu.

– Nie, dużo fajniej będzie tkwić tu przez cały dzień i oglądać cię, jak stoisz z otwartymi ustami, niczym ryba – zakpiła.

– Ej, wyluzuj. To najbardziej niesamowita rzecz, jaką w życiu widziałem.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Przecież mieszkałeś w kosmosie. Widziałeś Marsa!

Uśmiechnął się.

– Żeby zobaczyć Marsa, potrzebowałem teleskopu, a nawet wtedy wyglądał jak czerwona kropka, więc daj spokój. To w końcu jak, wchodzimy?

Okrążyli dom, docierając do części najdalszej od zrujnowanego skrzydła. Około dwóch metrów nad ziemią znajdowało się okno z solidnym parapetem, który zachęcał do wejścia. Wells patrzył, jak Sasha z łatwością wspina się do otworu, przechodzi przezeń i niknie w ciemnym wnętrzu.

– Idziesz czy nie? – dobiegło go ze środka.

Uśmiechnął się i podążył za nią. Wylądował na podłodze z głuchym odgłosem i nagle poczuł pustkę w głowie. Stał we wnętrzu domu, prawdziwego domu, w którym przed kataklizmem mieszkali ludzie.

Rozejrzał się wokół. Wszystko wskazywało na to, że są w pomieszczeniu, które kiedyś było kuchnią. Podłogę pokrywały zniszczone białe i żółte płytki, a nad zlewem – największym, jaki Wells w życiu widział – wisiały nieco przekrzywione białe szafki. Światło, wpadające do środka przez wybite okno, przefiltrowane było przez zieleń otaczających dom drzew, toteż wnętrze wydawało się zielonkawe, jakby ze starej fotografii. Mimo to było bezsprzecznie rzeczywiste. Postąpił kilka kroków naprzód i ostrożnie przesunął palcem po blacie, na którym od wielu lat nawarstwiało się kurz.

Następnie delikatnie otworzył jedną z szafek.

W środku zobaczył rzędy misek i talerzy. Mimo że zsunęły się na jedną stronę, kiedy szafka się przekrzywiła, było jasne, że zostały ułożone w pewnym porządku. Należące do jednego zestawu – razem, a pojedyncze egzemplarze z innych kompletów – osobno.

Wells wyjął jeden z talerzy z prostym kreskowym rysunkiem zrobionym zapewne przez jakieś dziecko. Cztery ludziki z wielkimi uśmiechniętymi twarzami stały w rzędzie, trzymając się za patykowate ręce. Nad ich głowami niewprawną ręką wypisała KOHM CAUO RODŹNE. Pieczołowicie odłożył talerz na miejsce i obrócił się ku Sashy patrzącej na niego w milczeniu.

– To wszystko wydarzyło się wiele lat temu – odezwała się spokojnie.

Wells skinął głową. Słowa: „Wiem o tym” uformowały się w jego umyśle, ale pogubiły się gdzieś po drodze do ust. Zaczęły go piec oczy, więc szybko odwrócił głowę. Osiem miliardów – tylu ludzi zginęło podczas kataklizmu. Zawsze uważał tę liczbę za czystą abstrakcję, podobnie jak inne wielkie liczby: wiek Ziemi czy ilość gwiazd w galaktyce. Teraz jednak oddałby wszystko, żeby dowiedzieć się, czy ludziom, którzy jadali w tej kuchni, z tych właśnie talerzy, udało się jakoś uciec z płonącej planety.

– Chodź, pokażę ci coś.

Sasha klęczała przy stosie gruzu na drugim końcu pokoju, gdzie zawaliła się ściana. Oczyszczała z okruszków kamienia i pyłu jakąś rzecz leżącą na podłodze.

Podszedł i kucnął obok niej.

– Co to jest? – zapytał, gdy Sasha delikatnie pociągnęła za coś, co wyglądało jak zatrzask. – Tylko ostrożnie – ostrzegł, przypominając sobie węża, który ugryzł Clarke.

– To walizka – odparła, a w jej głosie zabrzmiało zaskoczenie i jeszcze coś. Obawa? Strach?

Walizka otworzyła się, wzbijając w powietrze nową chmurę kurzu.

Pochylili się oboje, zaglądając do środka. Znajdowało się tam zaledwie kilka przedmiotów. Wells po kolei obejrzał trzy spłowiałe koszule, starannie składając każdą z nich i umieszczając tam, skąd je wzięł. Była także książka. Większość kartek kompletnie zgniła, z pozostałych wynikało, że opowiadała o chłopcu imieniem Charlie.

Wells zawahał się, zanim odłożył ją na miejsce. Bardzo chciał obejrzeć ją w pełnym świetle dnia, ale z jakiegoś powodu myśl o zabraniu czegokolwiek z tego domu wydawała się niewłaściwa. Poza tym spośród przedmiotów w walizce można było rozpoznać już

tylko małego niedźwiadka. Jego futerko prawdopodobnie było kiedyś żółte, jednak teraz pod warstwą kurzu nie dało się już odgadnąć koloru. Sasha wzięła go do ręki, przyglądała mu się przez chwilę i w końcu nacisnęła jego czarny nos.

– Biedny miś – powiedziała z uśmiechem, jednak jej głos zdradzał wzruszenie.

– Ależ to smutne – powiedział Wells, wodząc palcem po jednej z koszulek. – Gdyby wyruszyli wcześniej, może by zdążyli.

– Co masz na myśli? Niby dokąd mieli zdążyć? – zapytała Sasha, zdrapując brud z łapy misia i rzucając Wellsowi dociekliwe spojrzenie.

– Masz pojęcie, ile kosztował wstęp na statek podczas wielkiej ucieczki? Ci, którzy tu mieszkali, z pewnością nie dysponowali taką sumą.

– To nie było tak – odparł dziwnie napiętym tonem. Odetchnął głęboko, by się uspokoić. W miejscu takim jak to podniesiony głos wydawał się czymś niewłaściwym. – Ludzie nie musieli przecież płacić za miejsce na statku.

– Ach, nie? W takim razie jak dobierano kolonistów?

– Pochodzili z państw neutralnych – odpowiedział Wells, czując się nagle jak na egzaminie z podstaw historii. – To ci, którzy nie byli na tyle chciwi ani głupi, żeby wdać się w wojnę jądrową.

Sasha popatrzyła na niego tak, jakby właśnie wygłosił kompletnie absurdalne twierdzenie. Żaden z nauczycieli Wellsa nie patrzył na niego z taką litością i pogardą. Ziemską dziewczyna przypominała w tej chwili być może ojca Wellsa.

– W takim razie dlaczego wszyscy w Kolonii mówią tylko po angielsku? – zapytała cicho.

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Przez całe życie wyobrażał sobie, jak by to było zobaczyć na własne oczy Ziemię w ruinach, a teraz, gdy tu był, wspomnienie wszystkich, którzy zostali wymazani z życia przez kataklizm, zapierało mu dech w piersiach.

– Powinniśmy już wracać – powiedział, podnosząc się z podłogi i pomagając wstać dziewczynie. Sasha patrzyła jeszcze przez chwilę na walizkę, po czym zabrała misia i chwyciła Wellsa za rękę.

ROZDZIAŁ 15

Bellamy

Musiał długo przekonywać Clarke, zanim z ociąganiem ruszyła za nim z powrotem do obozu. Upierała się, żeby poszukać innych szczątków statku, czegokolwiek, co powiedziałyby im coś o losie poprzednich kolonistów. Cienie jednak się wydłużały, a Bellamy poczuł, że skóra cierpnie mu w sposób niemający nic wspólnego z nadciągającym wieczornym chłodem. Dalszy pobyt w lesie byłby co najmniej lekkomyślny, skoro grasowali po nim wrogo nastawieni Ziemianie. Jak tylko ta mała szpiegowska gnida powie im, gdzie znaleźć Octavię, Bellamy wyruszy w pościg – i niech szlag trafi ich strzały i włócznie. Nie chciał jednak stawiać im czoła, dopóki dobrze się nie przygotuje, a już z pewnością nie z dziewczyną u boku. Po godzinie bezowocnych poszukiwań Clarke dała za wygraną i zgodziła się wrócić do obozu.

– Dobrze, ale... jeszcze chwileczkę! – powiedziała i pobiegła na skraj polanki.

Zatrzymała się przy drzewie pokrytym białymi pąkami. Wyglądało na delikatne i jakby zbyt małe, żeby unieść wszystkie kwiaty rosnące na gałęziach. Przypominało Bellamy'emu Octavię, która zakładała czasem na siebie wszystkie ubrania matki naraz i paradowała przed nim w stroju złożonym z wielu warstw, z uśmiechem na buzi.

Clarke stanęła na palcach, zerwała z drzewa kilka pąków, a potem klęknęła i ułożyła je przed nagrobkami. Następnie podniosła się, przez chwilę stała z pochyloną głową, aż wreszcie wróciła do Bellamy'ego i wzięła go za rękę. Razem opuścili samotny cmentarz, zapomniany przez resztę świata.

Przez resztę drogi do obozu milczała. Bellamy nie mógł już znieść tej ciszy, więc spytał: – Dobrze się czujesz? – I wyciągnął dłoń, by pomóc jej przejść nad zwalonym drzewem, ale ona nawet tego nie zauważyła.

– Wszystko w porządku – odparła, wdrapując się na pień i lądując

gładko po drugiej stronie.

Chłopak nie naciskał. Wiedział, że nie należy tego robić. Clarke nie uprawiała takich gier – zacznie rozmowę, kiedy będzie chciała. Spojrzał na nią jeszcze raz i wyraz jej twarzy sprawił, że nie potrafił już dłużej milczeć. Na jej twarzy nie malowała się powaga ani nawet smutek – ale skrajna udręka.

Bellamy bez namysłu zatrzymał się i mocno ją przytulił. Wzdrygnęła się i nie odwzajemniła uścisku.

Już chciał się wycofać, ale zmienił zdanie i objął ją jeszcze mocniej.

– Clarke, co się stało?

– Nie mogę przestać myśleć o tych grobach – odparła podejrzenie cichym głosem. – Chciałabym wiedzieć, kto tam leży i jak umarł...

– Clarke, kimkolwiek byli, nie żyją od ponad roku. Nie możesz zrobić nic, żeby im pomóc. – Na chwilę zapadło milczenie. – Posłuchaj, przynajmniej dostali się tutaj, na Ziemię, nawet jeżeli nie udało im się tu przeżyć zbyt wiele czasu. Prawdopodobnie po lądowaniu pomyśleli sobie: „Ale dżez!”.

Ku jego zaskoczeniu Clarke uśmiechnęła się – to był nikły uśmiech, ale wystarczył, żeby smutek zniknął z jej oczu.

– „Ale dżez”? A co to znaczy? Chciałeś powiedzieć, że byli tak szczęśliwi, że chciało im się słuchać muzyki jazzowej?

– Chciało im się słuchać muzyki jazzowej? Chyba chciałeś powiedzieć: „tak szczęśliwi, ponieważ udało im się posłuchać jazzu”!

Tak szczęśliwi, że ich serca zaczęły bić w rytmie jazzu!

– Mówisz, jakbyś znał się na jazzie – odparła Clarke z uśmiechem. – A przecież ta muzyka zginęła razem z jej twórcami, setki lat temu.

Bellamy roześmiał się.

– Może na „Feniksie”. Kiedyś znalazłem stary odtwarzacz mp3 z kilkoma jazzowymi utworami. – Wzruszył ramionami. – No, przynajmniej założyłem, że to jazz. – Muzyka brzmiała tak, jak wyobrażał sobie jazz: czasem radośnie, czasem smutno, a zawsze bezgranicznie swobodnie.

– No to jak brzmi ten jazz?

– Wiesz co, chodzi bardziej o to, co czujesz, słuchając go – wyjaśnił, sięgając po jej rękę i delikatnie wybijając na niej rytm.

Zadrżała, kiedy jego palce dotknęły wnętrza jej dłoni.

– A więc kiedy słuchasz jazzu, to tak, jakby jakiś wariat łaskotał cię w rękę?

– Nie w rękę. Czujesz to w całym ciele, w gardle... – uniósł palce ku jej szyi i dotknął obojczyka – ...w stopach... – ukląkł i zaczął klepać

dłonią z boku jej butów, a ona się roześmiała – ...i w sercu. Wstał, położył rękę na jej sercu i znieruchomiał.

Zamknęła oczy i zaczęła oddychać nieco szybciej.

– Chyba wiem, o co ci chodzi – szepnęła.

Patrzył na nią przez chwilę, olśniony jej urodą. Stała teraz z opuszczonymi powiekami i lekko rozchyłonymi ustami, a promienie łagodnego popołudniowego słońca tańczyły na jej rudozłotych włosach. W ich aureoli wyglądała jak jedna z wróżek, o których opowiadał siostrze na dobranoc.

Pochylił głowę i musnął jej usta swoimi. Oddała mu pocałunek, lecz po chwili odchyliła się z niecierpliwym grymasem.

– Czy czasem nie zależało ci, żeby wracać? – zapytała. – Nie było nas dłuższą chwilę.

– Przed nami kawał drogi. Może powinniśmy najpierw odpocząć. Nie czekając na odpowiedź, przesunął ramię w dół i uniósł Clarke w ramionach, tak jak poprzednio, kiedy była nieprzytomna. Tym razem jednak patrzyła na niego, a jej ramiona obejmowały go za szyję.

Powoli ukląkł, opuszczając ją na ziemię pokrytą miękkim mchem i suchymi liśćmi.

– Lepiej? – wyszeptał.

Zamiast odpowiedzieć, zagłębiła dłonie w jego włosach i pocałowała go.

Zamknął oczy i przyciągnął ją bliżej, koncentrując się na terażniejszości, zapominając o wszystkim poza jej ciałem.

– Nie jest ci zimno? – spytała, a on zdał sobie sprawę, że w którymś momencie ściągnął bluzę przez głowę.

– Nie – odparł cicho. Wiedział, że pod wieczór zaczyna się ochładzać, ale nie czuł tego. Odchylił się i spojrzał na Clarke leżącą w aureoli włosów wokół głowy. – A tobie?

Powiódł delikatnie ręką wzdłuż jej boku, a ona nagle zeszywniała.

– Bellamy – szepnęła. – Czy ty kiedyś już...?

Nie dokończyła pytania, ale nie musiała. Zastanowił się nad odpowiedzią, całując kolejno jej czoło, nos, a w końcu usta.

– Tak – odparł w końcu. Zdradziecki rumieniec na jej policzkach podpowiedział mu, że ona jeszcze nigdy... Lekko go to zaskoczyło. –

Ale tylko z jedną osobą – dodał. – Z kimś, na kim naprawdę mi zależało.

Chciał powiedzieć coś więcej, lecz głos mu się załamał, gdy przywołał bolesne wspomnienia związane z Lilly. Teraz chciał myśleć tylko o pięknej dziewczynie obok niego, dziewczynie, której nie

wypuści już z ramion, choćby nie wiem co.

– Poważnie? Zabrałaś wszystko? – zapytał zaskoczony i zachwycony Bellamy. Siedzieli na ewakuacyjnej klatce schodowej za centrum opieki. Ściśle rzecz biorąc, było już po godzinie policyjnej, lecz nikt nie pilnował, co robią starsi podopieczni, więc Bellamy i Lilly często się tu spotykali.

Lilly trzymała talerz ciastek skradziony z centrum dystrybucji. Upieczono je z okazji jakiejś ceremonii na „Feniksie”, a oni zamierzali pochłonąć je całkiem bezceremonialnie.

Bellamy uśmiechnął się.

– Mam na ciebie naprawdę zły wpływ, nie?

– No proszę cię, nie przypisuj sobie zbyt wielkiej zasługi – odparła i wsadziła do ust kawałek szarlotki, a jemu podała biszkopt waniliowy, który bardzo lubił. – Zawsze taka byłam.

Uniosła ironicznie brew. Jej twarz wydała się Bellamy’emu tak śliczna, że opanowało go nagłe, szalone pragnienie, by ją pocałować.

Powstrzymał się jednak. Całował już wcześniej dziewczyny, lecz zdawało mu się wówczas, że doznają od tego jakiegoś umysłowego zaćmienia. W kółko chichotały i chciały go ciągle trzymać za rękę.

Lilly była jego najlepszą przyjaciółką. Próba pocałowania jej okazałaby się najprawdopodobniej pomyłką.

– A to weź dla Octavii – powiedziała, wręczając mu ciastko z winogronami.

Postawił je ostrożnie stopień wyżej, a potem zajął się swoim biszkoptem. Wiedział z doświadczenia, że kradzionych towarów należy się jak najszybciej pozbyć.

Lilly roześmiała się. Spojrzał na nią zdziwiony.

– No co? – zapytał, wycierając usta wierzchem dłoni. – Tylko nie krytykuj moich manier przy stole, bo przypominam, że nigdzie w pobliżu nie ma nawet śladu stołu.

– Właściwie to interesuje mnie tylko jedno: jak dałeś radę zmieścić do ust taki wielki kawał ciasta? – zapytała z udawaną powagą. Zamierzył się na nią żartobliwie i znów się roześmiała. – Gdybym to ja spróbowała, założę się, że większość zostałaby na zewnątrz.

– Przyjmuję wyzwanie – Bellamy sięgnął do talerza, zeszkrobał lukier z kolejnego ciastka i rozmazał go po jej ustach i brodzie. Wrzasnęła i odepchnęła go, ale zdążył jeszcze umazać jej nos.

– Bellamy! – wykrzyknęła. – Wiesz, za ile moglibyśmy je sprzedać? W odpowiedzi tylko zachichotał. Trudno było brać poważnie kogoś upapranego lukrem.

– Wierz mi, że twój widok jest bezcenny!
Lilly przybrała wyraz twarzy, którego nie potrafił rozgryźć.

– Naprawdę? – zapytała cicho. Zamknął oczy, przygotowany, że teraz ona go wysmaruje – ale zamiast lukru poczuł na twarzy jej usta. Zamarł na sekundę, zaskoczony, a potem odwzajemnił pocałunek. Usta Lilly były miękkie i słodkie jak cukier. Kiedy w końcu oderwali się od siebie, popatrzył na nią, nie wiedząc, co teraz nastąpi.

– Och – szepnęła – chyba o czymś zapomniałam.

– O czym? – poruszył się niespokojnie. Wiedział, że całowanie najlepszej przyjaciółki było złym pomysłem. Nie powinien był tego robić...

– Przegapiłam jedno miejsce... – wymruczała, przyciągając go do siebie i całując ponownie.

Clarke usiadła tak gwałtownie, że walnęła Bellamy'ego głową w podbródek.

– Hola – powiedział, chwytając ją za ramiona. – Wszystko w porządku, nie musimy się z tym spieszyć. Pomasaż jej plecy kolistymi, powolnymi ruchami, czując zimną skórę przez cienki materiał koszulki.

– Nie o to chodzi – rzuciła szybko. – Ja... muszę ci coś wyznać. Ujął ją za rękę i splótł z nią dłonie.

– Możesz mi wyznać, co tylko zechcesz – zapewnił żarliwie. Uwolniła dłoń, przycisnęła kolana do piersi i objęła je mocno. – Nie wiem, jak to powiedzieć – zaczęła bardziej do siebie niż do Bellamy'ego. Patrzyła prosto przed siebie, tak jakby nie chciała – lub nie mogła – spojrzeć mu prosto w oczy. – Powiedziałam o tym już kiedyś pewnej osobie i skończyło się to bardzo niedobrze. Nie wiadomo skąd wiedział, że ma na myśli Wellsa.

– W porządku – objął ją jedną ręką. – Damy radę, nieważne, o co chodzi.

W końcu odwróciła ku niemu twarz ściągniętą bólem.

– Na twoim miejscu nie obiecywałabym takich rzeczy. Odetchnęła głęboko, a potem zaczęła z ociąganiem opowiadać. Z początku Bellamy myślał, że historia o dzieciach zamkniętych w laboratorium to jakiś żart. Nie mógł uwierzyć w opowieść Clarke – w to, jak jej rodzice zaczęli badać promieniowanie, jak zostali zmuszeni przez wicekanclerza do prowadzenia eksperymentów na niezarejestrowanych. Jedno spojrzenie w jej oczy powiedziało mu jednak, że wszystko to jest przerażającą prawdą.

- To potworne – przerwał jej w końcu, modląc się, by wreszcie wyjaśniła mu, dlaczego opowiada o tym wszystkim właśnie teraz.
- Nagle inna myśl zmroziła mu krew w żyłach.
- Octavia też była niezarejestrowana – powiedział powoli. – Czy była następną w kolejce do tych waszych eksperymentów?
- Zatrząsał się ze zgrozy, wyobrażając sobie siostrzyczkę zamkniętą w ukrytym laboratorium, gdzie nikt nie słyszałby jej płaczu i nie wiedziałby, że powoli umiera od promieniowania.
- Nie wiem. Nie wiem, na jakiej zasadzie wybierano dzieci, ale to było straszne.
- Dlaczego więc nie zrobiłaś nic, żeby powstrzymać te badania? Dlaczego twoi rodzice zabijali niewinne dzieciaki? Trzeba być złym do szpiku kości, żeby robić coś takiego!
- Nie masz racji! Nie mieli wyboru!
- Znajdowała się na granicy płaczu, ale Bellamy nie zwracał na to uwagi.
- Oczywiście, że mieli! Na przykład ja postanowiłem zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby chronić Octavię. Ale ty wybrałaś inaczej: beczynnie stałaś i patrzyłaś, jak dzieciaki umierają!
- Nie zawsze tylko stałam – zamknęła oczy. – Nie w przypadku Lilly. Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiał, co właściwie powiedziała.
- Lilly? To tam ją poznałaś? Lilly była jednym z waszych... królików doświadczalnych?
- Skinęła ze smutkiem głową.
- Nie zmarła na jakąś tajemniczą chorobę! – zawołał Bellamy. – Odeszła, bo twoi rodzice mordercy prowadzili na niej eksperymenty! Lilly. Jedyna dziewczyna na statku, której na nim zależało, oprócz Octavii. Jedyna osoba, którą pokochał.
- Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie zawsze stałaś? – spytał, kiedy dotarli do niego jej słowa. Milczała, ale on naciskał: – Czy to znaczy, że pomogłaś jej uciec? Czy Lilly żyje?!
- Była moją przyjaciółką! – Łzy płynęły strumieniami po policzkach Clarke, ale Bellamy nie zwracał na nie uwagi. – Radziła mi, jak rozmawiać z chłopakami. Musiałam jej przyrzec, że raz w tygodniu będę chodzić z rozpuszczonymi włosami. Przynosiłam jej książki, które czytała, naśladowując głos każdej postaci z osobna, dopóki nie pogorszyło jej się tak, że już nie mogła, a wtedy ja zaczęłam jej czytać. A potem, kiedy poprosiła, żeby jej pomóc, musiałam to zrobić.
- Nie dała mi wyboru...
- O jakiej pomocy mówisz? – spytał Bellamy niskim, groźnym

głosem.

– Ja... błagała mnie, żeby ten ból się skończył. Prosiła mnie... –
Clarke pociągnęła nosem i wytarła go wierzchem dłoni. Głos jej się
łamał: – ...żebym pomogła jej umrzeć.

– Kłamiesz.

Poczuł mdłości. Nie chodziło o to, że zabiła Lilly – godzinę temu
upierałby się, że nie potrafiłaby popełnić takiego czynu i broniłby jej
honoru do śmierci – a teraz okazało się, że wcale nie zna Clarke.

Znał jednak Lilly.

– Nigdy by nie powiedziała czegoś takiego – warknął, wstając
gwałtownie. – Zrobiłaby wszystko, żeby przeżyć tę waszą chorą
zabawę.

– Bellamy – zaczęła mówić przez łyzy – nie rozumiesz... – Nie
dokończyła, wybuchając na nowo płaczem.

– Nie waż się twierdzić, że czegoś nie rozumiem. Nie chcę cię więcej
znać. Możesz sobie iść do Ziemi. Ich towarzystwo powinno ci
zapewnić niezłą zabawę. Pomyśl, ile tam będzie dzieci, na których
mogłabyś eksperymentować!

Odwrócił się i odszedł, pozostawiając łkającą Clarke samą w środku
lasu.

Przedzierał się przez zarośla na ślepo, mrugając gwałtownie, by
powstrzymać łyzy. Nie powinien ufać Clarke, nie powinien pozwolić jej
się do siebie tak bardzo zbliżyć. Dawno temu nauczył się, że może
polegać tylko na sobie, a liczy się dla niego wyłącznie Octavia.
Zmarnował już zbyt dużo czasu. Nadeszła pora, by jego siostra
wróciła do obozu.

Nie będzie się dłużej cackał z ziemską dziewczyną. Zabawa się
skończyła – i to na dobre.

ROZDZIAŁ 16

Wells

Trochę się denerwował, czy uda im się przemknąć niepostrzeżenie z powrotem do obozu, mimo że tym razem ani on, ani Sasha nie nieśli pożywienia. Towarzyszyły im tylko wspomnienia zrujnowanego domu, które przyłgnęły do jego pamięci jak cieniutka warstewka pyłu.

Kiedy więc zobaczył, jak zza wielkiego drzewa wychodzi Clarke, odetchnął z ulgą. To znaczy, że byli blisko polany i może oddać Ziemiankę pod opiekę Clarke, która mogłaby udawać, że właśnie eskortuje ją z toalety. Z pewnością zgodzi się go kryć. Najlepiej ze wszystkich rozumiała, że trzymanie Sashy jako więźnia jest niesłuszne.

Podniósł dłoń na powitanie i natychmiast zauważył, że coś jest nie tak. Clarke zawsze poruszała się płynnie i zgrabnie, niezależnie od tego, czy sięgała po książkę z domowej biblioteczki, czy też szła przyjrzeć się jakiejś roślinie, która przyciągnęła jej uwagę. A teraz wlokła się, jakby ciągnęła za sobą niewidzialny ciężar.

– Clarke! – zawołał. Zerknął na Sashę, która w milczeniu skinęła głową, potwierdzając bez słów, że nie ucieknie, i ruszył biegiem.

– Co się stało? – spytał, kiedy się przy niej znalazł. Miała zaczerwienione oczy. Ta sama dziewczyna, która przesiedziała cały proces swoich rodziców z kamienną twarzą, teraz płakała!

– Nic mi nie jest – oświadczyła, patrząc prosto przed siebie, by uniknąć wzroku przyjaciela.

– No coś ty – rzucił, zerkając przez ramię, by upewnić się, że Sasha pozostaje poza zasięgiem słuchu. – Myślisz, że po wszystkim, przez co przeszliśmy – chciał powiedzieć: „po całym bólu, jaki sobie nawzajem sprawiliśmy”, ale zdecydował się ominąć tę część – nie będę wiedział, kiedy dzieje ci się krzywda?

Skinęła głową i pociągnęła nosem, ale nic nie powiedziała. Wells zmarszczył brwi, kiedy przyszła mu do głowy najbardziej oczywista myśl.

– Czy to przez Bellamy’ego?

Spodziewał się w tym momencie gwałtownego zachnięcia, ale ku jego zdumieniu Clarke spojrzała na niego wzrokiem błyszczącym od łez.

– Przepraszam – wydusiła z siebie. – Strasznie mi przykro, Wells. Tak długo cię karałam... Już dawno powinnam ci przebaczyć... – Tu głos jej się załamał i odwróciła głowę.

– Och, w porządku – powiedział niepewnie Wells, obejmując ją ramieniem. Wyczuwał, że te przeprosiny mają więcej wspólnego z Bellamym niż z nim samym. – Jak ci pomóc? – zapytał. – Chcesz, żebym mu przylał?

– Nie – chlipnęła, ale przynajmniej się uśmiechnęła. Zanim zdążył cokolwiek dodać, zauważył, że Clarke zaabsorbowała coś za jego plecami. Przez chwilę myślał, że zobaczyła Sashę, ale gdy odwrócił się, jego zakłopotanie zmieniło się w przerażenie. Z gałęzi potężnego drzewa zwisał jakiś kształt, chwiejąc się na boki i objając o pień.

„Kto... kto to jest?”, pomyślał Wells, zanim zdał sobie sprawę, że nie może być to nikt żywy. Ktoś, kogo głowa wisiła pod takim kątem... ktoś o tak posiniątej twarzy nie miał prawa żyć.

Clarke wydała z siebie dźwięk, który słyszał po raz pierwszy w życiu, coś pośredniego między krzykiem a jękiem.

Zrobił kilka kroków z daremną nadzieją, że umysł podsunie jakieś inne wytłumaczenie tego widoku.

– Nie! – krzyknął i zamrugnął, licząc na to, że obraz zniknie, jak gdyby pochodził z implantu w rogówce.

Nic to nie pomogło.

To była dziewczyna o twarzy tak spuchniętej, że niemal nie dało się jej rozpoznać. Wiedział jednak, kim jest, dzięki czarnej, lśniącej czuprynie i delikatnym dłoniom, które zawsze zaskakiwały go siłą.

– Priya! – zawołała Clarke i złapała go za ramię. Po raz pierwszy od lądowania była przerażona do tego stopnia, że mogła tylko bezsilnie patrzeć.

Sznur zaciśnięty wokół szyi wiszącej dziewczyny wrzynał jej się w skórę, jeszcze kilka godzin temu złotobrazową, teraz – chorobliwie siną.

– Musimy ją zdjąć – rzekł Wells. Nie miało najmniejszego znaczenia, że przybywają za późno.

Zrobił chwiejny krok naprzód i zdał sobie sprawę, że Sasha wspina się już na drzewo.

– Podaj mi swój nóż! – rozkazała, pełznąca po gałęzi. – No, już! – ponagliła, kiedy nie ruszył się z miejsca.

Podchodząc bliżej, grzebał niepewnie w kieszeni, szukając scyzoryka, aż znalazł go i rzucił Sashy. Złapała nożyk jedną ręką.

W milczeniu odcięła sznur, na którym wisiała Priya, i opuściła ją ostrożnie na ziemię.

– Myślisz... że sama to sobie zrobiła? – spytał Wells Clarke szukając na posiniątej szyi pulsę – nadaremnie.

Spokojna, pomocna, godna zaufania Priya. Dlaczego miałyby popełnić samobójstwo? W ataku nostalgii? A może wyczuła, że setkę zesłańców czeka mimo wszystko zagłada? Przerazenie Wellsa zaczęło ustępować miejsca poczuciu winy. Czy mógł być zrobić cokolwiek, by zapewnić jej bezpieczeństwo?

– Nie – powiedziała drżącym głosem Sasha. Zeszła już z drzewa i stała teraz kilka kroków od Wellsa.

– Nie jestem pewna... – wyszeptęła Clarke, wciąż badając ciało. – Musiałabym przyjrzeć się bliżej śladom na szyi i węzłom, na jakie był zawiązany sznur... – zawiesiła głę. Wells wiedział, że nie nadawęła się do roli koronera.

– Nie zabiła się sama – stwierdziła zdecydowanie Sasha.

– Skąd wiesz? – zapytała Clarke, w końcu odrywając oczy od Pryi, by spojrzeć na ziemską dziewczynę. Wells nie wiedział, czy Clarke nie podobało się kwestionowanie jej wiedzy medycznej, czy to, że ktoś obcy jest świadkiem prywatnego bólu.

– Popatrzcie na stopy – powiedziała Sasha.

Do tej chwili Wells nie zdawał sobie sprawy, że Priya jest bosa.

Podszedł bliżej i zmrużył oczy, usiłując dostrzec, o co chodziło Ziemiance. Na podszewkach zmarłej widniały ślady, które na pierwszy rzut okę wyglądały jak brudne zacieki. Gdy jednak przyjrzał im się dokładnie, zorientował się, że to nacięcia – nacięcia w kształcie liter.

– O mój Boże! – szepnęła Clarke.

Na ciele Pryi wryto wiadomość dla zesłańców. Po jednym słowie na podszewie jednej małej dziewczęcej stopy.

PRECZ. STĄD.

Przemycenie Sashy z powrotem do chaty przestało być problemem. Kiedy tylko rozległy się kroki i stłumione okrzyki świadczące o tym, że wrzask Clarke przyciągnął cały obóz, Wells odesłał ziemską dziewczynę do lasu, prosząc, by przekradła się na polanę, gdy droga będzie wolna. Kiedy rozejdą się wieści o Pryi, zapanuje takie zamieszanie, że nikt nie zauważy nieobecności Sashy.

Jakieś dziesięć minut później Eric i jedna z dziewczyn z „Arkadii” nieśli ciało Pryi do obozu, a Antonio prowadził roztrzęsioną Clarke.

Wells żałował, że nie może pomóc jej osobiście – zwłaszcza ze względu na jej wcześniejsze przejścia z Bellamym – ale ktoś musiał

zbadać miejsce zbrodni przed zachodem słońca. Kiedy zaimprovizowana procesja pogrzebowa, w której szli wszyscy koloniści, zniknęła za drzewami, zaczął oglądać ziemię, by ustalić, czy Priyę złapano w lesie, czy też przywleczono z innego miejsca. Próbował nie myśleć o tym, jak musiała być przerażona ani co zrobili Ziemianie, żeby stłumić jej krzyk o pomoc. Usiłował nie zgadywać, czy czuła, jak ostrze noża kaleczy jej stopy, czy też oprawcy zaczęli z wycinaniem wiadomości, aż będzie martwa. Wspiął się na gałąź, by zbadać postrzępione kawałki sznura. Okazało się, że jest to jedna z cienkich nylonowych linek używanych do zabezpieczania na pokładzie ładownika zasobników z zapasami. To oznaczało, że Ziemianie zapuszczali się do wnętrza ich obozu. Gdyby rzeczywiście tak było, sytuacja kolonistów rysowałaby się zaiste ponuro. Raptem między drzewami zabrzmiał kolejny przeraźliwy krzyk, który sprawił, że serce podeszło mu do gardła.

Sasha.

Jednym płynnym ruchem zeskoczył z gałęzi i ruszył biegiem. Krzyk dobiegł go znowu, tym razem nieco głośniejszy. Przyspieszył, klnąc pod nosem za każdym razem, gdy poślizgnął się na błocie lub potknął o ukryty pod ściółką kamień. Przeciął ścieżkę wydeptaną podczas częstych przechadzek po wodę do strumienia i podążył za głosem w głąb lasu.

Przedarł się przez kępę krzaków i zobaczył Sashę oraz Bellamy'ego.

Odetchnął z ulgą: Bellamy z pewnością pierwszy usłyszał krzyk i pospieszył z pomocą. Zaraz jednak dostrzegł szczegóły tej sceny: strach w oczach Sashy i błysk metalu przy jej szyi.

Bellamy przyduszał dziewczynę ramieniem, podczas gdy drugą ręką przyciskał do jej szyi coś ostrego i metalicznego.

– Gadaj, dokąd twoi kumple zabrali Octavię – syczał z szaleństwem w oczach. – Coście z nią zrobili? Gdzie wasza kryjówka?

Sasha jęknęła i wyszeptała coś, czego Wells nie dosłyszał. Runął z krzykiem naprzód i przewrócił Bellamy'ego na ziemię.

– Oszalałeś? – wrzasnął, wykopując z dłoni tamtego kawałek metalu, pogiętą część ładownika. Odwrócił się do Sashy. Drżała, objawszy się ramionami.

– Jesteś cała? – zapytał łagodniejszym tonem.

Skinęła głową, lecz gdy dotknęła szyi, na jej dłoni zostały ślady krwi.

– Niech spojrzę.

Wells odgarnął jej włosy. W zagłębieniu nad obojczykiem była mała ranka, dosłownie zadrapanie. Nic dziewczynie nie będzie. Wells nie

chciał się zastanawiać, co by się stało, gdyby przybył nieco później.
– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – wypluł z siebie, zwracając się do wstającego chwiejnie z ziemi chłopaka. Gdy Bellamy dostrzegł krew na szyi Sashy, lekko zbladł, ale mimo to odezwał się z oburzeniem:

– Robię to, co do mnie należy, żeby odzyskać Octavię. Widzę, że chyba tylko mnie zależy, by dowiedzieć się, gdzie jest moja siostra i co się z nią dzieje. – A gdy Wells spojrzał wymownie na Sashę, dodał: – Nie miałem zamiaru nikogo zranić. Chciałem tylko pokazać jej, że to nie jest żadna gra. Tu chodzi o ludzkie życie.

– Uspokój się, chłopie – odparł Wells, zasłaniając sobą dziewczynę. Usta Bellamy’ego wykrzywił szyderczy uśmiech.

– Mówisz poważnie? Po czyjej stronie jesteś, Wells? Z każdym upływającym dniem maleją szanse na odnalezienie Octavii żywej. Co ty sobie myślisz, że siedzi z Ziemiakami przy herbatce? Z tego, co wiemy, mogą ją przez cały ten czas torturować!

Nagle coś się odblokowało w głowie Wellsa. Rozumiał, jak czuje się Bellamy, wiedział, że to przerażenie i rozpacz popchnęły go do tego czynu – ponieważ sam czuł się dokładnie tak samo, gdy dowiedział się w Kolonii, że Clarke zostanie stracona.

– Rozumiem cię – powiedział, zmuszając się do zachowania spokojnego tonu – ale nie próbuj już robić nikomu krzywdy, dobrze? Nie tak tu postępujemy.

– Zgłupiałeś – prychnął Bellamy. – Gdybym naprawdę chciał ją zranić, miałbyś tu już kałużę krwi.

– Dość już! – krzyknął ostro Wells. – Zabieram Sashę do obozu i radzę ci, zostań tu, aż znów będziesz w stanie rozsądnie dyskutować.

Złapał dziewczynę za rękę i ruszył z powrotem na polanę. „Zdrajca”, usłyszał, jak Bellamy mruknął pod nosem. Wells usiłował to zignorować, lecz mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy tamten nie ma racji. Czy głupio postępował, ufając Sashy? Popatrzył na nią z ukosa. Szła z zaciętą miną, patrząc prosto przed siebie. Mózg nieproszony podsunął mu obraz wiszącego ciała Pryi. „Dostali się do obozu. Posłużyli się linką z Kolonii, by zabić dziewczynę”.

– Przepraszam za tego wariata – powiedział cicho. – Jak się czujesz?
– Dzięki, już lepiej. – Drżący głos zdradzał jednak, że nie wszystko jest w porządku. A potem jej dłoń wślizgnęła się w jego dłoń i szli dalej, trzymając się za ręce. Mimo to Sasha nadal patrzyła przed siebie, a jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

Pomaszerowali w kierunku polany. Wells milczał przez resztę drogi.

ROZDZIAŁ 17

Glass

– Nie patrz – powiedział Luke, odciągając Glass od rozciągniętego na pokładzie ciała. Odwróciła oczy, zanim rozpoznała, czy był to strażnik czy cywil, mężczyzna czy kobieta.

Glass nie była pewna, czego się spodziewała. Czy naprawdę myślała, że otworzy rękaw, a wszyscy waldenicy i arkadyjczycy spokojnie wejdą na „Feniksa” uporządkowaną kolumną, witając się uprzejmie z ludźmi, którzy pozostawili ich na śmierć?

Nie, wiedziała, że nie będzie to tak proste. Nie oczekiwała jednak chaosu, który zapanował w rękawie, gdy podniosła gródź – oraz towarzyszącego mu przeraźliwego chóru głosów płaczących, krzyczących i wiwatujących.

Nie spodziewała się także męskiego ryku z głośników. Przez ostatnie siedemnaście lat, czyli odkąd pamiętała, przez system nagłośnienia na „Feniksie” puszczano tylko nagrane wcześniej informacje odczytywane tym samym mechanicznym kobiecym głosem. „Prosimy o przestrzeganie godziny policyjnej” albo „Wszystkie objawy choroby należy zgłaszać w najbliższym centrum zdrowia”.

Kiedy jednak przez rękaw przelała się pierwsza fala ludzi, ponad ich pomieszanym chórem wzniósł się surowy męski baryton: „Wszyscy mieszkańcy «Waldena» i «Arkadii» mają natychmiast wrócić na swoje statki. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. W przeciwnym wypadku użyjemy wobec intruzów broni palnej”.

Głos ten był niemal tak niepokojący jak widok zamkniętego rękawa.

Glass miała wrażenie, jakby statek został nawiedzony przez nadnaturalne moce. Teraz jednak pojawiło się przed nią bardziej

realne zagrożenie: ku wylotowi rękawa maszerował tuzin strażników z uniesionymi karabinami.

Nawet wówczas Glass nie spodziewała się, że naprawdę zaczną strzelać.

Bardzo się myliła.

Strażnicy otworzyli ogień, celując w pierwsze szeregi waldenitów, którzy przeszli przez rękaw. To nie wystarczyło, żeby odstraszyć tłum, który ruszył naprzód, ogarnął uzbrojonych mężczyzn niczym rwąca rzeka i zabrał im broń. W ciągu kilkunastu minut mieszkańcy „Waldena” wypełnili pokłady „Feniksa”. Z początku wydawało się, że większość z nich po prostu chce tylko swobodnie odetchnąć bogatym w tlen powietrzem. Po chwili jednak rozpięchli się po całym statku, unosząc wszystko, czego mogli użyć jako broni, wyłamując drzwi i kradnąc, co się dało. Sytuacja wymknęła się spod kontroli i szybko doszło do aktów przemocy.

Luke odciągnął Glass na bok, usuwając z drogi dwóch mężczyzn z olbrzymim zasobnikiem pakietów żywnościowych. Po chwili zza rogu wyłoniła się kolejna para waldenitów. Ci nie nieśli zapasów – dźwigali natomiast nieprzytomnego strażnika.

Glass zasłoniła usta, z przerażeniem patrząc, jak głowa młodego mężczyzny w mundurze bezwładnie opada na bok. Na jego policzku widniał olbrzymi siniec, a krew z rany na ramieniu zostawiała na podłodze czerwony ślad. Poczuli, jak ciało Luke’a się napina, i złapała go za ramię.

– Nie rób tego – szepnęła. – Niech sobie idą.

Patrzył bezsilnie na waldenitów znikających ze strażnikiem za rogiem. Po chwili korytarzem niósł się już tylko ich rechot.

– Mogłem im przeszkodzić – powiedział urażonym tonem.

W innej sytuacji Glass może nawet uśmiechnęłaby się z jego oburzenia, ale tym razem ogarnęła ją jeszcze większa panika.

Myślała tylko o tym, żeby znaleźć matkę i zabrać ją na pokład startowy. Miała nadzieję, że Sonja jest bezpieczna, że miała dość rozsądku, by zostać w mieszkaniu.

Glass kochała ją, ale wiedziała, że matka nie radzi sobie w kryzysowych sytuacjach.

Dlatego Glass musiała się nauczyć, jak walczyć za nią i za siebie.

Czuła się dziwnie, wracając z bazaru sama, bez Cory czy Huxley szczebioczących o swoich najnowszych zakupach lub knujących, jak ukryć przed rodzicami, ile punktów przydziału wydały. Ich nieobecność boleśnie przypominała Glass o pustce w kieszeni. Kilka

minut wcześniej miała w niej ostatni wisiołek Sonji.

Matka Huxley pojawiła się przy straganie z biżuterią, gdy Glass klóciła się ze sprzedawczynią o to, ile punktów przydziału wart jest naszyjnik.

– Cóż za śliczne cacuszko! – wymruczała, obdarzając koleżankę córki współczującym uśmiechem, a potem pochyliła głowę i powiedziała coś na ucho swojej towarzyszce, której Glass nie znała. Na twarzy dziewczyny pojawił się rumieniec, lecz dalej zawzięcie się targowała. Potrzebowała tych punktów.

Chodząc po bazarze, czuła na sobie wzrok kolejnych osób.

Spółeczność „Feniksa” była wstrząśnięta skandalem w rodzinie Sorensonów, a zarazem zachwycona tematem do plotek. Romanse nie stanowiły nowości, lecz decyzja o wyprowadzce wydawała się wszystkim skrajnością – biorąc pod uwagę trudności lokalowe. W dodatku dwojgu ludzi nie wolno było zgodnie z prawem zajmować mieszkania przeznaczonego dla trojga, co oznaczało, że Glass i Sonja musiały się przenieść do mniejszego, położonego w gorszym miejscu. Pozbawione punktów przydziału ojca, który, jak się im zdawało, dysponował nieograniczonymi zasobami, były również zmuszone wyprzedawać po kolei na bazarze wszystkie kosztowności. W innym wypadku musiałyby przejść na dietę z pasty proteinowej i wody.

Glass skrzyła w przejście prowadzące ku ich nowemu lokum i westchnęła z ulgą na widok pustego korytarza. Dzięki przeprowadzce nie wpadała tak często na znajomych... lub byłych znajomych. Minęło już kilka tygodni, od kiedy Cora po raz ostatni powitała ją przelotnym skinieniem głowy, ostrzegawczo łapiąc za łokieć Huxley, gdy ta uśmiechnęła się do Glass. Jedynym, który zachowywał się tak, jakby nic się nie zmieniło, był Wells. Niestety, ostatnio rozpoczął szkolenie oficerskie, toteż był tak zajęty, że ledwie miał czas odwiedzać w szpitalu swoją matkę, a co dopiero widywać się z Glass.

Przycisnęła dłoń do czujnika w drzwiach i weszła do środka, marszcząc nos. Ich dawne mieszkanie pachniało aromatem drogich szklarniowych owoców i perfumami matki, a tu panowała stęchła, duszna atmosfera. Wciąż jeszcze nie mogła do niej przywyknąć.

W środku było ciemno, co oznaczało, że Sonji nie ma w domu.

Włącznik światła podłączono do czujników ruchu, ale gdy Glass weszła do środka, lampy się nie zapaliły. Dziwne. Machnęła dłonią z góry na dół. Bezskutecznie. Jęknęła na myśl o telefonie do serwisu.

Ekipa naprawcza zjawi się najszybciej za kilkaset lat. Kiedyś

wystarczyło, żeby ojciec szepnął słówko swojemu przyjacielowi Jessamynowi – szefowi jednostki remontowej – i każdy problem był rozwiązywany niemal natychmiast. Teraz jednak za nic nie chciała zniżyć się do proszenia ojca o interwencję.

– Glass, czy to ty?

Niewyraźna, ciemna postać podniosła się z kanapy. Sonja. Ruszyła w kierunku córki i krzyknęła z bólu, wpadłszy w ciemności na coś, co z brzękiem przewróciło się na podłogę.

– Dlaczego siedzisz po ciemku? – zapytała Glass z pretensją. – Zadzwońiłaś po elektryków?

Sonja nie odpowiedziała.

– Trudno, sama zadzwonię – powiedziała jej córka, zirytowana.

– Nie dzwoń, to nic nie da – odparła matka znękany głosem.

– O czym ty mówisz? – warknęła Glass. Wiedziała, że powinna wykrzesać z siebie trochę cierpliwości wobec niej, ale ostatnio Sonja była wyjątkowo nieznośna.

– Czujnik działa. Przekroczyliśmy limit, a ja nie mam punktów przydziału, żeby dopłacić za większe zużycie.

– Co? To śmieszne. Nie mogą nam tego zrobić.

– Nie mamy wyboru. Musimy poczekać do końca miesiąca...

– Nie będziemy czekać! – oświadczyła Glass oburzonym tonem.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z ciemnego mieszkania.

Biuro ojca Cory znajdowało się na końcu długiego korytarza, w którym umieszczono gabinety większości szefów wydziałów. W holu było pustawo – doświadczenie podpowiadało Glass, że wyznaczeni przez radę szefowie rzadko tu przebywają – ale nadal ją skręcało na myśl, że mogłaby się natknąć na któregoś z przyjaciół ojca.

Sekretarz pana Drake'a, nieznany jej młody człowiek, siedział przy biurku i przestawiał długie kolumny liczb na wyświetlaczu holograficznym. Spojrzał na nią i uniósł brew.

– W czym mogę pomóc?

– Muszę porozmawiać z panem Drakiem.

– Obawiam się, że szef wydziału zasobów jest obecnie zajęty. Może zostawi pani u mnie informację, a ja dam mu znać...

– Och, nie. Ja dam mu znać – uśmiechnęła się protekcyjnie Glass i przemknęła obok niego.

Gdy weszła do gabinetu, ojciec Cory podniósł wzrok znad biurka. Przez ułamek sekundy patrzył, zaskoczony, ale potem przywołał na twarz szeroki, nieszczerzy uśmiech.

– Glass! Cóż za miła niespodzianka. Co mogę dla ciebie zrobić,

złotko?

– Może pan włączyć światła w naszym mieszkaniu – odparła. – Na pewno wyłączono je przez pomyłkę. Jestem przekonana, że świadomie przenigdy nie pozwoliłby pan siedzieć mnie i matce po ciemku przez resztę miesiąca.

Pan Drake zmarszczył brwi, stuknął palcami w blat biurka i po chwili wywołał na ekran stosowny plik.

– Hmm, widzę, że przekroczyłyście limit. Jeśli nie macie punktów przydziału, by uiścić opłatę za większe zużycie, to obawiam się, że niewiele mogę w tej sprawie zrobić...

– Oboje wiemy, że to nieprawda. Jest pan szefem wydziału zasobów i może pan zrobić, co zechce.

Mężczyzna rzucił Glass zimne, taksujące spojrzenie.

– Muszę mieć na względzie dobro całej Kolonii. Nie mogę robić wyjątków dla kogoś, kto chce więcej, niż przypada mu w udziale. To byłoby z mojej strony wysoce nieodpowiedzialne.

Przechyliła głowę na bok. – Aha, więc przekupywanie strażników ze szklarni i sprzedawanie owoców na czarnym rynku nie liczy się jako wyjątkowe traktowanie? – rzuciła z udawaną niewinnością w głosie.

Policzki pana Drake'a poczerwieniały. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Najmocniej przepraszam, musiałam źle zrozumieć Corę. Muszę poprosić mojego przyjaciela Wellsa, żeby mi to wytłumaczył. Z pewnością zna się na tych sprawach lepiej niż ja, jest w końcu synem kanclerza...

Pan Drake milczał przez chwilę, a potem odchrząknął:

– No cóż, myślę, że ten jedyny raz mogę pozwolić na podniesienie limitu. Chyba powinnaś już iść, za chwilę mam zebranie.

Glass obdarzyła go promiennym, fałszywym uśmiechem.

– Och, bardzo, bardzo dziękuję panu za pomoc! – zawołała, a potem wyszła z biura, skinąwszy jeszcze po drodze zdumionemu sekretarzowi.

Kiedy wróciła do mieszkania, światła już się paliły.

– Jak to załatwiłaś? – zapytała Sonja, wskazując gestem włączone lampy.

– Wyjaśniłam tylko pewne małe nieporozumienie – odparła Glass, idąc do kuchni, by sprawdzić, co można zrobić na kolację.

– Dziękuję, kochanie. Taka jestem z ciebie dumna!

Glass poczuła dreszcz satysfakcji, ale gdy uśmiechnięta odwróciła się do matki, zobaczyła, że ta zniknęła już za drzwiami sypialni.

Uśmiech dziewczyny powoli gasł. Wpatrywała się tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała Sonja. Przez całe życie uważała, że nigdy nie będzie tak piękna i czarująca jak matka. Być może jednak mogła odnieść sukces na polu, na którym matka nie miała szans. Wykombinuje, jak dostać to, czego chce – czego potrzebuje – nawet jeśli jej długie rzęsy nikogo nie przekonają, a piękno i młodość przemijają.

Jeżeli nie potrafi zyskać niczyjej przychylności urodą, to postara się być chociaż silna.

Skręcili w zaskakująco pusty korytarz prowadzący do mieszkania Glass i jej matki. Dziewczyna nie była pewna, czy to dobry, czy zły znak. Serce biło jej mocno, gdy podchodziła do drzwi i przyciskała kciuk do skanera. Luke milczał, lecz pocieszająco położył jej dłoń na ramieniu. Zanim maszyna zdołała odczytać linie papilarne, drzwi otworzyły się szeroko.

– Mój Boże, Glass! – I w tej samej sekundzie matka chwyciła ją w objęcia. – Jakim cudem wróciłaś? Rękaw jest zamknięty... – urwała, zauważywszy Luke'a.

Glass była przygotowana na to, że matka potraktuje chłopaka z pogardą – wszak oskarżała go o zrujnowanie życia córki. Tymczasem Sonja uściskała gorąco jego dłoń.

– Dziękuję – powiedziała spokojnie i z godnością. – Dziękuję, że przyprowadziłeś ją z powrotem.

Luke skinął głową, niepewny, co odpowiedzieć, ale jego dobre maniery jak zwykle wzięły górę.

– Na dobrą sprawę to Glass przyprowadziła mnie. Ma pani wyjątkowo dzielną córkę, pani Sorenson.

– Wiem – odparła.

Uśmiechnęła się, puściła jego dłoń i objęła Glass ramieniem. Weszli do starannie posprzątanego saloniku. Glass rozejrzała się szybko wokół, ale nie zauważyła żadnych oznak świadczących o pakowaniu czy przygotowaniach do opuszczenia statku.

– Co tu się działo? – zapytała bez zastanowienia. – Czy władze wiedzą, na ile jeszcze wystarczy tlenu? Zaplanowano może ewakuację?

Sonja potrząsnęła głową.

– Nikt nic nie wie. Kanclerz nie przebudził się ze śpiączki, więc rozkazy wciąż wydaje Rhodes.

Glass przypomniała sobie Wellsa i poczuła nagły smutek. Minęły trzy tygodnie i wyglądało na to, że kanclerz już nigdy nie odzyska

zdrowia, a już na pewno nie w takim stopniu, żeby móc opuścić statek.

– No dobrze, a co w takim razie mówią ludziom? – zapytała, patrząc podejrzliwie na matkę. Tego wieczoru, kiedy uciekła na „Waldena”, widziała, że Sonja i Rhodes zachowywali się dużo swobodniej, niż wypadałoby przyjaciółom. Teraz jednak matka pokręciła głową.

– Nic nie mówią. Nie podawano żadnych aktualnych informacji ani instrukcji postępowania. – Westchnęła i posmutniała. – Ludzie oczywiście gadają. Jak tylko zamknięto rękaw, stało się jasne, że... no cóż... że sprawy nie idą w dobrym kierunku.

– Co z lądownikami? Czy ktokolwiek coś o nich mówił?

– Oficjalnie nie. Słyszałam ostatnio, że wejście na pokład startowy jest wciąż zamknięte, ale niektórzy już zaczęli się koło niego kręcić... tak na wszelki wypadek.

Nie musiała mówić nic więcej. Statek wyposażono w tyle lądowników, żeby pomieścić całą populację Kolonii sprzed trzystu lat. Jednak od tego czasu liczba mieszkańców wzrosła ponad czterokrotnie. Nawet surowe prawo dotyczące kontroli urodzeń, wprowadzone przed stu laty, nie zdołało wiele zmienić.

Dzieci na „Feniksie” traktowały kwestię niedostatecznej liczby lądowników jako pretekst do żartów. Kiedy ktoś udzielił głupiej odpowiedzi podczas lekcji albo spartaczył grę na torze grawitacyjnym, słyszał zazwyczaj od kolegi lub koleżanki: „Świetnie, właśnie straciłeś miejsce w lądowniku”. Wszyscy śmiali się do rozpuku, ponieważ ludzie mieli pozostać w Kolonii przez kolejne sto lat. Gdy w końcu zdecydują się wrócić na Ziemię, będzie mnóstwo czasu, by lądowniki przewiozły wszystkich po kolei. Nikt nie wyobrażał sobie awaryjnej ewakuacji w przyspieszonym tempie. Taka perspektywa była zbyt ponura.

– W takim razie powinniśmy tam iść, i to już – postanowiła Glass z mocą. – Nie ma sensu czekać na oficjalne ogłoszenie. Kiedy zostanie wydane, będzie za późno. Wszystkie miejsca będą zajęte.

– Muszę tylko pozbierać swoje rzeczy – powiedziała Sonja, rozglądając się wokół pokoju tak, jakby starała się przeprowadzić szybką inwentaryzację.

– Nie ma na to czasu – wyjaśnił Luke, biorąc ją pod rękę i prowadząc ku drzwiom. – Żadna rzecz nie jest warta straty miejsca w lądowniku.

Sonja ze strachem w oczach skinęła głową i pospieszyła za chłopakiem.

Im bliżej pokładu startowego, tym większy tłok panował w

korytarzach. Wypełniali je niespokojni mieszkańcy „Feniksa”, niektórzy obładowani pakunkami i z dziećmi, inni tylko w tym, co mieli na sobie.

Luke złapał jedną ręką Glass, drugą – Sonję, prowadząc je przez tłum w kierunku klatki schodowej. Dziewczyna unikała kontaktu wzrokowego z ludźmi, obok których przechodzili. Nie chciała pamiętać ich twarzy, kiedy będzie wspominać zmarłych.

ROZDZIAŁ 18

Clarke

– To nic poważnego – powiedziała Clarke do Sashy. Skończywszy dezynfekować rozcięcie na jej szyi, usiłowała znaleźć czysty bandaż wśród nieuchronnie kurczących się zapasów medycznych. Sięgnęła do skrzynki i zawahała się, niepewna, czy w ogóle użyć opatrunku: z jednej strony rana ziemskiej dziewczyny nie była głęboka i z pewnością sama się zagoi, z drugiej jednak – czuła się lepiej, mogąc pomóc w jakikolwiek sposób.

– Niedługo ci się polepszy – powiedziała, żałując, że nie może z czystym sumieniem powiedzieć tego samego dziewczynie leżącej na pryczy nieco dalej. Jej zniekształconą twarz zakrywał koc, którego nikt nie śmiał podnieść. Clarke poprosiła o pozwolenie na jeszcze jedno badanie ciała Pryi przed pogrzebem. Chciała sprawdzić, czy w pierwszej chwili, pod wpływem wstrząsu i przerażenia, niczego nie przeoczyła.

Stojący w drzwiach Wells skinął na nią głową. Wyszli na zewnątrz, – Bellamy oszalał – wyszeptał do niej i wyjaśnił, co zrobił młody waldenita: jak usiłował siłą wydobyć od Sashy informację, której nie

miała. – Musisz z nim pogadać – zakończył.
Clarke zmarszczyła brwi. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że to jej zachowanie doprowadziło Bellamy'ego do tego stanu. Prawda o losach Lilly sprawiła, że przekroczył cienką linię pomiędzy normalnością a szaleństwem. Nie wyobrażała sobie jednak wtajemniczenia Wellsa w szczegóły tego, co zaszło pomiędzy nią a Bellamym w lesie.

– I tak mnie nie posłucha – oznajmiła więc tylko niechętnie, rozglądając się po polanie. Z jakiegoś powodu czuła jednocześnie ulgę i rozczarowanie, że nie ma go w zasięgu wzroku.

– W takim razie ja go poszukam – stwierdził Wells zmęczonym tonem. – Zostaniesz tutaj i przypilnujesz Sashy? Gdyby Bellamy wrócił i nie zastał jej na miejscu, wszystkich by chyba wymordował. Skrzywił się, gdy poniewczasie dotarło do niego, co powiedział. Zamknął oczy i potarł skronie.

Clarke z przyzwyczajenia wyciągnęła dłoń, chcąc pieszczotliwie przeczesać palcami włosy Wellsa. Kiedyś robiła tak za każdym razem, gdy był zestresowany i wyglądał jak własny ojciec.

Powstrzymała się jednak w samą porę i, zamiast dotknąć jego włosów, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiesz, że to nie twoja wina, prawda?

– Tak, wiem – rzucił dużo ostrzej, niż chciał, a potem westchnął i opuścił głowę. – Przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć: „dziękuję”. Przyjęła przeprosiny skinieniem głowy, po czym zerknęła przez ramię na chatę szpitalną.

– Czy Sasha naprawdę musi siedzieć w środku? To okrutne, żeby zmuszać ją do przebywania w pobliżu... – ugryzła się w język, zanim wyrwało jej się „zwłok”, i zamiast tego dokończyła: – ...Pryi.

Wells skrzywił się i powiódł wzrokiem po polanie. Po jej przeciwnej stronie buntowniczo nastawiony Graham rozmawiał z grupą popleczników. Znajdowali się zbyt daleko, żeby usłyszeć, co mówią, ale widać było, że przenoszą wzrok od kopiącego grób Erica do chaty szpitalnej za plecami Wellsa i Clarke.

– Myślę, że teraz najlepiej będzie odizolować ją od innych. Nie możemy ryzykować zemsty Ziemian, jeśli coś jej się stanie. Pomyśl, co już zrobili niesprovokowani.

Mówił spokojnie i logicznie, tym samym tonem, którego używał, wyznaczając ludzi do noszenia wody lub zbierania drewna na opał, ale coś w jego tonie i wyrazie twarzy sprawiło, że Clarke zaczęła się zastanawiać, czy Wells nie chce chronić ziemskiej dziewczyny z

jakiegoś innego powodu.

– Okej – zgodziła się.

Wells odszedł, a ona odetchnęła głęboko i wróciła do chaty. Sasha siedziała po turecku na pryczy, wodząc palcem po opatrunku na szyi.

– Nie dotykaj go – ostrzegła Clarke, opadając na leżankę. – Bandaż jest sterylny, ale twoje ręce nie.

Sasha cofnęła dłoń i spojrzała w kierunku Pryi.

– Przykro mi – powiedziała cicho. – Nie mogę uwierzyć, że jej to zrobili.

– Dziękuję – odparła sztywno Clarke, niepewna, co na to odpowiedzieć. Gdy jednak zobaczyła, że jej rozmówczyni rzeczywiście cierpi, zmiękła. – Przepraszam, że cię tu z nią trzymamy. To nie potrwa długo.

– Och, w porządku. Nie musicie się spieszyć. To ważne, żeby spędzić trochę czasu ze zmarłymi. My zawsze czekamy z pochówkiem do trzeciego zachodu słońca.

Clarke spojrzała uważniej.

– To znaczy pozostawiacie ciało na widoku?

Sasha przytaknęła.

– Ludzie oplakują zmarłych na różne sposoby – wyjaśniła. – Trzeba dać każdemu czas, żeby pożegnał się tak, jak pragnie. – Przerwała i spojrzała na Clarke z namysłem. – Pewnie w Kolonii jest inaczej. Ludzie rzadziej tam umierają, prawda? Macie przecież lekarstwa na wszystko? – W jej głosie mieszały się ciekawość i żal. Clarke nie mogła oprzeć się myśli, że Ziemia nie dysponują tak bogatymi zasobami i zapewne stracili przez brak lekarstw wielu ludzi.

– Na wiele chorób, ale nie na wszystkie. Kilka lat temu mój przyjaciel stracił matkę. To było straszne, spędziła w szpitalu wiele miesięcy, ale nikt nie potrafił jej pomóc.

Sasha podciągnęła kolana do piersi. Zdjęła czarne skórzane buty, pod którymi miała podkolanówki.

– Chodzi o mamę Wellsa, prawda? – zapytała cicho.

Clarke zamrugnęła, zaskoczona. – Powiedział ci?

Tamta odwróciła się i zaczęła skubać brzeg cienkiego czarnego swetra.

– Nie. Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś wiele przecierpiał. To widać w jego oczach.

– No cóż, sam też przysporzył innym cierpień – odparła Clarke, nieco bardziej szorstko, niż zamierzała.

Sasha uniosła głowę i popatrzyła na nią z miną, która wyrażała raczej

zaciekawienie niż urazę.

– Chyba każdemu się to zdarzyło? Wiesz co, to zabawne.

Wyobrażałam sobie dotąd, że młodzi ludzie z Kolonii są całkowicie beztroscy. Nie mieliście chyba zbyt wielu zmartwień? W końcu usługiwały wam androidy, lekarstwa pozwalały każdemu dożyć nawet stu pięćdziesięciu lat i spędzaliście całe dni między gwiazdami.

– Androidy jako służący? – powtórzyła Clarke, czując, jak brwi same jej się unoszą. – Kto ci to powiedział?

– Och, ludzie opowiadali takie bajki. Wiem, że większość prawdopodobnie nie była prawdziwa, ale fajnie się tego słuchało. – Sasha zamilkła, zmieszana, a potem zaczęła z powrotem zakładać buty. – Chodź, muszę ci coś pokazać.

Clarke powoli wstała.

– Nie powinniśmy wychodzić. Obiecałam Wellsowi, że tu zostaniemy.

– Aha, więc to on tu rozkazuje?

To pozornie niewinne pytanie sprawiło, że Clarke poczuła rozgoryczenie. Owszem, Wells bardzo się starał, żeby utrzymać porządek w obozie, ale nie oznaczało to, że wolno mu rozkazywać wszystkim naokoło.

– Mnie na pewno nie rozkazuje! – oświadczyła stanowczo. – Dokąd idziemy?

– Niespodzianka! – uśmiechnęła się Sasha, ale widząc wahanie rozmówczyni, westchnęła głęboko. – Nie ufasz mi? Po tym wszystkim?

Clarke zastanowiła się i odpowiedziała po chwili:

– Ufam ci tak samo jak każdemu innemu w tym obozie. Ty przynajmniej nie trafiłaś na Ziemię z powodu popełnionego przestępstwa.

Sasha spojrzała na nią zdezorientowana, ale zanim zdążyła poprosić o wyjaśnienie, Clarke odwróciła się szybko i sprawdziła stan pacjentów. U Molly i Feliksa nic się nie zmieniło, ale na wargach dziewczyny z „Waldena” pojawiło się coś dziwnego. Wyglądały jak zaplamione czymś... Krwią? Przypomniała sobie ostatnie dni życia Lilly. Działy dziewczyny krwawiły wówczas tak mocno, że miała trudności z mówieniem. Kiedy jednak Clarke zaczęła kawałkiem gazy wycierać domniemaną krew z ust pacjentki, plamy zniknęły tak szybko, jakby były...

– Jesteś gotowa? – spytała Sasha.

Clarke odwróciła się z westchnieniem i skinęła głową. Może Sasha potrafi wskazać jej jakieś lecznicze zioła, których używali Ziemianie?

W tej chwili była gotowa spróbować każdego lekarstwa.

Otworzyła drzwi i wyszły na polanę.

– Wszystko w porządku – powiedziała nieznośnym sprzeciwu tonem do chłopaka i dziewczyny, których Wells postawił na straży. – Zabieram więźnia do toalety.

Dziewczyna przyjrzała im się bacznie, ale chłopak skinął głową przyzwalająco. Clarke zauważyła, że miną nakazuje spokój swojej najwyraźniej nieprzekonanej partnerce. Nie winiła jej – nie mieli żadnych dowodów na poparcie twierdzenia Sashy o wojowniczym odłamie Ziemiaków. Kiedy przekroczyły linię drzew, poczuła, że swędzi ją kark. Czy rzeczywiście wyprawa do lasu tylko we dwójkę była dobrym pomysłem? Nagle przyszła jej do głowy myśl mroząca krew w żyłach: A jeśli to Sasha zabiła wszystkich zesłańców?

Szły dalej w ciszy. Ziemiakanka zatrzymała się, żeby obejrzeć roślinę obok powalonego pnia, a Clarke mimo woli oceniła w myślach odległość dzielącą je od obozu i zastanowiła się, czy ktokolwiek usłyszałby jej krzyk. Wciąż miała przed oczami siną, spuchniętą twarz Pryi i straszne słowa wycięte na jej stopach.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Sasha na nią patrzy.

– Przepraszam, mówiłaś coś? – spytała.

– Tylko tyle, że powinniście powyrywać cały ten zimorząd. Rośnie strasznie blisko obozu.

Clarke dopiero teraz dostrzegła jasnoczerwone jagody.

– Jak smakują? – zapytała, czując nagły głód. Nie pamiętała, kiedy ostatnio coś jadła.

– Nawet nie próbuj! Są trujące! – wykrzyknęła Sasha, zastępując jej drogę.

W tym momencie Clarke przyszła do głowy porażająca myśl.

– Jakie są objawy zatrucia?

– Nie jestem pewna. Nikt ich nie je. Nawet małe dzieci wiedzą, że należy ich unikać.

Clarke pospiesznie przypomniała sobie listę objawów u chorych kolonistów: przemęczenie, mdłości, gorączka.

– O rany! – mruknęła, myśląc o plamach na ustach Molly, a głośno powiedziała: – To jest to! To dlatego chorują. Musieli zjeść te jagody!

Sasha otworzyła szeroko oczy, a potem uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– W takim razie wyzdrowieją. Mówią, że te jagody nie nadają się do jedzenia, ale jeżeli ktoś połknie ich niewiele, to będzie żył.

Clarke odetchnęła z ulgą.

– Jest na to jakieś lekarstwo?

– Nie znam – odpowiedziała Sasha po chwili zastanowienia. – Jednego z moich przyjaciół podpuszczono, żeby zjadł kilka jagód, kiedy mieliśmy po siedem lat. Powinnaś widzieć miny jego rodziców, kiedy się o tym dowiedzieli – coś straszego! Odchorowywał to przez tydzień, ale potem wrócił do siebie. Co prawda oznaczało to, że znów zaczął pakować się w kłopoty. W każdym razie sędzę, że powinnaś po prostu poczekać, aż im minie.

Clarke uśmiechnęła się i bez zastanowienia uścisnęła ziemską dziewczynę.

– To dokąd mnie zabierasz? – zapytała, szczęśliwa, że są w środku lasu. Poczula, jakby spędziła w szpitalnej chacie całe lata od ostatniej wycieczki.

– Maszeruj, maszeruj. Zaraz będziemy na miejscu.

Ruszyły dalej. Minęło około dziesięciu minut, zanim Sasha zatrzymała się, rozejrzała, czy w pobliżu nie ma nikogo obcego, po czym rozsunała gałęzie krzewu, odsłaniając wejście do tunelu w zboczu wzgórza. – Tędy – rzuciła. – Chodź, w środku jest całkowicie bezpiecznie.

Clarke znów poczuła ukłucie niepokoju i zaczęła się zastanawiać, jak daleko od obozu się znajdują. Podejrzenia pierzchnęły jednak na widok uśmiechniętej, podekscytowanej miny Sashy. To przecież oni ją złapali, zwięzali, odmawiali jedzenia i przetrzymywali z dala od rodziny. Jeżeli po tym wszystkim dziewczyna z Ziemi zaufała Clarke, to znaczyło, że sama również była godna zaufania.

Sasha schyliła się i znikła w jaskini. Clarke wzięła głęboki oddech i podążyła za nią do środka.

Od razu poczuła, jak ciemność zaciska się wokół niej, utrudniając oddychanie. Rozpostarła dłonie, próbując wyczuć, w jakiej odległości znajdują się ściany. Po chwili, gdy jej oczy przywykły do ciemności, zobaczyła, że jaskinia jest niemal tak duża jak jej sypialnia na „Feniksie”. Mogła się wyprostować i swobodnie odetchnąć.

Na klepisku pełniącym funkcję podłogi leżały stosy przedmiotów.

Niektóre z nich rozpoznała: połamane fotele z ładownika lub przestarzały tablet w rodzaju tych, jakie w Kolonii dawano do zabawy dzieciom. Było tam jednak również sporo rzeczy, których nie potrafiła zidentyfikować: kawałki metalu podobne do tych, które znalazła w lesie, ale nie identyczne.

– Co to za zbieranina? – zapytała Clarke, klękając, by przyjrzeć się piękniemu zbiornikowi na wodę.

– Znalazłam to wszystko na miejscu katastrofy pierwszego lądownika
– przyznała cicho Sasha. – Koloniści pozostawili tam większość sprzętu, a ja nie potrafiłam ot tak go porzucić. Przez całe życie wyobrażałam sobie, jak wygląda życie w Kolonii, a po ich lądowaniu wszędzie naokoło poniewierały się prawdziwe przedmioty z kosmosu... więc chciałam się dowiedzieć o nich czegoś więcej. – Podniosła tabletkę z drwiącym uśmiechem. – Pewnie nie używacie tego do wzywania służących androidów?

Clarke już miała zażartować, że za chwilę pošle służącego androida po coś do jedzenia, kiedy jej uwagę przyciągnął błysk srebra.

Sasha podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

– To mój ulubiony eksponat – powiedziała, podnosząc go. – Wydaje mi się, że to...

– Zegarek – powiedziała tępo Clarke.

Młodsza dziewczyna spojrzała na nią dziwnie i podała jej go.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

Clarke nie odpowiedziała. Nie potrafiła. Przesunęła dłonią po twarzy, a potem, z drżeniem, po srebrnej bransoletce.

– Clarke – zaniepokojony głos Sashy dochodził ją gdzieś z daleka. – Co się stało?

Clarke powoli obróciła czasomierz w dłoniach, z góry wiedząc, co zobaczy. Tak, były tam. Trzy litery wygrawerowane w metalu.

D. B. G.

To był zegarek jej ojca, ten sam, który przekazywano w rodzinie z ojca na syna, od kiedy jej przodek, David Bailey Griffin, podczas eksodusu wsiadł z nim na „Feniksa”.

Zamrugnęła szybko. To nie mogła być prawda. Na pewno miała halucynacje. Niemożliwe, żeby ten zegarek trafił na Ziemię. Ojciec miał go na ręku, kiedy widziała go po raz ostatni, na chwilę przed egzekucją, zanim dostał śmiertelny zastrzyk i odpłynął w kosmos. Jeszcze raz powiodła palcem po bransoletce. Przeszedł ją dreszcz, tak jakby uścisnęła dłoń ducha.

W końcu pozwolili jej pożegnać ojca. Ponieważ została oskarżona, ale jeszcze nie skazana, kanclerz wyraził zgodę na to, żeby strażnicy odeskortowali ją z celi do centrum medycznego.

Niestety, decyzja zapadła zbyt późno, żeby Clarke zdążyła zobaczyć się z matką. Wiedziała, że mama odeszła, zanim strażnicy jej o tym powiedzieli – poznała to po ich twarzach. Nie potrafiła powiedzieć, czy było to bardziej okrutne, czy miłosierne: jej mama na pewno płakałaby i ścisnęła ją na pożegnanie. W sumie mogłoby się to

okazać jeszcze gorsze niż brak pożegnania. Natomiast ojciec – to inna sprawa. Była pewna, że się przy niej nie załamie.

Strażnicy poprowadzili ją do części centrum medycznego, w której jeszcze nigdy nie była. Stażyści nie uczestniczyli w egzekucjach. Pan Griffin siedział na fotelu w pomieszczeniu, które na pierwszy rzut oka wyglądało jak normalny gabinet lekarski, z tym że nie było w nim szafek z lekami i bandażami ani sprzętu diagnostycznego – niczego, co potrzebne przy ratowaniu życia. Znajdowały się tam tylko narzędzia służące do jego zakończenia.

– Clarke – przywitał ją ojciec z uśmiechem, jednak w jego oczach widniało tylko przerażenie. – Wszystko będzie dobrze. – Mimo drżenia w głosie starał się trzymać fason.

Wyrwała się strażnikom i przypadła do niego. Obiecała sobie wcześniej, że nie będzie płakać, ale teraz na nic się to nie zdało. Gdy poczuła, że ją obejmuje, wstrząsnęło nią łkanie, a po policzkach polały się rzęsiste łzy.

– Musisz być dzielna – powiedział ojciec łamiącym się głosem. – Wszystko będzie dobrze, musisz tylko być silna. Zbliżają się twoje osiemnaste urodziny i ponowny proces. Jestem przekonany, że zostaniesz ułaskawiona. Nie ma innej możliwości. – Obniżył głos do szeptu: – Wiem, że wszystko będzie w porządku, moja dzielna dziewczynko.

– Tato – załkała Clarke – przepraszam, przepraszam, nigdy nie chciałam...

– Koniec widzenia – oświadczył opryskliwie jeden ze strażników.

– Nie! – Wpiła paznokcie w ramiona ojca, nie chcąc jeszcze odchodzić. – Tato, nie możesz, nie pozwól im, nie!

Pocałował ją w czoło.

– Nie żegnam się, kochanie. Zobaczymy się wszyscy z mamą w niebie.

„W niebie?“, pomyślała Clarke, skonfundowana. Automatycznie nasunęły jej się na myśl słowa starej piosenki: „Niebo to miejsce na ziemi”. Dlaczego w tym momencie pomyślała o czymś tak głupim? Zamknął jej dłonie w swoich. Na rękę wciąż miał zegarek – nie zabrali mu go jeszcze. Czy powinna o niego poprosić? Miała ostatnią szansę, żeby zdobyć jakąś pamiątkę po ojcu, wyobraziła sobie jednak, jak tato zdejmuje go trzęsącymi się rękami i zostaje z dziwnie gołym nadgarstkiem, podczas gdy przypinają go pasami do stołu, a potem dają śmiertelny zastrzyk... i nie mogła znieść tej myśli.

Strażnik złapał ją za ramię i zakomenderował:

– Idziemy!

Clarke wrzasnęła, jakby ją przypalano, i spróbowała się uwolnić z uścisku.

– Nie! – krzyczała. – Łapy precz!

Oczy ojca wypełniły się łzami. – Kocham cię, córeczko.

Bezskutecznie usiłowała zaprzeć się stopami o podłogę. Strażnicy powlekli ją ku drzwiom.

– Kocham cię, tato – wyjąkała pomiędzy kolejnymi spazmami płaczu.

– Kocham cię!

Trzymała zegarek tak mocno, że palce jej zdrętwiały. Patrzyła na wskazówkę minutową, ale ta oczywiście się nie poruszała – mechanizm nie działał od wielu lat. Spytała kiedyś ojca, po co w takim razie nosi bezużyteczny przedmiot, a on odparł: „Zegarek nie pokazuje już bieżącego czasu. Za to przypomina nam o przeszłości i wszystkich ważnych rzeczach. Nie tyka, ale pamięta życie każdego człowieka, który go używał. Słysząc w nim echo milionów uderzeń serc”. Teraz biło w nim również serce jej ojca.

– Dobrze się czujesz? – spytała Sasha, kładąc jej rękę na ramieniu.

Clarke wzdrygnęła się i okręciła na pięcie.

– Skąd to masz? – zapytała. Zagłębiła się we wspomnieniach tak dalece, że zaskoczyło ją echo własnego głosu w jaskini.

– Z lasu – odparła tamta. – Tak samo jak resztę rzeczy. Jeden z kolonistów musiał zgubić ten zegarek podczas lądowania.

Oddałabym mu go, ale kiedy go znalazłam, ich już tu nie było.

Czy to możliwe? Czy ojciec Clarke nie został tamtego dnia stracony, tylko zesłany na Ziemię? Co się stało z matką? Wiedziała, że to szaleństwo, ale nie rozumiała, jak inaczej czasomierz mógłby się tu znaleźć. Prawo nakazywało zwrócić go jej po śmierci ojca, ale ponieważ przebywała wówczas w Odosobnieniu, powinien razem z innymi historycznymi artefaktami trafić do zbiorów stanowiących część wspólnego dziedzictwa Kolonii. A jednak zamiast leżeć w zakurzonym pudle, gdzieś w archiwum, był tu, na Ziemi.

Powróciła myślą do pożegnania z ojcem i jego dziwacznych słów, że spotka się z nią w niebie. Dlaczego wówczas powiedział coś takiego?

Nigdy nie wierzył w niebo. Może to była wiadomość przeznaczona tylko dla niej? Może ojciec chciał, żeby przypomniawszy sobie tę piosenkę i odgadła ukryte znaczenie? Oczywiście nie mógł jej tego przekazać wprost. Nie w obecności strażników.

Z najwyższym wysiłkiem powstrzymała się, żeby nie opowiedzieć tego Sashy. Musiała jednak podzielić się tą teorią z kimś, kto

potwierdzi, że nie oszalała. Z tego wszystkiego wynikało, że Sasha spotkała jej rodziców!

Teraz zaś ziemską dziewczyną patrzyła na nią z miną wyrażającą jednocześnie zmieszanie i ubolewanie. Clarke zająknęła się:

– Przypomniałam sobie... zegarek mojego ojca.

Przyływ nadziei zaczął goić jej pęknięte serce. Wiedziała, że nie może pozwolić jej sobie odebrać. Jeszcze nie. Przynajmniej dopóki nie dowie się, co się stało z pierwszą grupą kolonistów.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej prawdopodobne jej się to wydawało. Może rodzice należeli do pierwszej ekspedycji? Zostali skazani na śmierć, ale kanclerz mógł ich jednak ułaskawić! Nie publicznie, oczywiście. Może wysłał ich z tajną misją na Ziemię? To wyglądało logicznie: w skład takiej wyprawy powinni wejść ci, którzy badali tę planetę przez całe życie.

– Słuchaj – zwróciła się do Sashy, z olbrzymim wysiłkiem panując nad głosem. – Muszę zobaczyć się z twoim ojcem i dowiedzieć czegoś o pierwszej ekspedycji.

Ziemską dziewczyną patrzyła na nią z nieprzeniknioną miną. W końcu kiwnęła głową.

– Myślę, że to się da załatwić. Ale nie mogę zabrać cię do kompleksu. Musisz poczekać w lesie, aż przyprowadzę tatę. Nie przebaczyliby mi, gdybym wpuściła cię do środka.

– W porządku – rzuciła Clarke. – Rozumiem.

– Chcesz tam iść od razu? Teraz?

Skinęła potwierdzająco głową. Niepokój i nadzieja sprawiały, że ledwie mogła oddychać, a co dopiero mówić.

– No dobrze, w takim razie chodźmy.

Wyszły z jaskini, a kiedy ich wzrok przyzwyczał się do dziennego światła, ruszyły dalej. Sasha zaczęła objaśniać drogę, lecz Clarke prawie jej nie słyszała. Wodziła palcami po chłodnym metalu bransoletki, rozważając wszystko, co się dotąd wydarzyło.

Była tak rozkojarzona, że gdy Sasha raptownie się zatrzymała, wpadła jej na plecy.

– Co się dzieje? Już jesteśmy na miejscu?

Ziemianka odwróciła się i gestem nakazała jej milczeć, ale było już za późno. Między drzewami biegło ku nim pięciu ludzi. Wells, Graham i trzech innych. Zbierali właśnie drewno na włócznie. Długie, ostro zakończone kije, które nieśli, wyglądały dużo groźniej w lesie niż na polanie.

Jeden z nieznajomych złapał Sashę za rękę, a Graham wrzasnął z

wściekłością:

– Co do cholery?! – Jego oczy błysnęły wrogością. – Pomagasz jej w ucieczce?!

– Graham! – wykrzyknął Wells, spiesząc ku nim. – Dość tego! Graham brutalnie wykręcił Clarke rękę za plecami, a dwóch jego popleczników okrążyło ją z boków. Serce biło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

– No to sobie nagrabiłaś, lekareczko. Pójdiesz z nami – warknął Graham.

Popatrzyła najpierw na jednego, potem na drugiego chłopaka u swojego boku, oceniając swoje szanse. Nie wygrałaby z nimi w walce, a oni blokowali jej drogę ucieczki. – Słuchajcie... – zaczęła, próbując zmyślić jakiś wiarygodny powód, dla którego zaszła z więźniarką tak daleko w las, ale zanim zdążyła dokończyć zdanie, Graham zgiął się wpół, puszczając jej rękę.

Przez chwilę Clarke nie wiedziała, co się stało, potem jednak dostrzegła Sashę walczącą z chłopakiem, który ją trzymał, i zdała sobie sprawę, że dziewczyna kopnęła przywódcę, dając jej szansę ucieczki. Ich oczy spotkały się, a Clarke odczytała z ruchu ust bezgłośnie wypowiedziane: „Uciekaj!”.

Skinęła jej z wdzięcznością i ruszyła biegiem, zostawiając wszystkich z tyłu.

ROZDZIAŁ 19

Bellamy

Znów przygotowywał się do opuszczenia obozu. Robił to już dwukrotnie, ale za każdym razem coś przeszkadzało mu wyruszyć.

Najpierw Octavia zniknęła podczas pożaru, potem Clarke została ugryziona przez węża.

Teraz odchodził na dobre. Nie chciał już więcej mieć do czynienia z manipulacjami Wellsa ani zdradą Clarke. Wetknął do kieszeni kilka pakietów żywnościowych i poczuł, jak po raz kolejny rośnie w nim gniew na myśl o wszystkim, z czego zrezygnował, by dostarczyć Clarke bezpiecznie do obozu. Zgubił trop Octavii i zmarnował ładnych kilka dni, czekając, aż Ziemiańka raczy się odezwać. Powinien był zostawić Clarke w lesie ze spuchniętymi kończynami i krtanią.

Wówczas nie byłaby w stanie wymówić już ani jednego kłamstwa.

Torturowała Lilly, a do tego posunęła się do wstrętnego łgarstwa, twierdząc, że jego dziewczyna chciała umrzeć.

Niewiele miał do pakowania: koc, łuk, kilka tabletek do oczyszczania wody. We wszystkich innych sprawach będą z Octavią polegać na inteligencji. Zanim Wells powalił go na ziemię, Sasha zdążyła wyszeptać: „Cztery kilometry na północny zachód. W połowie drogi na górę”.

Bellamy nie wiedział, co tam znajdzie. Być może dziewczyna powiedziała mu, że jej współplemieńcy mieszkają w pobliżu góry, a może chciała mu przekazać, że właśnie tam dostrzeżono ludzi z wojowniczej grupy. Możliwe również, że była to pułapka. W tej chwili dysponował jednak tylko tą informacją i nie miał zamiaru marnować więcej czasu.

Opuścił obóz, nie żegnając się z nikim. Niech myślą, że wyrusza na polowanie. Wells gdzieś zniknął, na szczęście nigdzie nie było również śladu Clarke. Nie sądził, by mógł jeszcze kiedyś znieść jej widok. Myśl, że niemal przespał się z kimś, kto zamordował Lilly, była nieznośna.

Im większa odległość dzieliła go od polany, tym swobodniej mu się oddychało. Powietrze niesło tu całkiem inne zapachy niż w lesie wokół obozu. Być może różnica polegała na tym, że rosły tu inne gatunki drzew, a gleba miała inny skład, ale z pewnością było też coś jeszcze. Woń liści, ziemi i deszczu mieszała się od wieków, a ludzie nie mieli na nią wpływu. Czuł się czystszy w miejscu, w którym nie padło nigdy żadne słowo ani nie rozległ się ludzki płacz.

Słońce zaczęło zachodzić. Bellamy przyspieszył kroku, wiedząc, że i tak nie dotrze do góry przed zmrokiem. Lepiej było znaleźć miejsce na obóz i kontynuować podróż rano. Wchodzenie na nieznaną teren w nocy byłoby głupie i niebezpieczne, zwłaszcza gdy droga wiodła przez terytorium Ziemiań.

Usłyszał gdzieś daleko delikatny dźwięk płynącej wody. Podążył w jego kierunku i po chwili znalazł się na brzegu małego strumyka. Był tak wąski, że drzewa po obu stronach chwilami stykały się koronami, tworząc nad nurtem łuki zielonych i żółtych liści.

Bellamy wyjął bidon, ukląkł i zanurzył go w strumieniu. Chłodna woda przepływająca mu między palcami przyprawiła go o dreszcz. Jeśli teraz jest mu zimno, co będzie, gdy nadejdzie zima? Koloniści nie dysponowali ubraniami ani wyposażeniem na tę porę roku. Albo spaliło się podczas awaryjnego lądowania, albo – co bardziej prawdopodobne – rada nie przypuszczała, że setka zesłańców przeżyje na tyle długo, by tego potrzebować.

Usiadł na brzegu, zastanawiając się, czy warto użyć jednej z tabletek oczyszczających, kiedy jego wzrok przyciągnął raptowny ruch.

Zobaczył nieduże rude zwierzę o długich włosach, które usadowiło się na brzegu i wyciągało pyszczek ku wodzie. Wyczuwając obecność człowieka, potrzęsnęło głową i spojrzało na niego.

Wokół dużych czarnych oczu miało białe futro, a powyżej – olbrzymie uszy, którymi poruszało delikatnie, obserwując człowieka. Na długich wąsach lśniły krople wody i mimo napięcia widocznego w całej jego postawie wyglądało bardziej jak dzieciak z twarzą utyłaną w paście proteinowej niż drapieżnik. Bellamy uśmiechnął się. Widział już w lesie różne zwierzęta, ale żadne z nich nie było tak zabawne. Bez zastanowienia wyciągnął w jego kierunku dłoń.

– No cześć! – powiedział.

Stworzenie zmarszczyło czarny nos na końcu rudego pyska, strząsając krople wody z wąsów. Bellamy spodziewał się, że teraz odwróci się i ucieknie, ale ku jego zaskoczeniu zrobiło kilka ostrożnych kroczków ku niemu, machając na boki puszystym rudym ogonem.

– Cześć – powtórzył. – W porządku, nie skrzywdzę cię.

Był pewien, że mówi do lisa. Co prawda nie przypominał sobie, by kiedykolwiek czytał o takich spotkaniach, ale przecież ten konkretny egzemplarz mógł nigdy wcześniej nie spotkać człowieka.

Zwierzak powęszył w powietrzu, a potem podszedł jeszcze bliżej i nieśmiało dotknął wyciągniętej dłoni chłopaka. Bellamy uśmiechnął się, kiedy wilgotny nos i wciąż jeszcze mokre wąsy otarły się o jego skórę.

– Bellamy...

Odwrócił się gwałtownie na dźwięk swojego imienia, płosząc zwierzę. Kilka metrów dalej stała Clarke z plecakiem na ramionach i wyrazem

zaskoczenia na twarzy.

– Och – powiedziała, śledząc wzrokiem uciekającego lisa. – Nie chciałam go wystraszyć.

– Co, śledzisz mnie? – warknął Bellamy, wstając. Nie wierzył, że znalazła go tutaj przypadkiem właśnie wtedy, gdy ostatecznie opuścił obóz i odszedł tak daleko. – A zresztą wszystko jedno – potrząsnął głową – nawet nie chcę wiedzieć.

– Nie śledziłam cię – odpowiedziała spokojnie, podchodząc o krok. – Chcę odnaleźć Ziemiaków.

Dłuższą chwilę patrzył na nią, zdumiony.

– Po co? – zapytał w końcu.

Teraz ona zamilkła. Jeszcze niedawno myślał, że mógłby czytać w jej umyśle, zaglądając za barykady, które w nim ustawiła. Teraz zdał sobie sprawę, że tylko mu się tak wydawało. Bardzo chciał mieć na Ziemi kogoś, komu mógłby zaufać i kogo mógłby kochać zamiast Lilly, lecz nie wiedział nic o Clarke. W ogóle jej nie znał.

– Myślę... myślę, że moi rodzice byli w pierwszej grupie, która tu wylądowała. Muszę wiedzieć, co się z nimi stało.

Bellamy popatrzył na nią z niedowierzaniem. Nie spodziewał się, że powie coś podobnego, ale pohamował ciekawość. Nie pozwolił się wciągnąć w jej szaleństwo.

– Sasha powiedziała mi, jak dostać się tam, gdzie mieszka. To mniej niż dzień drogi stąd.

– No to lepiej już ruszaj! – warknął.

Zaczął zbierać drzewo. Bez słowa ułożył je w stosik, wyjął zapałki z plecaka i rozniecił małe ognisko. Clarke? Niech się stąd wynosi.

Gdy podniósł wzrok, dziewczyna wciąż stała w tym samym miejscu.

Ogień odbijał się w jej oczach, sprawiając, że wyglądała młodziej i bardziej niewinnie. Przez gniew przebiło się ukłucie tęsknoty – nie za Clarke stojącą przed nim, lecz za tą, którą udawała. Czy gdzieś pod tą maską kryła się ta, która w jednej chwili patrzyła na niego ze śmiertelną powagą, by w następnej wybuchnąć śmiechem? Która uważała wszystko na Ziemi za cudowne i całowała go tak, jakby był najwspanialszym znaleziskiem?

– Nie strasz mnie tam. Siadaj przy ognisku albo ruszaj dalej – rzucił opryskliwie.

Clarke podeszła do ognia, postawiła plecak i powoli usiadła na ziemi.

Chłodny wiatr powiał pomiędzy drzew, więc skuliła się, drżąc całą. Zaledwie kilka dni wcześniej wziąłby ją w objęcia. Teraz natomiast nie był pewien, czy chce, żeby została... a jednak nie kazał jej

natychmiast odejść.
Przez następną godzinę patrzyli w milczeniu na tańczące płomienie,
słuchając trzaskających w ogniu gałązek i wiatru świszczącego
gdzieś w górze.

ROZDZIAŁ 20

Glass

Naokoło rozgrywały się dantejskie sceny. W najgorszych koszmarach nie śniła, że kiedyś będzie przepychać się przez tłum sąsiadów – ludzi, wśród których mieszkała i dorastała – aby zdobyć przed nimi miejsce w lądowniku. Minęła jedną z dawnych nauczycielek ciągnącą za sobą przez zatłoczony korytarz olbrzymią torbę. – Proszę ją zostawić! – krzyknęła do niej Glass, lecz jej słowa zginęły w hałasie setek kroków, krzyków i łkań.

W korytarzu z przodu dostrzegła ojca Cory. Stał na samym środku, rozglądając się rozpaczliwie, szukając wśród nacierającego tłumu żony i córki. Wołał je, a jednocześnie szaleńczo mrugał, najwyraźniej usiłując przesłać im wiadomość przez implant w rogówce. Wysiłki te były jednak skazane na niepowodzenie – sieć została wyłączona i implanty stały się bezużyteczne.

Sunęli schodami w dół i korytarzem prowadzącym bezpośrednio na pokład startowy. Panował tam taki tłok, że niemal nie posuwali się naprzód. Luke z wysiłkiem przepychał się pod ścianą, ciągnąc za sobą Glass i Sonję. Dziewczyna skrzywiła się z bólu, wpadłszy na mężczyznę trzymającego coś kurczowo w ramionach. Osłaniał to wyjątkowo troskliwie, więc sądziła, że niesie dziecko, lecz gdy go wyprzedzili, zobaczyła, że są to skrzypce. Parła dalej, zastanawiając

się, czy ten człowiek był muzykiem, czy też tylko miłośnikiem muzyki, który nie chciał pozostawić cennego instrumentu w komorze próżniowej.

Ludzie w tłumie nie pochodzili wyłącznie z „Feniksa” – choć teraz nie miało to żadnego znaczenia. Podział na waldenitów, arkadyjczyków i mieszkańców „Feniksa” zatarł się całkowicie. Teraz byli tylko zrozpaczonymi, przerażonymi jednostkami, ze wszystkich sił próbującymi wydostać się ze skazanego na zagładę statku.

Do niedawna Glass przejmowała się perspektywą upadku Kolonii mniej więcej tak samo jak wybuchem Słońca: to coś, co być może kiedyś nastąpi, ale z pewnością nie za jej życia. Kiedy miała siedem lat, razem z innymi uczniami uczyła się o wewnętrznych mechanizmach statku. Członek korpusu inżynierskiego oprowadził ich po maszynowni, z dumą prezentując złożone systemy wentylacji i śluz powietrznych. Wszystkie generatory i maszyny wyglądały na świetnie utrzymane – solidne, lśniące i niezawodne, tak jakby mogły działać przez całą wieczność. Co się z nimi stało od tamtych czasów?

Na drugim końcu korytarza ktoś krzyknął coś niezrozumiałego, co jednak wzbudziło falę wiewatów.

– Chyba otworzyli wreszcie przejście na pokład startowy – powiedział cicho Luke.

– Myślisz, że to dzięki wicekanclerzowi? – zapytała głośno Glass. Nie wiadomo było, kto aktualnie rządzi Kolonią, a właściwie od kogo przyjmują rozkazy strażnicy. Kilku z nich, wciąż jeszcze w mundurach, porzuciło posterunki i dołączyło do tłumu walczącego o dostęp do ładowników. Atmosfera przesycona była strachem.

Nagle wszyscy zaczęli się potwornie pchać. Sonja potknęła się i krzyknęła z bólu, skręciwszy kostkę. – O nie! – zawołała, dając niepewny krok naprzód, a w jej oczach pojawił się paniczny strach.

– Luke! – Glass pociągnęła go za rękaw, by zwrócić na siebie uwagę.

– Coś się stało mamie!

– Wszystko w porządku – wydusiła Sonja przez zaciśnięte zęby. – Idziemy dalej, dam sobie radę.

– Nie – powiedziała Glass z uczuciem potwornego déjà vu. Kiedy miała dziewięć czy dziesięć lat, na „Feniksie” ogłoszono ćwiczenia ewakuacyjne. Wszystko było zaplanowane z wyprzedzeniem. Kiedy zabrzmiał alarm, dzieci wyszły z klas i powędrowały parami na pokład startowy. Większość potraktowała ćwiczenia jako miłą odmianę, ale dla Glass były one przerażającą torturą. Czy rada rzeczywiście planowała wysłać na Ziemię dzieci bez rodziców? Jak by to było –

polecieć bez słowa pożegnania? Ta myśl doprowadziła ją do łez, na szczęście zauważył to tylko Wells. Wziął ją wtedy za rękę, ignorując chichoty i drwiny, i trzymał aż do końca ćwiczeń.

Luke pociągnął obie kobiety pod ścianę, a potem pochylił się ku Sonji.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił ją. – Proszę mi pokazać, gdzie boli. – Gdy to zrobiła, zmarszczył brwi, a potem oznajmił: – Będę musiał panią nieść.

– O Boże! – mruknęła Glass, czując, jak zapiera jej dech z przerażenia. Przez ten postój zostali z tyłu. Nie mogli sobie pozwolić na dalsze opóźnienie!

– Luke? – odezwał się za nim inny głos. Glass odwróciła się i zobaczyła, że patrzy na nich Camille. Jej policzki pokrywał rumieniec, jak po męczącym biegu, a z rozpuszczonych swobodnie włosów kapał pot. – Jesteś tu! Udało ci się! – Ignorując towarzyski Luke'a,

Camille uściskała go, a potem złapała za rękę. – Zaczęli już wpuszczać ludzi do lądowników. Musimy się pospieszyć! Chodźmy! Uśmiechnął się. Jego eksdziewczyna i przyjaciółka z dzieciństwa, którą znał tak długo, jak Glass znała Wellsa, żyła i stała przy nim.

– Camille – zaczął. – Cieszę się, że ci się udało tu dostać. Kiedy Glass powiedziała mi, co zrobiłaś... – przerwał myśl. – Zapomnij o tym, nie ma na to czasu. Ruszaj do lądownika – ponaglił ją. – Za chwilę też tam będziemy.

Camille patrzyła to na niego, to na Sonję i Glass, a jej twarz pociemniała.

– Musimy uciekać – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Nie uda ci się, jeżeli będziesz się nimi opiekować.

– Bez nich nie idę – oświadczył nieoczekiwanie twardym głosem. Przeniósł spojrzenie na Glass, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, potracił ją jakiś tęgi facet przepychający się między ludźmi. Luke złapał ją za ramię, a ona, odzyskując równowagę, położyła dłoń na jego barku.

– Mówisz poważnie? Luke, dla tej dziewczyny nie warto umierać! Mimo ryku tłumu Glass słyszała jad w jej głosie.

Poruszył głową, tak jakby chciał otrząsnąć się z tych słów, spoglądając na Camille wzrokiem pełnym frustracji. Glass poczuła zimną falę strachu. Tamta chciała odebrać jej chłopaka – a zwykle potrafiła osiągnąć to, na czym jej zależało.

– Nie znasz jej. Nie wiesz, co zrobiła – upierała się waldenitka. Glass spojrzała na nią ostrzegawczo. Camille nie ośmieli się chyba

zdradzić jej tajemnicy? Nie tu i teraz! Nie po tym, jak Glass pomogła jej się bezpiecznie przedostać na „Feniksa”. Miały przecież umowę. Ciemne i twarde oczy Camille nie wyrażały jednak żadnych uczuć.

– Nie wiem, o co ci właściwie chodzi, ale kocham ją i nigdzie bez niej nie pójdę. – Luke uściśnął dłoń Glass, a potem zwrócił się znów do Camille: – Słuchaj, przykro mi, że jesteś wściekła, ale nigdy nie chciałem cię zranić, a poza tym myślę, że to nie najlepszy czas i miej...

Camille przerwała mu z gorzkim śmiechem.

– Myślisz, że mówię to, ponieważ rzuciłeś mnie dla niej? – Zamilkła na chwilę, a Glass poczuła, że jej serce przestaje bić. – Nie zastanawiałeś się czasem, co naprawdę przydarzyło się Carterowi? O co go tak nagle oskarżyli?

Luke spojrzał na nią uważnie. – A co ty możesz o tym wiedzieć? – Został aresztowany za złamanie praw dotyczących kontroli urodzin. Najwyraźniej jakaś dziewczyna z „Feniksa” zeznała, że jest ojcem jej niezarejestrowanego dziecka.

Kobieta niosąca niemowlę zatrzymała się, spojrzała z obawą na Camille, ale natychmiast oderwała od niej wzrok i ruszyła dalej.

– Nie – wyszeptał Luke. Zaciśnął mocniej dłoń na ręce Glass. Wokół nich ludzie krzyczeli i biegli ku lądownikom, ale ona nie potrafiła zmusić się do najmniejszego ruchu.

– Z tego, co słyszałam, nie pofatygowali się nawet, żeby przeprowadzić test na ojcostwo. Wzięli po prostu słowa tej małej dziwki za dobrą monetę. Zdaje się, że próbowała ochronić w ten sposób prawdziwego ojca, ale szczerze mówiąc, jaką łajzą trzeba być, żeby zrobić coś takiego!

Wstrząśnięty Luke odwrócił się ku Glass z oczami pełnymi bólu.

– To nieprawda... – rzucił tonem bardziej błagalnym niż pytającym. – Glass, to nie może być prawda!

Nie odpowiedziała. Nie musiała – widział odpowiedź wypisaną na jej twarzy.

– Mój Boże – wyszeptał, cofając się o krok. Zamknął oczy i skrzywił się strasznie. – Nie mogłaś przecież... Powiedziałaś im, że to Carter? Gdy znowu na nią spojrzał, w jego oczach błyszczała niewyobrażalna furia.

– Luke... ja... – próbowała coś powiedzieć, ale słowa zamarły jej na ustach.

– Przez ciebie zabili mojego najlepszego kumpla – powiedział martwym głosem, jakby wypranym z wszelkich emocji. – Zmarł z

twojego powodu!
– Nie miałam wyboru. Zrobiłam to, żeby ocalić ciebie!
Ledwie skończyła ostatnie zdanie, a już wiedziała, że nie powinna
tego mówić.
– Wolałbym umrzeć – wycedził – niż pozwolić, żeby ucierpiała
niewinna osoba.
– Luke – jęknęła Glass, wyciągając dłoń.
On jednak szedł już w kierunku pokładu startowego. Palce Glass
złapały tylko powietrze.

ROZDZIAŁ 21

Wells

– Przepraszam cię za tamto – powiedział Wells, z westchnieniem
uwalniając Sashę.
Nie był specjalnie zaskoczony, kiedy razem z innymi chłopakami
natknęli się w lesie na dziewczyny zmierzające zapewne w kierunku
obozu Ziemiań. Nie potrafił nawet wściec się na Clarke – robiła to, co
on powinien zrobić już jakiś czas temu. Użył całego swojego
autorytetu, zwracając się protekcyjnie do Grahama i rozkazując
mu wracać:
– Ja się tym zajmę, a ty powinieneś wymoczyć się w zimnej wodzie.
Wygląda na to, że nieźle cię zabolalo – dodał, znacząco zerkając w
kierunku krocza, w które Sasha kopnęła przeciwnika.
Jeden z chłopaków parsknął śmiechem. Waldenicy wymienili między
sobą niepewne spojrzenia, aż w końcu z ociąganiem ruszyli w
kierunku strumienia. Wells tymczasem poszedł z Sashą do obozu,
zachowując milczenie, póki nie znaleźli się poza zasięgiem słuchu
kolegów.

– Przepraszam za wszystko – kontynuował teraz myśl. To nie wystarczyło, ale uważał, że i tak powinien przeprosić. – Już dawno powinniśmy puścić cię wolno.

Zatrzymanie Sashy jako jeńca było może z początku rozsądnym posunięciem, ale teraz otarcia na jej nadgarstkach przyprawiły Wellsa o mdłości i wyrzuty sumienia. Gdyby w tej chwili usiadł tu kolejny lądownik i wyszedł z niego kanclerz Jaha, co by sobie pomyślał? I jak zareagowałby na wiadomość, że zrobili coś, co niemal równało się porwaniu pierwszej spotkanej Ziemiarki? Czy ojciec uważałby go za bohatera, czy głupca? Za tchórza czy przestępcę?

– Już dobrze – powiedziała Sasha, przechylając głowę na boki, jakby próbowała obejrzeć Wellsa pod innym kątem. – Przez moment wydawało mi się, że rzeczywiście byłeś wściekły. – Nieudolnie naśladując go, powiedziała grubym głosem: „Ja się tym zajmę...”.

– Dlaczego miałbym się gniewać? – zapytał.

Rzuciła mu badawcze spojrzenie. Wczesnowieczorne niebo zabarwiło się na głęboki pomarańczowy kolor, a światło przefiltrowane przez liście sprawiało, że jej zielone oczy gorzały tajemniczym blaskiem.

– Ponieważ ponoć jestem twoim więźniem.

Odwrócił wzrok z zażenowaniem.

– Wybacz, że tak mnie poniosło. Wszyscy byliśmy przerażeni po śmierci Ashera i zniknięciu Octavii, a ja nie wiedziałem, co robić.

– Rozumiem – odpowiedziała cicho.

Zatrzymali się. Mimo że powoli zapadał zmrok, Wellsowi nie spieszyło się do obozu.

– Chcesz chwilę odpocząć? – zapytał, wskazując pokryty mchem pień.

– Pewnie.

Usiedli i przez dłuższą chwilę oboje milczeli. Wells patrzył, jak drzewa stają się sylwetkami, które po chwili znikają wśród wieczornych cieni.

Potem zerknął na Sashę i przekonał się, że spogląda na niego z wyrazem twarzy, którego nie widział od dłuższego czasu. Mniej więcej od dnia, w którym po raz ostatni siedział z Clarke na pokładzie obserwacyjnym. Często dzielili się zabawnymi historyjkami zapamiętywanymi w ciągu dnia specjalnie po to, by je sobie powtórzyć.

– To nie twoja wina – przerwała milczenie Sasha. – Robiłeś to, co uważałeś za najlepsze dla waszego bezpieczeństwa. Takie decyzje

nigdy nie przychodzą łatwo. Świetnie o tym wiem. Zauważyłam różnicę pomiędzy twoim zachowaniem wtedy, kiedy starasz się być przywódcą, i wówczas, gdy jesteś normalnym chłopakiem.

– Zabawne, że właśnie ty to powiedziałaś – odparł zaskoczony.
– Co takiego?

– Że dostrzegasz różnicę pomiędzy mną w roli przywódcy i normalnej osoby.

– Hm, powiedziałaś „chłopaka” – poprawiła.

Wyraźnie dosłyszał uśmiech w jej głosie. Nad nimi pączki kwiatów na jednym z dziwnych nocnych drzew rozjarzyły się różem, zupełnie jakby ich płatki zmagazynowały światło zachodzącego słońca.

– A tak, prawda. No cóż, dałem sobie awans.

– Osoba to rzeczywiście stopień wyżej od chłopaka. – Kiwnęła głową z udawaną powagą. – Ale nie jestem pewna, czy oboje należą do tego samego gatunku.

Delikatnie pociągnął za kosmyk włosów opadających czarną falą na ramiona.

– Nie wiem jeszcze, czy my należymy do tego samego gatunku. Uśmiechnęła się i wymierzyła mu żartobliwego kuksańca w ramię, a potem przysunęła się bliżej.

– Dlaczego to takie zabawne? – zapytała.

Wells niemal zapomniał, od czego zaczął tę rozmowę, tak go urzekły jej oczy lśniące w półmroku.

– Aha, chodziło mi o to, że zawsze myślałem w ten sposób o ojcu. Raz był kanclerzem, a zaraz potem – moim tatą. Czasem czułem się tak, jakbym miał dwóch całkiem różnych ojców.

– Świetnie wiem, co masz na myśli – powiedziała cicho. – Twój tato będzie z ciebie dumny, kiedy wyląduje.

„Jeżeli wyląduje”, pomyślał Wells. Zamilkł, czując w piersi ukłucie tęsknoty.

– Patrz! – Sasha wskazała na niebo. Pierwsza dzielna gwiazda wyłaniała się właśnie z gęstniejącej ciemności. – Musisz sobie czegoś zażyczyć.

– Zażyczyć? – powtórzył, zastanawiając się, czy dobrze zrozumiał. Jeszcze raz wycelowała palec w górę.

– Kiedy pojawia się pierwsza gwiazda, możesz sobie czegoś zażyczyć.

Odwrócił się do Sashy, sprawdzając, czy go nie nabiera, ale najwyraźniej mówiła szczerze. Zdał sobie sprawę, że musi to być jakiś ziemski zwyczaj. Gdyby gwiazdy spełniały życzenia ludzi

mieszkających w Kolonii, wszystko wyglądałoby inaczej. Matka wciąż by żyła, a ojca by nie postrzelono.

Nie miał nic do stracenia, więc zamknął oczy. Zaczął wypowiadać w myślach życzenie, żeby ojciec przyleciał na Ziemię, ale natychmiast zdał sobie sprawę, co pomyślałby o tym sam kanclerz. „Non nobis solum nati sumus”. Zamiast tego pomyślał więc: „Chciałbym, żeby Bellamy znalazł Octavię, a także żebyśmy zawarli pokój ze wszystkimi Ziemiąnami”.

Otworzył oczy i spojrzał na Saszę, która przyglądała mu się z uśmiechem.

– Chcesz wiedzieć, czego sobie życzyłem? – zapytał kpiąco, ale ona pokręciła głową.

– O nie! – zaprotestowała. – Życzenia nie można nikomu zdradzić! Musi pozostać tajemnicą.

Wells wiedział sporo o dochowywaniu tajemnic. W końcu uczył się od najlepszych.

Nie mógł zapomnieć o kłamstwie ojca. Przez cały tydzień po urodzinach skrupulatnie notował w myślach każde słowo i postępek kanclerza, mając nadzieję, że jakiś drobiazg pozwoli mu odkryć, dlaczego skłamał, usprawiedliwiając nieobecność na urodzinowej kolacji syna posiedzeniem rady. Nie udało mu się jednak niczego ustalić. Ojciec wychodził codziennie rano o tej samej godzinie, zanim jeszcze zapaliły się światła imitujące naturalny dobowy rytm. Wracał zaś w samą porę, by pocałować matkę Wellsa w policzek tuż przed jej zaśnięciem (ostatnio jakoś szybko się męczyła) i dowiedzieć od syna, co przerabiają w szkole. Matka lubiła żartować, że pytanie: „Jak ci poszło na sprawdzianie z algebry?” oznacza w języku kanclerskim:

„Kocham cię, synu, i jestem dumny z twoich osiągnięć”. Wells wiedział, że ojciec rzeczywiście pracuje do późna, ponieważ wielokrotnie zakradał się do jego biura i przyciskał ucho do drzwi. Za każdym razem uspokajał się, słysząc rozmowę z jakimś członkiem rady lub cichy brzęk kubka o blat biurka, oznaczający kolejny łyk herbaty.

Dlaczego więc nie potrafił pozbyć się uczucia, że ojciec ukrywa coś przed rodziną – coś wielkiego?

Gdy nadszedł dzień ceremonii jedności, Wells nie mógł spojrzeć na kanclerza bez niepokoju. Nienawidził tej uroczystości, podczas której musiał spędzić całe przedpołudnie, stojąc pomiędzy rodzicami i starannie ukrywając znudzenie przed defilującymi dołem dziećmi z „Waldena” i „Arkadii”.

Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze w trakcie tych obchodów zerkał ukradkiem na konary Drzewa Edenu. Jeśli spojrzeł pod odpowiednim kątem, potrafił sobie wyobrazić, że jest zagubionym w dżungli odkrywcą. Czasem walczył w myślach z tygrysem, a innym razem budował łódź, by popłynąć niebezpieczną rzeką.

Tego roku jednak nie odrywał oczu od ojca. Kanclerz, zazwyczaj obserwujący uroczystość z wymuszonym uśmiechem, teraz patrzył z napięciem na jedno z osieroconych dzieci w grupie z centrum opieki „Waldena”. Było to tak nietypowe, że Wells nie potrafił utrzymać języka za zębami.

– Okej, co jest grane? – wyszeptał do ojca.

– A o co ci chodzi? – kanclerz obrzucił syna krótkim, uważnym spojrzeniem i z powrotem przeniósł uwagę na dzieci z centrum opieki, które właśnie zaczęły recytować wiersz z okazji ceremonii jedności.

W piersi Wellsa wezbrał gniew.

– Co przed nami ukrywasz? – syknął.

Tym razem kanclerz spojrzeł prosto na niego.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – oznajmił wolno i wyraźnie. – A teraz ucisz się i nie przynoś wstydu mnie i matce.

Powiedział to normalnym tonem – szorstkim i oschłym – ale Wells dojrzał w jego oczach coś dziwnego, czego nigdy w nich nie widział.
Strach.

– Ale możesz mi powiedzieć, czy twoje życzenie się spełniło – szepnęła Sasha. Siedziała tak blisko, że Wells czuł jej oddech na policzku.

– Co? – zapytał, zaskoczony.

– Twoje życzenie. Czy się spełniło?

– Och – odparł, nagle zmieszany. – A to musi być natychmiast? Spełnienie tego, czego sobie życzyłem, zajmie chyba dłuższą chwilę.
– Rozumiem... – usłyszał w jej głosie nutę rozczarowania i poczuł się dziwnie zmieszany.

– A czego ty sobie życzyłaś?

Sasha przysunęła się jeszcze bliżej i pocałowała go.

Zawahał się przez chwilę, w jego umyśle wirowały tysiące myśli, ale potem dziewczyna objęła go i myśli zniknęły jak zdmuchnięte.

Przyciągnął ją bliżej i zatracił się cały w tym pocałunku. W końcu oderwała usta od jego ust i zbliżyła usta do jego ucha.

– Tego sobie właśnie życzyłam – szepnęła, a jej oddech delikatnie go połaskotał.

Odsunął z jej twarzy kosmyk czarnych włosów.
– Bardzo się cieszę, że to życzenie się spełniło.
Poczuł, że mógłby tu z nią zostać na wieczność. Najbardziej pragnął spędzić noc pod rozgwieżdżonym niebem, traktując każdy srebrny błysk w granatowych przestworzach jako pretekst do kolejnego pocałunku.

Oczywiście było to niemożliwe. „Nie rodzimy się tylko dla samych siebie”. Po strasznych wydarzeniach tego dnia nie mógł porzucić pozostałych zesłańców. Musiał wrócić i wziąć udział w pogrzebie Pryi, pocieszając tych, którzy nie będą mogli potem spać, i powstrzymując tych, których żal i strach mogłyby popchnąć do szukania zemsty.

– Musisz iść – powiedział bezsilnie łamiącym się głosem.

– Iść?

– Tak – potwierdził, tym razem pewniej. – Wracać do domu, tak jak planowałyście z Clarke. Tu nie jest dla ciebie bezpiecznie. Pamiętasz, co zrobił Bellamy? A ja wiem, do czego jest zdolny Graham. – Ujął ją w ciemności za rękę. – Dasz radę wrócić samodzielnie?

– Do domu – powtórzyła z lekkim smutkiem, a potem uśmiechnęła się niewesoło. – Dam radę, dziękuję.

Pochyliła się i jeszcze raz go pocałowała, tym razem leciutko, a potem wstała i zniknęła w ciemnościach.

Gdyby nie dreszcz, który przenikał go jeszcze po pocałunku, mógłby pomyśleć, że przesiedział ten wieczór w lesie całkiem sam.

ROZDZIAŁ 22

Bellamy

Cisza szybko zaczęła mu ciążyć mimo trzasku płomieni ogniska. Chciał ją zapytać, dlaczego to zrobiła. Dlaczego kłamała o Lilly. Gdy

jednak próbował ubrać myśli w słowa, za każdym razem gardło odmawiało mu posłuszeństwa.

Złapał więc w końcu łuk oraz kilka strzał i poszedł upolować coś na kolację. Kiedy wrócił z przewieszonym przez ramię królikiem, Clarke rozłożyła już postania. Zauważył z ulgą, ale i rozczarowaniem, że umieściła je daleko od siebie.

Niebo ponad drzewami zaczęło już ciemnieć, a małe ognisko rzucało zachęcający blask. Clarke siedziała przy nim, obracając w dłoni zegarek. Zastanawiał się, skąd go wzięła i czy rzeczywiście świadczył o tym, że jej rodzice brali udział w pierwszej misji na Ziemię.

Płomienie rzucały blask na jej twarz. Chwilami wydawało mu się, że widzi na jej policzku jakby łzę odbijającą światło ogniska. Kiedy się w końcu odezwała, jej głos był jednak stanowczy.

– Dziękuję – powiedziała, wskazując królika i szybko ocierając oczy wierzchem dłoni.

Bellamy bez słowa skinął głową. Obdarł zwierzę ze skóry i zaczął metodycznie nadziewać kawałki mięsa na zaostrzony patyk.

– Mogę ci pomóc? – zapytała, obserwując go przykucniętego przy ogniu.

Skrzywił się, kiedy z paleniska wleciała mu prosto w twarz chmura popiołu.

– Wszystko pod kontrolą.

– A mnie się przez cały czas wydawało, że nic nie robisz, tylko stoisz i pięknie pachniesz – rzuciła z kpina.

– Co??? – Bellamy odwrócił się ku niej gwałtownie, ignorując skwierczenie przypalającego się właśnie mięsa.

– Przepraszam – powiedziała pospiesznie. – To był żart. Wszyscy wiedzą, że bez ciebie już byśmy nie żyli.

– Nie o to mi chodziło. – Rzucił się ratować królika, usiłując nie dopuścić, by ich kolacja spaliła się na węgiel. „Myślałam, że nic nie robisz, tylko stoisz i pięknie pachniesz”. – To... to, co powiedziałaś, coś mi przypomniało – wyszeptał tak cicho, że chyba trzask płomieni zagłuszył jego głos. Nie przejął się tym specjalnie, chciał tylko spokojnie powspominać dawne dni.

– Chodź! – wydyszał Bellamy. Pociągnął Lilly za róg, gdzie zatrzymali się, żeby złapać oddech. – Wszystko w porządku?

Kiwnęła potakująco głową, zbyt zziębiona, by mówić.

– Musimy... ruszać... dalej... – powiedział z trudem, wtrącając słowa między jednym oddechem a drugim.

Pomysł, żeby zakraść się z Lilly na „Feniksa”, był idiotyczny. Gdyby ją

teraz tu pozostawił, okazałby się kimś dużo gorszym niż idiota.
Wówczas byłby mordercą.

Powinien był to wcześniej starannie przemyśleć i przewidzieć wszystkie słabe punkty. Smutek, jaki pojawiał się w jej oczach za każdym razem, kiedy mówiła o czytaniu, sprawił jednak, że Bellamy przestał myśleć rozsądnie. Od kiedy Lilly zobaczyła podczas szkolnej wycieczki bibliotekę na „Feniksie”, za wszelką cenę pragnęła tam wrócić.

Usłyszeli łoskot zbliżających się kroków i podskoczyli ze strachu. Co sobie, do cholery, myślał, pomagając jej dostać się na ten statek?

– Zostawmy książkę i uciekajmy! – zawołał, ciągnąc ją za rękę. – Tylko o nią im chodzi. Może nie będą nas gonić, jeżeli ją odzyskają. Lilly przycisnęła do piersi ciężki tom oprawiony w zielone płótno. Ten kolor znakomicie pasował do jej kasztanowych włosów.

– Co to, to nie – zaoponowała. – Szukałam tej książki od lat. Muszę wiedzieć, czy bohaterka zejdzie się z tym chłopakiem, który przeżywał ją „Marchewka”.

– Jeżeli ten koleś wie, co dobre, poszuka sobie blondynki. Rude dziewczyny sprawiają same kłopoty – uśmiechnął się Bellamy i sięgnął po książkę. – Daj mi ją. Waży połowę tego, co ty...
Marchewko.

Oddała mu ją również z uśmiechem.

– Już myślałam, że jej nie weźmiesz. Nie przyszłam tu z tobą tylko po to, żebyś stał i pięknie pachniał.

Wyszczrzył zęby, ale zanim zdążył odpowiedzieć, zza roku ktoś wrzasnął:

– Tędy poszli!

Bellamy i Lilly ruszyli sprintem.

– Tam są! Przed nami!

– O rany – wydyszała Lilly. – Zaraz nas złapią!

– Nie ma mowy! – Bellamy ścisnął dłoń Lilly i przyspieszył, ciągnąc ją za sobą.

Skręcili ostro za kolejny róg i wpadli do wnęki za wejściem na klatkę schodową. Bellamy upuścił książkę i objął ramionami drżącą Lilly, przyciskając ją do ściany. Modlił się do pierwszego bóstwa, które zechce go wysłuchać, żeby strażnicy ich nie zauważyli. Lilly zamknęła oczy, kiedy kroki pościgu zabrzmiały głośniejsze, a krzyki stały się bardziej natarczywe.

A potem zaczęły się oddalać. Strażnicy minęli ich i pobiegli dalej. Bellamy milczał jeszcze minutę, żeby upewnić się, że są bezpieczni,

a potem odetchnął z ulgą.

- Już dobrze – mruknął, gładząc rudą czuprynę Lilly. – Wszystko będzie dobrze.
- Nie chcę zostać Odosobniona – powiedziała łamiącym się głosem, trzęsąc się jeszcze z emocji.
 - I nie będziesz. – Objął ją mocniej. – Nie pozwolę na to.
 - Wolałabym umrzeć, niż trafić do celi.
 - Nie mów tak – zbeształ ją z uśmiechem. – Nic podobnego się nie stanie. Przyrzekam.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez i skinęła głową. Pochylił się, pocałował ją w zaczerwienione z wysiłku czoło i powtórzył:

– Przyrzekam.

Bellamy odwrócił się ku Clarke. Siedziała z kolanami pod brodą, bawiąc się zegarkiem.

– Kazała ci przyrzec, prawda? – zapytał.

Podniosła wzrok, zaskoczona, że się do niej odezwał. Potem zrozumiała, o co mu chodzi, i powoli kiwnęła głową.

– Kazała ci przyrzec, że... zakończysz jej męczarnie.

– Tak. – Clarke wzięła głęboki oddech, a potem mówiła dalej: – Nie mogła już tego wytrzymać. Nienawidziła cierpienia, ale jeszcze bardziej nienawidziła tego, że straciła kontrolę nad własnym życiem. Nie chciała już dłużej być uwięziona w laboratorium. – Nuta bólu w jej głosie zadźwięczała echem w jego sercu.

Wówczas zdał sobie sprawę z tego, że Clarke nie kłamała. Lilly, którą znał, była silna, a błaganie o śmierć nie było kapitulacją, lecz aktem determinacji. Ta Lilly wolała umrzeć niż być bezwolnym obiektem testów.

Nigdy dotąd nie zastanawiał się, jak strasznym przeżyciem musiało to być dla dziewczyny, która siedziała obok niego przy ognisku. Kiedy przyjaciółka poprosiła ją o coś takiego... Teraz wiedział, że to nie była wina Clarke. Tym większą nienawiścią pałał do wicekanclerza i innych osób odpowiedzialnych za potworne eksperymenty, które kosztowały życie Lilly. Clarke kochała ją równie mocno jak on. Kochała ją tak bardzo, że zdecydowała się na potworny czyn...

dlatego że tamta ją o to błagała.

Bellamy przysiadł się do Clarke.

– Przepraszam, że wygarnąłem ci to wszystko – powiedział, patrząc w ogień.

Pokręciła głową. – Nie przepraszaj. Należało mi się.

– Nieprawda. Nic ci się nie należało. – Westchnął, gdy Clarke wzięła

go za rękę i splótła ich palce. – A mnie na pewno nie należy się wybaczenie z twojej strony.

– Bellamy – powiedziała takim tonem, że musiał na nią spojrzeć. – Wszyscy mamy na sumieniu rzeczy, z których nie jesteśmy dumni...

– zawiesiła głos i zmarszczyła brwi, a on pomyślał, że chodziło jej również o Wellsa.

– Wiem, ale...

– Wiesz co, chciałabym, żebyś teraz przestał już gadać – powiedziała, a potem go pocałowała.

Zamknął oczy i pozwolił, żeby pocałunki przekazały wszystko to, czego nie był w stanie ująć w słowa z powodu uporu lub głupoty. Delikatnie przygryzł jej wargę: „Przepraszam”.

Odszukał ustami wrażliwe miejsce pod brodą: „Zachowałem się jak idiota”.

Pocałował ją w zagłębienie pod obojczykiem: „Pragnę cię”.

Zaczęła oddychać głębiej, drżąc za każdym razem, kiedy muskał ustami jej skórę.

Dotknął ustami jej ucha: „Kocham cię”.

To nie wystarczyło. Chciał, żeby usłyszała, jak mówi to na głos. Sam również chciał to usłyszeć. Odsunął się i ujął jej twarz w dłoń.

– Kocham cię – wyszeptał, patrząc prosto w oczy, pełne blasku ognia i czegoś jeszcze.

– Ja też cię kocham...

Pocałował ją jeszcze raz, tym razem trochę mocniej, powtarzając te słowa za każdym razem, kiedy jego wargi znajdowały na jej skórze miejsce wolne od pocałunków. Płomienie ogniska rzucały na nich zmienny blask, kiedy ujął dłonią jej kark i powoli pociągnął ją na postanie.

ROZDZIAŁ 23

Clarke

Z głową na piersi Bellamy'ego zastanawiała się, jakim cudem jest jej tak wygodnie, skoro w środku nocy oboje leżą na ziemi. Zazwyczaj dygotała nawet przykryta kocem, ale teraz było jej ciepło. Czuła jeszcze rozkoszny żar, który ogarnął ją w chwili, gdy chłopak wziął ją w ramiona.

Bellamy leżał z zamkniętymi oczami, lecz co kilka minut przytulał ją mocniej, całował w policzek albo głaskał po włosach. Ognisko przygasło i ich małe obozowisko oświetlało tylko kilka gwiazd zagładających przez baldachim liści.

Clarke odwróciła się na drugi bok, plecami do Bellamy'ego. Objął ją mocniej i przyciągnął bliżej, chociaż tym razem wyglądało to bardziej na odruch. Jego równy, miarowy oddech podpowiedział jej, że chłopak zasnął.

Słaby błysk mrugnął do niej z ciemności. Może ognisko jeszcze całkiem nie wygasło? Lecz nowe światełko wydawało się dochodzić z miejsca położonego kilkaset metrów dalej, w pobliżu wystającej ze zbocza skalnej formacji.

Jej serce zabiło mocniej. Odwróciła się twarzą do Bellamy'ego.

– Hej – szepnęła mu do ucha. – Obudź się.

Nic to nie dało, więc delikatnie potrząsnęła jego ramieniem.

– Bellamy.

Głowa opadła mu na bok i głośno zachrapał.

– Bellamy!

Usiadła raptownie, uwalniając się z jego objęć. Otworzył oczy.

– O co chodzi? – zapytał, mrugając sennie. – Co się dzieje? – Nagle dostrzegł jej przejętą minę. Błyskawicznie się dobudził i usiadł. –

Wszystko w porządku?

Clarke pokazała mu światło. – Jak myślisz, co to jest?

W ciemności dojrzała, jak Bellamy podejrzliwie mruży oczy.

– Nie mam pojęcia. – Sięgnął po łuk, który położył wcześniej na ziemi obok pośłania, i skoczył na równe nogi. – Chodźmy i zorientujmy się w sytuacji.

Złapała go za rękę.

– Czekaj, najpierw może ułożmy jakiś plan.

Uśmiechnął się do niej.

– Jaki plan? Chcemy po prostu zobaczyć, co to jest. Chodź!
Prześlizgnęli się między drzewami w kierunku światła, które było tym jaśniejsze, im bliżej podchodzili. Clarke zdała sobie sprawę, że jego źródło jest zasilane elektrycznością. Ciepły, żółty blask kładł się doskonałym kręgiem na okolicznych drzewach i skałach.

– Clarke – rzekł Bellamy stłumionym, przejętym głosem, zatrzymując się nagle. – Nie jestem pewien, o co tu chodzi. Może powinniśmy się cofnąć, a w każdym razie poczekać do rana?

– O, nie!

Teraz, kiedy byli tak blisko, nie zniosłaby odwrotu. Wzięła się w garść i ruszyła naprzód.

Światło wydobywało się z jakiegoś ciepłego metalowego przedmiotu. Clarke stanęła na palcach, żeby go dotknąć, i zdała sobie sprawę, że to żarówka osadzona w klatce. Osłaniały ją stalowe pręty, tak jakby blask był żywym stworzeniem, które próbuje uciec.

– Co, do cholery? – szepnął Bellamy tuż koło niej. – Przecież nie świeci przez te wszystkie lata od eksodusu, no nie?

– Nie. Spaliłaby się już dawno, dawno temu.

Cofnęła się o krok i niemal krzyknęła z przejęcia.

– Co się stało? – zapytał zaskoczony Bellamy. – Co to jest?

Formacja przed nimi nie była bezładnym stosem głazów, tylko wyrąbanymi w skale stopniami prowadzącymi w głąb wzgórze. Clarke ruszyła ku nim, nie wahając się ani chwili.

Nawet w słabym świetle było widać, że Bellamy gwałtownie blednie.

– Nie, Clarke. Nigdzie nie idziemy, dopóki nie będziemy choćby z grubsza wiedzieli, co to, do cholery, jest.

Zerknęła na coś, co przegapiła w ciemności, i schyliła się, by lepiej się temu przyjrzeć. Na jednym ze stopni widniała metalowa plakietka, na której wyryto słowa – trudne do odczytania, bo tabliczka była stara i zaśniedziała. Zmrużyła oczy.

– Mount Weather – przeczytała na głos.

– Co to znaczy? – zapytał Bellamy.

Przez myśl przemknęło jej wspomnienie, które sprawiło, że skoczyła na równe nogi.

– Wiem, gdzie jesteśmy! – zawołała. – Opowiadali mi o tym miejscu!

– Kto? – W jego głosie usłyszała niecierpliwy ton. – Kto ci o tym opowiadał?

– Moi rodzice – wyjaśniła.

Bellamy patrzył na nią wielkimi oczami, a ona relacjonowała mu to, co zapamiętała. Mount Weather była schronem dla rządu Stanów

Zjednoczonych w czasie wojny.
– Ale rodzice mówili, że nikt nie zdążył się tu ukryć.
– No cóż, może jednak komuś się to udało. Czy mogli przetrwać kataklizm w tym schronie? Schodząc pod ziemię?
Clarke potwierdziła skinieniem.
– Mam przeczucie, że już tu zostali. Myślę, że to tutaj mieszkają Ziemianie.
Spojrzał na wejście, a potem znów na nią. Stała bez ruchu.
– Dobra, na co czekamy? – rzucił. – Chodźmy pogadać z tymi Ziemianami.
Clarke wzięła go za rękę i ruszyli schodami w dół, zanurzając się powoli w ciemność.

ROZDZIAŁ 24

Wells

Wells przesunął się i oparł o pień, krzywiąc boleśnie usta, gdy jego zmęczone mięśnie zaprotestowały. Świtało już, ale tej nocy nie mógł zasnąć. W końcu poddał się i na ochotnika objął straż, zyskując wdzięczność arkadyjczyka o oczach zaczerwienionych z braku snu.

Wzrok Wellsa powędrował ku cmentarzowi, gdzie nowy kopczyk ziemi wyrastał z trawy jak blizna. Większą część nocy przesiedział przy grobie Pryi, który udekorował wcześniej kwiatami. Choć bardzo się starał, nie wyszło mu to tak artystycznie jak Molly. Ach, właśnie.

Na szczęście, pomyślał z ulgą, gorączka Molly zaczęła spadać. Clarke przed odejściem poprosiła go, żeby przekazał zesłańcom to, czego się dowiedziała od Sashy na temat zimorzębu. Z prawdziwą przyjemnością poinformował wszystkich lokatorów chaty szpitalnej, że pacjenci z pewnością wyzdrowieją, gdy tylko trucizna z jagód

przestanie działać.

Jeszcze raz zerknął na prymitywny nagrobek, na którym znalazło się tylko imię Pryi. Nie znał ani jej nazwiska, ani powodu Odosobnienia, nie wiedział też, czy kiedykolwiek była zakochana. A jej rodzice? Czy w ogóle dowiedzą się o śmierci córki? Jeżeli bransolety jeszcze działały, to istniała pewna szansa, że już ich o tym zawiadomiono.

Jeśli nie, to będzie musiał poczekać, aż wylądują na Ziemi.

Wyobrażał sobie podobną do Pryi kobietę o wielkich brązowych oczach, wychodzącą z lądownika i rozglądającą się za córką, którą jej odebrano. Inni rodzice obejmują swoje dzieci, a Wells prowadzi matkę Pryi do grobu.

Trzasnęła gałązka. Wells skoczył na równe nogi, rozglądając się czujnie. Okazało się jednak, że to tylko zabłąkana wiewiórka. Za żadne skarby świata nie przyznałby się do nadziei, że zamiast wiewiórki zobaczy Sashę.

Wiedział, że to idiotyzm. To niemożliwe, żeby ziemsk dziewczyna pojawiła się jakimś magicznym sposobem w obozie tylko dlatego, że nie może przestać o niej myśleć. Postąpił słusznie, pozwalając jej wrócić do domu. Żałował tylko, że nie zapytał, gdzie mieszkają jej współplemieńcy, ani nie poprosił, żeby któregoś dnia przyszła jeszcze do obozu. Może już nigdy jej nie zobaczy?

Do głowy wpadła mu kolejna dręcząca myśl, której nie potrafił się pozbyć: co, jeśli Sasha przez cały czas kłamała, a ich pocałunek był tylko częścią planu jej ucieczki?

W tym momencie z zadumy wyrwały go krzyki na polanie. Nie były to zwykłe poranne połajanki: „zabieraj łapy od mojego śniadania!” ani „zabiję cię, jeżeli spróbujesz się wykręcić od noszenia wody!”. Wells wstał i ruszył w kierunku, z którego dochodziły, z dziwnym uczuciem, że wie, o co chodzi.

Wokół chaty szpitalnej zebrała się grupa kolonistów. Kiedy Wells podszedł bliżej, obróciły się ku niemu dwa tuziny twarzy. Większość z nich wyrażała zdezorientowanie, ale kilka gorzało gniewem.

– Zniknęła! – wypluł z siebie Graham, stając naprzeciwko Wellsa. Przez krótką chwilę Wells rozważał, czy nie udawać zaskoczonego faktem, że Sashy udało się jakoś uciec. Jednak jego ojciec powiedziałby w takiej sytuacji: „Prawdziwy przywódca bierze odpowiedzialność za swoje pomyłki, a nie spycha jej na innych”. Tyle tylko, że Wells nie uważał uwolnienia ziemskiej dziewczyny za pomyłkę.

– Powiedziałeś, że przyprowadzisz ją z powrotem, a potem

pozwoleń jej odejść! – krzyknął Graham, rozglądając się po grupie, by mieć pewność, że jego słowa wzbudzą oczekiwaną reakcję.

– Coś ty sobie myślał, Wells?! – zapytał ze zdumieniem Antonio. – Była zakładniczką, tylko dzięki niej mogliśmy uzyskać przewagę nad Ziemianami. Zabili już Ashera i Priyę. Co powstrzyma ich teraz od wymordowania nas wszystkich?

– Nie wiemy nawet, gdzie mieszka reszta jej plemienia, a co dopiero, czy wiedzieli, że ją trzymamy! A przede wszystkim to nie oni zabili Ashera i Priyę – zaprotestował Wells. – To był inny odłam Ziemian, wojowniczy i nieprzyjazny.

– Ona ci to powiedziała! – wtrąciła się z boku jakaś dziewczyna. Odwrócił się i zobaczył, że to Kendall. Patrzyła na niego z żalem i litością. – Ale czy mamy na to jakiś dowód?

Sądząc po minie, uważała, że Wells został wykorzystany.

– Przyznaj się! – warknął Graham. – Pozwoleń jej uciec! Tak czy nie?

– Tak – odparł spokojnie Wells. – Pozwoleń i uważam, że postąpiłem właściwie. Nie wiedziała nic o Octavii. Nic byśmy nie zyskali, przetrzymując ją tutaj. Nie możemy zamykać ludzi ot tak, bez powodu.

– Chyba żartujesz? – Antonio patrzył na niego niedowierzająco. Jego twarz, zazwyczaj wesoła, ściałał grymas wściekłości, kiedy zwrócił się do tłumu, gestykulując dramatycznie. – Twój własny ojciec pozamykał nas z różnych błahych powodów!

– No i co z tego? – zapytał Wells z frustracją, podnosząc głos. – Czy to oznacza, że musimy popełniać tę samą pomyłkę? Mamy szansę zrobić coś inaczej. Postąpić lepiej niż władze Kolonii.

Graham parsknął lekceważąco. – Skończ z tymi bzdurami. Wszyscy wiemy, że zależy ci tylko na tym, żeby przelecieć jakąś zmutowaną ziemską dziwkę.

Gniew, który Wells starał się powściągnąć, zapłonął w jego piersi nowym ogniem. Rzucił się na Grahama, dziko młóćąc pięściami.

Zanim jednak zdołał zetrzeć temu dupkowi z twarzy zadowolony uśmiešek, Eric wraz z innym arkadyjczykiem wykręcili mu ręce za plecami.

– Wells, przestań! – krzyknął Eric.

– Widzicie? – zwrócił się Graham do grupy, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. – Widzicie? Teraz chyba jasne, po której stronie stoi ten kanclerski synek.

Nie te słowa jednak zraniły Wellsa najbardziej, ale wyraz twarzy

wszystkich, którzy je usłyszeli. Większość gapiała się na niego z takim niesmakiem, jakby wierzyli Grahamowi.

Usta Kendall drżały. Twarz Erica poczerwieniała z frustracji. Antonio pałał gniewem. Wells szukał wzrokiem Clarke, aż przypomniał sobie, że przecież odeszła. Postąpił właściwie. Dlaczego nikt tego nie rozumiał?

„A może to nie był właściwy postępek?”, zapytał jakiś cichy głosik w jego głowie. Wells wiedział przecież, że nawet największym przywódcom zdarzają się pomyłki.

Gdy pułkownik minął oddział Wellsa, chłopak odetchnął dyskretnie i rozpiął najwyższy guzik mundurowej kurtki. W trakcie kariery wojskowej dość szybko zdał sobie sprawę, że uniformy, które tak bardzo podziwiał jako dziecko, w praktyce były absurdalnie niewygodne. Żołnierze chodzili w nich na Ziemi, zgoda, ale czy był to wystarczający powód, by używać ich także w kosmosie?

– Heeej, patrzcie. Młody Jaha się buntuje – zakpił jeden z jego kolegów kadetów. – Wiesz, co robią z oficerami łamiącymi zasady dotyczące munduru?

Wells zignorował drwinę. Czuł się wykończony po ćwiczeniach na „Waldenie”, podczas gdy inni kadeci najwyraźniej nabierali po nich nowej energii. Nie chodziło o wysiłek fizyczny w trakcie biegów po torze grawitacyjnym czy treningu walki wręcz. Czuł mdłości po wykonywaniu innych zadań: ćwiczebnych nalotów na mieszkania czy zatrzymywania i przesłuchiwania losowo wybranych klientów bazaru. Dlaczego zmuszano kadetów do zakładania, że każdy kolonista jest potencjalnym przestępcą?

– Baaa-czność! – ryknął pułkownik przed frontem oddziału.

Wells automatycznie wyprostował ramiona, podniósł głowę i wyrównał do szeregu stojącego wzdłuż korytarza.

– Spocznij, pułkowniku – rozległ się głos kanclerza. – Nie przybyłem na inspekcję... – Wells utkwiał wzrok w ścianie przed sobą, ale doskonale czuł ciężar spojrzenia ojca – ...co niektórzy tu obecni powinni uznać za szczęśliwy traf.

Wells doskonale wiedział, kogo i co ma na myśli jego ojciec.

– Sir – pułkownik obniżył głos. – Kto jest dzisiaj odpowiedzialny za pańską ochronę?

– Jestem tu nieoficjalnie, więc przyszedłem sam.

Wells zaryzykował spojrzenie i przekonał się, że obok ojca faktycznie nie ma żadnych ochroniarzy. Najwyżsi urzędnicy władz Kolonii nader rzadko pojawiali się na „Waldenie” bez obstawy. Inni członkowie rady

przechodzili przez rękaw wyłącznie w asyście co najmniej dwóch strażników.

– Czy mogę w takim razie przydzielić panu kilku kadetów? – zapytał cicho pułkownik. – Dzisiaj rano na „Arkadii” miał miejsce kolejny incydent, więc sądzę, że...

– Dziękuję, nie. Wszystko w porządku – odparł ojciec Wellsa tonem niepozostawiającym wątpliwości, że zakończył dyskusję na ten temat.

– Do widzenia, pułkowniku.

– Do widzenia, sir!

Kiedy kroki kanclerza ucichły za rogiem, pułkownik pozwolił złamać szereg i wydał rozkaz powrotu na „Feniksa”, biegiem. Kadeci ruszyli żwawym truchtem. Wells został z tyłu, udając, że musi zawiązać sznurowadło. Kiedy był pewien, że nikt nie patrzy, odłączył się od oddziału i podążył za ojcem.

Kanclerz coś ukrywał, a Wells miał zamiar dowiedzieć się, co to jest.

Dzisiaj. Już.

Przed sobą dostrzegł ojca skręcającego za róg. Zwolnił do spacerowego tempa. Wyrzwał zza ściany – i zobaczył coś, czego się nie spodziewał.

Kanclerz Jaha stał przed ścianą pamięci, odcinkiem korytarza w najstarszej części „Waldena”. Miejsce to w ciągu stuleci stało się pomnikiem poświęconym wszystkim zmarłym kolonistom. Najstarsze nazwiska wypisano dużymi literami, najbliżsi zmarłych wyryli je nożami. Przez następne lata miejsca na ścianie ubywało, więc na starszych napisach ryto coraz nowsze, aż w końcu było ich tyle, że trudno było je odczytać.

Wells nie miał pojęcia, co jego ojciec miałby tam robić. O ile pamiętał, dotychczas kanclerz odwiedzał to miejsce wyłącznie podczas oficjalnych ceremonii, składając hołd zmarłym członkom rady. Nigdy wcześniej nie przychodził tu sam.

Wówczas ojciec uniósł rękę i obrysował palcem jedno z nazwisk. Opuścił nagle ramiona, całą postawą wyrażając smutek, jakiego nikt nigdy u niego nie widział.

Wells poczuł, że zaczynają go palić policzki. Najwyraźniej znalazł się w niewłaściwym miejscu i nieodpowiedniej chwili. Zaczął się odwracać, usiłując zrobić to możliwie dyskretnie, kiedy ojciec odezwał się:

– Wiem, że tam jesteś, Wells.

Zaparlo mu dech w piersiach.

– Przepraszam. Nie powinienem cię śledzić – wyjąkał po chwili z

wyraźnym trudem.

Kanclerz odwrócił się i spojrzał na niego. Nie był jednak wściekły ani rozczarowany. – No trudno – westchnął. – Chyba nadszedł czas, żeby zdradzić ci prawdę.

Wells poczuł na plecach nagły dreszcz. – Prawdę o czym?
– Niełatwo mi o tym mówić – zaczął ojciec z lekkim drżeniem w głosie. Odchrząknął. – Dawno temu, zanim się urodziłeś, nawet zanim spotkałem twoją matkę, zakochałem się... w pewnej kobiecie z „Waldena”.

Wells gapił się na niego, zszokowany. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy ojciec kiedykolwiek użył słowa „kochać”. Na ogół zachowywał się w sposób całkowicie pozbawiony emocji i poświęcał wyłącznie pracy.

To wszystko nie miało sensu. Mimo to cierpienie w oczach ojca przekonało Wellsa, że mówi poważnie.

Kanclerz łamiącym się głosem opowiedział, jak spotkał tę dziewczynę jeszcze jako młody strażnik podczas patrolu. Zaczęli się spotykać i zakochali się w sobie, ale on utrzymywał ten związek w tajemnicy przed rodziną i przyjaciółmi, którzy uznaliby go za straszny mezalians.

– W końcu zdałem sobie sprawę, że to głupie – wyjaśnił ojciec. – Gdybyśmy wzięli ślub, sprawilibyśmy naszym rodzinom tylko mnóstwo cierpienia. W dodatku zaczęto przebąkiwać o awansowaniu mnie na członka rady. Byłem odpowiedzialny za mnóstwo ludzi, więc zdecydowałem się zakończyć ten związek. – Znów westchnął, głęboko, boleśnie. – Ona nie czułaby się dobrze w roli żony kanclerza. Postąpiłem właściwie.

Wells nie odzywał się ani słowem, czekając na dalszy ciąg.

– Kilka miesięcy później spotkałem twoją matkę i zrozumiałem, że takiej właśnie partnerki potrzebuję. Kogoś, kto pomoże mi zostać przywódcą, jakiego trzeba Kolonii.

– Widujesz się z nią jeszcze? – zapytał Wells, sam zaskoczony twardą, oskarżycielską nutą w swoim głosie. – Z tą... tą waldenitką?
– Nie. – Ojciec zdecydowanie pokręcił głową. – Absolutnie nie. Twoja matka jest dla mnie wszystkim. – Ponownie odchrząknął. – Ty i twoja matka jesteście dla mnie wszystkim – poprawił się.

– Co się z nią stało? Z tą kobietą z „Waldena”? Czy znalazła sobie kogoś innego?

– Zmarła – powiedział po prostu kanclerz. – Czasami przychodzę tutaj powspominać ją, i tyle. Teraz już wiesz wszystko.

– Dlaczego to taka tajemnica? Dlaczego zachowywałeś się tak,

jakbyś nie chciał, żeby ktoś cię zauważył?

Twarz ojca stężała.

– Bycie przywódcą jest trudniejsze, niż myślisz. Być może zrozumiesz, kiedy dorośniesz. – Obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem. – A teraz skończmy już tę rozmowę.

Wells patrzył w milczeniu na odchodzącego ojca, wiedząc doskonale, że kiedy wieczorem siądą do kolacji, obaj będą zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

Odwrócił się z powrotem do ściany, żeby odczytać imię, które ojciec wspominał z taką czułością. Melinda. Spróbował odcyfrować nazwisko, ale było zatarte przez inne wydrapane imiona. Odczytał tylko jego pierwszą literę – „B”.

Melinda B. Nieżyjąca kobieta, którą kochał kiedyś jego ojciec, którego wspomnienie przyciągało go wciąż do ściany pamięci. Kobieta, która – gdyby sprawy potoczyły się inaczej – mogłaby być matką Wellsa.

Zapiął mundur pod szyją na ostatni guzik i skierował kroki z powrotem na „Feniksa”, zostawiając za sobą widma przeszłości swego ojca.

– Kanclerzyk zachował się kompletnie po wariacku – oświadczył Graham. – Cholera, kto wie, z czym jeszcze wyskoczy?

– No, nie wiem – oceniła Lila. – Możemy po prostu...

– W porządku – przerwał im Wells. – Ułatwię wam decyzję.

Odchodzę.

– Co? – spytała zaskoczona Kendall. – Nie, Wells, tego nie chcemy.

– Mów za siebie – warknął Graham. – Ja akurat dokładnie tego chcę. Twierdzą, że lepiej poradzimy sobie bez niego.

Wells zastanawiał się, czy Graham ma rację. Czy popełnił taką samą pomyłkę, jak wiele lat temu jego ojciec, błędnie oceniając sytuację z powodu dziewczyny? Co powiedziałby kanclerz, gdyby tu był?

– Mam nadzieję, że sobie poradzicie – powiedział Wells, zaskoczony szczerością i brakiem wrogości we własnym głosie.

A potem, nie patrząc na nikogo, odwrócił się i po raz ostatni poszedł się pakować.

ROZDZIAŁ 25

Bellamy

Schody prowadziły w dół, do olbrzymich metalowych wrót osadzonych w skale. Choć wyposażono je w olbrzymi, skomplikowany, okrągły zamek – wrota stały otworem.

- To jakby mija się z celem, nie? – Bellamy wskazał na szparę pomiędzy skrzydłem drzwi i skałą.
- Niekoniecznie – odparła Clarke, prześlizgując się koło niego, żeby lepiej widzieć. – Do niedawna byli jedynymi ludźmi na całej planecie, więc przed kim mieliby się zamykać?
- Widzisz tam coś? – zapytał, starając się, by zabrzmiało to od niechcenia. Miał dotąd nadzieję, że dopadnie porywaczy Octavii na otwartym terenie. Owszem, Bellamy rozpaczliwie pragnął odnaleźć siostrę, ale doskonale wiedział, że nie należy w tym celu lekkomyślnie pakować się do nieprzyjacielskiego obozu w środku nocy. Jednak Clarke nie dało się powstrzymać, gdy tylko coś strzeliło jej do głowy, a wołał nie puszczać jej samej.
- Jeszcze nie – odwróciła się, a jej twarz złagodniała na widok jego zmartwionej miny. – Dziękuję – powiedziała cicho. – Dziękuję, że to robisz. Że jesteś tutaj ze mną.

Bellamy kiwnął głową.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Znakomicie, tip top!

Clarke ścisnęła jego dłoń. – Nie jesteś podniecony? W końcu spotkasz ludzi, którzy zrozumieją twój staroświecki, dziwaczny ziemski slang.

- Myślisz, że się nas spodziewają? – zapytał z uśmiechem, ale poważnym tonem.
- Może niezupełnie „spodziewają się”. Sasha mówiła jednak, że chętnie nam pomogą.

Bellamy skinął głową, ukrywając strach. Wiedział, że jeśli tego wieczoru zdarzy im się coś złego, przepadną bez wieści.

– No to naprzód!

Otworzyła drzwi, wzdrygając się, gdy zardzewiałe zawiasy

zaskrzybiały wśród nocnej ciszy. Przynagliła Bellamy'ego gestem i prześlizgnęła się przez przejście.

W środku było ciemno, ale nie do końca. Całe otoczenie zalane było dziwną słabiutką poświatą, której źródła nie potrafił zlokalizować. Clarke wzięła go za rękę i skradali się razem tunelem, który wyglądał, jakby go wyrąbano w skale. Po kilku krokach zaczął gwałtownie opadać, więc zwolnili tempo, obawiając się, że stracą równowagę i stoczą się na dno. Powietrze było tu dużo chłodniejsze niż na zewnątrz, inny był również jego zapach – wilgotny i mineralny, w odróżnieniu od rzeńskiego, leśnego powiewu przed wejściem. Zmusił się do zaczerpnięcia głębokiego oddechu i zwolnił kroku.

Tygodnie spędzone na polowaniu zmieniły sposób, w jaki się poruszał. Jego stopy wydawały się sunąć bezgłośnie nad posadzką.

Clarke szła tak samo, pozornie bez wysiłku.

Nagle potknęła się i omal nie krzyknęła, a on przytulił ją do siebie.

– Dobrze się czujesz?

Serce biło mu tak mocno, że zaczął obawiać się, iż zdradzi Ziemią ich obecność.

– Doskonale – wyszeptała, ale pozostała w jego objęciach. – Chodzi o to, że... podłoga się skończyła.

Rzeczywiście, kamienna posadzka przed nimi ustąpiła miejsca stromym metalowym schodkom.

Powoli schodzili wijącą się w dół spiralą. W półmroku trudno było dostrzec, dokąd zierają, ale wydawało się, że są coraz bliżej dna ogromnej jaskini. Na kamiennych ścianach dostrzegali coraz więcej wilgoci, a temperatura powietrza opadała wraz z głębokością.

Bellamy myślał intensywnie nad tym, co Clarke opowiedziała mu o Mount Weather. Próbował wyobrazić sobie, jak musieli się czuć uciekinierzy podczas kataklizmu. Biegli, by zdążyć do bezpiecznego podziemnego bunkra, pożegnać słońce, niebo i cały świat, jaki dotąd znali, zapadając się w coraz głębszą ciemność. O czym myśleli pierwsi ludzie opuszczający się po tych stopniach? Czy czuli ulgę i płakali ze szczęścia, że udało im się zdążyć, czy też opłakiwali tych, którzy zostali na zewnątrz?

– Czy Ziemia musi chodzić w górę i w dół po tych schodach za każdym razem, kiedy wchodzi do jaskini lub z niej wychodzi? – zapytała szeptem Clarke.

– Może znają inne wyjście? W przeciwnym razie chyba byśmy już kogoś spotkali.

Dotarli w końcu na sam dół i zamilkli. Echo ich samotnych kroków

było bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa.

Schody kończyły się w olbrzymiej pustej komorze wyglądającej bardziej jak naturalna pieczara niż miejsce, w którym przez stulecia mieszkali ludzie. Bellamy zamarł i złapał ramię Clarke, kiedy w ciemności odbił się echem jakiś dźwięk.

– Co to było? – wyszeptał, rozglądając się na boki i nasłuchując. – Czy ktoś tutaj idzie?

Clarke delikatnie wyswobodziła się z jego uchwytu i zrobiła krok naprzód.

– Nie... – W jej głosie było więcej zdumienia niż strachu. – To woda. Popatrz na stalaktyty – powiedziała, wskazując na pobrużdżone skały ponad nimi. – Wilgoć skrapla się na powierzchni skały, a potem kapie do jakiegoś zbiornika. Podejrzewam, że podczas nuklearnej zimy przechowywali tam wodę do picia.

– Ruszajmy dalej – rzucił Bellamy, ujmując jej dłoń.

Pociągnął Clarke za sobą przez szczelinę w skale do przejścia o matowych metalicznych ścianach, podobnego do korytarzy na starym „Waldenie”. Po suficie biegły długie świecące pasy, a z pęknięć w ich plastikowych obudowach wystawały luźne kable.

– Bellamy – rzuciła Clarke jednym tchem. – Patrz!

Na ścianie wisiała plastikowa skrzynka, taka jak te w Kolonii, w których znajdowały się panele kontrolne. Zamiast ekranu i przycisków były na niej oznaczenia: na samej górze orzeł w kole trzymający w szponach jednej nogi roślinę, a drugiej – pęk strzał. Pod nim widniał napis „Linia sukcesji”, a niżej – dwie kolumny tekstu. Po lewej następowała długa lista tytułów: prezydent Stanów Zjednoczonych, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, spiker Izby Reprezentantów i tak dalej.

Przy każdym wypisano słowa: „bezpieczny”, „zaginiony”... lub „nie żyje”.

Ktoś nakreślił czarnym atramentem słowa „nie żyje” przy pierwszych sześciu tytułach. Przy sekretarzu zasobów wewnętrznych widniał napis „bezpieczny”, przekreślony i zmieniony na wypisane niebieskim tuszem „nie żyje”.

– Nie powinni już tego zdjąć? Po tych wszystkich latach? – zapytał Bellamy, dotykając palcem plastikowej powierzchni.

Clarke odwróciła się do niego. – A ty byś zdjął? – spytała spokojnie.

Westchnął i potrząsnął głową. – Nie, w sumie to nie.

Poszli w milczeniu korytarzem, aż dotarli do skrzyżowania, gdzie znajdowała się tablica z drogowskazami:

→ SZPITAL

← OCZYSZCZALNIA ŚCIEKÓW

← CENTRUM KOMUNIKACJI

→ SALA POSIEDZEŃ

→ ELEKTROWNIA

→ KREMATORIUM

- Krematorium? – przeczytał głośno Bellamy. Przeszedł go dreszcz.
- Wydaje mi się, że to rozsądne. Na Ziemi nie da się wyrzucić ciała w próżnię, a już na pewno nie pochowasz zmarłego w litej skale.
- Dobra, ale gdzie mieszkają? – zapytał. – Jak to możliwe, że jeszcze nikogo nie spotkaliśmy?
 - Może wszyscy śpią?
 - Ale gdzie? W krematorium? Snem wiecznym?
- Ruszajmy dalej – powiedziała Clarke, ignorując jego czarny humor. Po prawej zaczęło migać czerwone światło.
 - To prawdopodobnie nie oznacza nic dobrego – ostrzegł Bellamy, ściskając mocniej przegub dziewczyny, gotów pociągnąć ją za sobą

do ucieczki.

– W porządku – odparła, odsuwając się jednak dalej od światła. –
Prawdopodobnie włącza się samo co jakiś czas.

W tym jednak momencie usłyszeli echo zbliżających się kroków.
Zamarli.

– Ktoś tu chyba nadchodzi – szepnęła Clarke, przenosząc wzrok z
twarzy Bellamy’ego na daleki koniec długiego korytarza.

Zastłonił ją sobą, zdjął z ramienia łuk i sięgnął po strzałę.

– Przestań! – syknęła Clarke, wychodząc zza niego. – Musimy dać im
jasno do zrozumienia, że przybywamy w pokoju!

Kroki były coraz głośniejsze.

– Nie będę ryzykował – szepnął Bellamy, ponownie wysuwając się
przed dziewczynę.

Na końcu korytarza pojawiły się cztery postacie, dwóch mężczyzn i
dwie kobiety. Ich szaro-czarne stroje przypominały ubranie Sashy, z
tym że nie mieli na sobie ani skrawka futra.

W dłoniach dzierżyli karabiny.

Przez nieznośnie długą chwilę gapili się na Clarke i Bellamy’ego,
najwyraźniej skonsternowani ich obecnością.

Potem coś wykrzyknęli i rzucili się ku nim biegiem.

– Clarke, uciekaj – nakazał Bellamy, naciągając łuk i biorąc na cel
nadbiegających. – Ja ich powstrzymam.

– Nie! – jęknęła. – Nie możesz. Nie strzelaj do nich!

– Clarke! Ruszaj stąd! – wrzasnął, próbując odepchnąć ją ramieniem.

– Rzuć łuk – zawołała w panice. – Błagam. Musisz mi zaufać.

Zawahał się na chwilę. To wystarczyło, by Clarke prześlizgnęła się
pod jego ramieniem i stanęła z dłońmi uniesionymi wysoko w
powietrze.

– Mamy wiadomość od Sashy! – zawołała mocnym głosem, chociaż
cała się trzęsa. – To ona nas tu przysłała!

Nie zdążyli nawet przekonać się, czy Ziemianie rozpoznali imię, na
które powoływała się Clarke. Rozległ się dziwny syczący dźwięk i

Bellamy poczuł, że coś wbija się w jego ramię.

A potem cały świat ogarnęła głęboka ciemność.

ROZDZIAŁ 26

Glass

Na pokładzie startowym stłoczyły się setki ludzi, a kolejne napierały po rampie wejściowej. Ponad tysiąc osób wepchnęło się na najniższy poziom statku, wypełniając powietrze mdlącą mieszaniną potu, krwi i strachu.

Glass i Sonja dostały się na pokład, ale niewiele brakowało, a nie udałoby im się to. Stały teraz z tyłu, ściśnięte na rampie. Sonja nie mogła obciążać skręconej kostki, toteż córka podtrzymywała ją, obejmując ramieniem. W sumie nie było to konieczne – tłum był tak gęsty, że matka Glass nie upadłaby, nawet gdyby straciła równowagę.

Co kilka chwil tłum przesunął się to w jedną, to w drugą stronę. Koloniści z „Feniksa”, „Arkadii” i „Waldena” zmieszali się w jedną wielką ludzką masę.

Kiedy Glass stanęła na palcach, widziała ludzi usiłujących precyzyjnie przycisnąć się do jednego z sześciu pozostałych lądowików. Statki były zatłoczone do granic możliwości, a może jeszcze bardziej. Z luków wejściowych na pokład spadali ci, którzy się nie zmieścili.

Zamrugła oczami, żeby usunąć lzy przesłaniające jej widok. Sześć.

A przecież powinno być siedem. Oczywiście nie licząc tego, który ponoć przetransportował Wellsa i innych młodocianych przestępców na Ziemię. Co się stało z siódmym?

Glass wiedziała, że nie wydobędzie się z Kolonii, jeśli nie uda się im z Sonją przepchnąć do przodu. Nawet gdyby lądowików było jeszcze dwa razy więcej. Czuła się jednak słabo. Za każdym razem, gdy próbowała się ruszyć, przeszywał ją ból na myśl o wyrazie obrzydzenia na twarzy Luke'a. Na sercu, które starała się poskładać w całość, znów pojawiły się głębokie pęknięcia.

Zerknęła na matkę i przegnała z głowy wszelkie myśli na temat chłopaka. Nie miała wyboru. Serce Sonji pękło już dawno, z tą różnicą, że kobieta nie kwapiła się, żeby pozbierać rozsypane

kawałki. Glass zrobiła to za nią – bez niej matka nie walczyłaby o miejsce w lądowniku, a dziewczyna nie miała zamiaru poddać się bez walki.

Ścisnęła matkę mocniej.

– Chodź, nie możemy stanąć. Idziemy, krok po kroku.

Nie dało się iść, ale jakimś cudem Glass i Sonja zdołały posuwać się naprzód, przepychając się między plecami i łokciami innych.

Nagle Glass nadepnęła na coś miękkiego. Wstrzymała oddech, nie odważyła się jednak opuścić oczu. Utkwiła wzrok w najdalszym punkcie pokładu startowego i trzymała mocno rękę matki, kiedy torowały sobie drogę w ścianie ludzkich ciał.

Prześlizgnęły się obok kobiety w sukni mokrej od krwi. Ze sposobu, w jaki trzymała się za ramię, Glass wywnioskowała, że trafił ją jeden z pocisków wystrzelonych przez strażników. Kołysała się w przód i w tył z pobladłą twarzą, lecz tłum wokół nie pozwalał jej upaść.

Idź naprzód!

Glass zdusiła w gardle krzyk, gdy zakrwawiony rękaw sukni otarł się o jej nagie ramię.

Idź naprzód!

Mężczyzna z małą dziewczynką na ręku trzymał wielki toboł ubrań, który utrudniał mu poruszanie się. Glass miała ochotę krzyknąć mu: „Zostaw ten pakunek!”, ale nie powiedziała nic. Jej zadanie polegało na zapewnieniu matce miejsca na lądowniku. Nie mogła sobie pozwolić na komfort myślenia o niczym więcej.

Idź naprzód!

Mały chłopczyk, na oko przedszkolak, siedział na pokładzie, wystraszony. Był w stanie tylko łkać i wymachiwać grubymi rączkami. Czy wysunął się z objęć rodziców? A może został porzucony w chwili paniki?

Poczuła w piersi ukłucie bólu – pusta przestrzeń pod jej sercem nigdy się nie wypełniła. Ścisnęła mocniej Sonję i sięgnęła drugim ramieniem po dzieciaka. Niestety, w chwili gdy jej wyciągnięte palce już-już muskały jego wyciągniętą dłoń, tłum znów się poruszył i pociągnął Glass w innym kierunku.

Jęknęła, walcząc, by ustać na nogach. Odwróciła się, by spojrzeć na chłopca, lecz zniknął już za kolejną ludzką falą.

Idź naprzód!

Gdy dotarły do połowy pokładu startowego, najbliższy lądownik był już przepelniony. Ludzie zajmowali każdy centymetr sześcienny dostępnej przestrzeni, upakowani ciasno wokół siedzeń. Glass

wiedziała, że to śmiertelnie niebezpieczne. Podczas lądowania każdy, kto nie ma zapiętych pasów, polecą siłą bezwładu, z ogromną siłą uderzy w ścianę i zginie... przy okazji zabijając również niektórych pasażerów na fotelach. Nikt jednak nie kwapił się, żeby powstrzymać napływający tłum lub wypchnąć dodatkowych pasażerów. Nikt tu nie dowodził.

Do chóru jęków i krzyków dołączył nowy dźwięk. Z początku Glass wydawało się, że rozbrzmiewa on tylko w jej wyobraźni, ale kiedy obejrzała się przez ramię, dostrzegła na szczycie rampy widzianego wcześniej muzyka. Trzymał pudło skrzypiec pod brodą i wodził smyczkiem po strunach. Pomiedzy nim a najbliższym lądownikiem znajdowało się ponad tysiąc osób. Najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się wydostać z Kolonii, lecz zamiast poddać się panice, postanowił zakończyć życie, robiąc to, co kochał. Zamknął oczy, obojętny na stropione spojrzenia i gniewne gwizdy. Im dłużej grał, tym więcej twarzy łagodniało. Gorzko-słodkie dźwięki koły cierpienie i w końcu atmosfera niemal namacalnie zelżała. Miażdżący strach na chwilę ustąpił miejsca poczuciu wspólnoty.

Glass rozejrzała się, rozpaczliwie szukając wzrokiem Luke'a. Mieszkając na „Waldenie”, nigdy nie uczestniczył w koncercie z okazji ceremonii pamięci, a chciała, żeby usłyszał tę muzykę. Poza tym, jeśli miał dzisiaj umrzeć, chciała, żeby w ostatnich momentach doświadczył czegoś jeszcze poza przerażeniem i bólem.

Nagle na całym pokładzie głośno zawył alarm. W tym samym momencie czar muzyki prysnął, a luk najdalszego lądownika zaczął się zamykać. Kilku ludzi, którzy jeszcze próbowali wepchnąć się do środka, rozpaczliwie zdwoiło wysiłki, by zdążyć przed startem.

– Czekaście! – wrzasnęła jakaś kobieta, wyrывая się z tłumem i rzucając do luku. – Tam jest mój syn!

– Zatrzymać ją! – ryknął ktoś inny.

Kilka osób rzuciło się, by złapać biegnącą, jednak było już za późno. Ześlizgnęła się do śluzy, ale nie dotarła do środka pojazdu. Gdy zdała sobie sprawę, że została w przestrzeni kosmicznej, obróciła się i w panice uderzyła pięścią w hermetycznie zamknięte drzwi śluzy. Rozległ się jeszcze jeden dźwięk alarmu, głośniejszy niż poprzednio, a potem nastąpiła cisza.

W tle, za kobietą, lądownik oderwał się od Kolonii i zaczął lot ku szarobłękitnej ziemskiej kuli. Wówczas przez tłum przebiegła fala przerażonych jęków.

Przez okno widać było, jak kobieta płynie w przestrzeni, z twarzą

wykrzywną krzykiem, którego nikt nie słyszy. Dziko młóci ramionami i nogami, tak jakby myślała, że uda jej się złapać statek i wejść do wnętrza. W ciągu kilku sekund przestała się jednak poruszać, a jej twarz przybrała barwę ciemnofioletową. Glass odwróciła się, ale nie dość szybko. Kątem oka dojrzała widok przyprawiający o mdłości: olbrzymią, spuchniętą fioletową stopę... a potem kobieta powoli odsunęła się od okna i poleciała w przestrzeń.

Rozległ się kolejny alarm i następny lądownik rozpoczął sekwencję startową. Teraz pozostały już tylko cztery. Tłum zareagował gorączkowym poruszeniem, a na pokładzie rozległy się krzyki rozpaczliwych ludzi, którzy zrozumieli, że są skazani na śmierć. Glass zacisnęła zęby i pociągnęła matkę naprzód, ale w tym samym momencie fala ludzi odepchnęła je z powrotem ku rampie. Trzeci lądownik zaczął przygotowywać się do startu. Obok nich przepchnęła się dziewczyna o rudych włosach, a Glass dopiero po chwili zorientowała się, że to Camille. Czy to oznaczało, że gdzieś w pobliżu był również Luke? Chciała go zawołać, ale krzyk zamarł jej w krtani.

– Glass – dobiegł ją głos matki gdzieś z tyłu. Wydawało jej się, że minęła wieczność, od kiedy Sonja odezwała się po raz ostatni. – Nie uda nam się. Na pewno nie, jeśli będziemy razem. Musisz...
– Nie – wykrzyknęła Glass, kierując się ku dostrzeżonej właśnie luce w tłumie. W tym samym momencie ujrzała, jak Camille wypycha z lądownika chudego chłopaka i zajmuje jego miejsce. Krzyk zrozpaczonej matki odbił się echem na pokładzie, stłumiony dopiero przez trzask zamykanego luku.

– Z drogi! – ryknął jakiś szorstki głos.

Po rampie biegł szereg strażników. Ich buty łomotały w idealnie zgranym rytmie, gdy eskortowali ku lądownikom garstkę cywilów. Jednym z nich był wicekanclerz Rhodes.

Masa ludzka, nie zważając na mężczyzn w mundurach, parła w kierunku pozostałych lądowników. Strażnicy jednak posuwali się naprzód, oczyszczając przejście kolbami karabinów.

– Ruszać się! – wrzeszczeli.

Przepchnęli się obok Glass i Sonji. Kiedy wicekanclerz ich mijał, dostrzegł Sonję. Przez twarz przemknął mu cień, którego dziewczyna nie rozumiała. Zatrzymał się, wyszeptał coś do strażnika, a potem skinął dłonią na matkę Glass.

Tłum rozstał się przed uniesionymi kolbami karabinów. Trzech strażników przedarło się ku nim i zanim Glass zdołała zareagować,

poprowadzili je ku ostatniemu lądownikowi.

Okrzyki wściekłości tłumu zabrzmiały z bardzo daleka. Glass nie słyszała niczego poza gwałtownym biciem serca i uściskiem dłoni matki. Czy rzeczywiście im się udało? Czy wicekanclerz właśnie ocalił im życie?

Strażnicy wepchnęli Glass i Sonję do ostatniego lądownika zaraz za wicekanclerzem. Spośród setki foteli zajęte były wszystkie z wyjątkiem trzech na samym przedzie i te właśnie wskazał im Rhodes.

Glass, poruszając się jak we śnie, usadziła Sonję obok wicekanclerza, a potem sama zajęła ostatnie wolne miejsce.

Jej ulgę zakłócała tylko bolesna myśl, że Luke prawdopodobnie nie dotrze na Ziemię wraz z nią. Oczywiście mógł dostać się na któryś z poprzednich lądowników, ale nie sądziła, żeby mu się to udało. Luke nie wyrzuciłby nikogo z fotela, żeby zająć jego miejsce, podobnie jak nie pozwoliłby umrzeć przyjacielowi za własną zbrodnię.

Zaczęło się ostateczne odliczanie. Sonja złapała córkę za rękę. Wokół nich ludzie płakali, mamrotali modlitwy i szeptali pożegnania oraz przeprosiny pod adresem tych, których pozostawiali na statku. Rhodes pomagał Sonji zapiąć pasy, a Glass zaczęła manipulować przy swojej uprząży.

Zanim jednak jej drżące dłonie poradziły sobie z klamrą, w luku pojawił się strażnik. Rzucił naokoło dzikie spojrzenia, trzymając wysoko lufę broni.

– Co ty, do cholery, robisz? – krzyknął Rhodes. – Zmiataj stąd!
Zabijesz nas wszystkich!

Strażnik strzelił w powietrze i wszyscy umilkli.

– Słuchajcie! – wrzasnął, rozglądając się. – Jedno z was opuści ten lądownik albo wszyscy umrą.

Jego przerażone oczy spoczęły na Glass, która wciąż jeszcze nie zdołała dopiąć klamry. Podszedł do niej i wycelował karabin w głowę.

– Ty! – wypluł z siebie. – Wsiadka. Precz!

Ręka tak mu się trzęsła, że lufa niemal otarła się o policzek dziewczyny.

Z głośników rozbrzmiał bezcielesny głos: – Minuta do startu.

Rhodes majstrował przy swoich pasach.

– Żołnierzu! – warknął rozkazującym głosem, przywołując cały autorytet. – Baczność! Do raportu!

Strażnik całkowicie go zignorował i złapał Glass za ramię.

– Wstawaj albo cię zastrzelę. Przysięgam, że to zrobię!

– Pięćdziesiąt osiem... pięćdziesiąt siedem...

Glass zamarła. – Proszę, nie... – potrząsnęła głową bezradnie.
– Pięćdziesiąt trzy... pięćdziesiąt dwa...
Mężczyzna przycisnął wylot lufy do jej czoła.
– Wstań, albo zastrzelę wszystkich!

Ze zdenerwowania zaparło jej dech, przestała widzieć cokolwiek, ale
jakoś wstała.
– Cześć, mamó – szepnęła.
– Czterdzieści dziewięć... czterdzieści osiem...
– Nie! – wrzasnęła dziko jej matka. Nagle znalazła się u boku Glass.
– Siadaj na moim miejscu!
– Nie – załkała dziewczyna, próbując usadzić matkę z powrotem na
fotelu.
– Mamó, przestań!

Strażnik niezdecydowanie wodził karabinem od jednej do drugiej.
– Niech jedna z was lepiej stąd spada albo zastrzelę obie!
– Już idę, proszę nie strzelać – błagała Glass, odpychając matkę i
kierując się ku drzwiom.
– Stop! – znajoma postać z prędkością karabinowej kuli wskoczyła do
środka w ostatniej chwili.
Luke.
– Trzydzieści pięć... trzydzieści cztery...
– Rzuć broń! – ryknął Luke. – Zostaw ich!
– Cofnij się – syknął strażnik, próbując go odepchnąć. Jednak
chłopak błyskawicznie skoczył mu na plecy, założył nelsona i powalił
na podłogę.
Broń wypaliła. Łądownikiem wstrząsnął ogłuszający, przeszywający
do szpiku kości hałas.
Wszyscy zaczęli krzyczeć ze strachu. Wszyscy... poza jedną osobą.
– Trzydzieści... dwadzieścia dziewięć...
Sonja osunęła się na podłogę. Na przedzie jej sukni rozkwitła
ciemnoczerwona plama.

ROZDZIAŁ 27

Clarke

W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. W ciągu kilku poprzednich tygodni Clarke budziła się w tylu różnych miejscach – w celi Odosobnienia, przepelnionym szpitalnym namiocie, w którym później zginęła Thalia, a wreszcie skulona u boku Bellamy'ego pod rozgwieżdżonym niebem... Teraz mrugnęła i zaczęła się wsłuchiwać w dźwięki docierające z otoczenia. Czy zobaczy niewyraźne sylwetki drzew? A może usłyszy miarowy oddech chłopaka?

Niczego nie usłyszała ani nie zobaczyła. Wokół niej panowały ciemność i cisza.

Usiłowała usiąść, lecz natychmiast skrzywiła się z bólu. Gdzie też się znajdowała?

Wówczas sobie przypomniała. Razem z Bellamym zakradli się w głąb Mount Weather. Dopadli ich strażnicy, a potem...

– Bellamy – zawołała ochryple i rozejrzała się na boki, nie zważając na ból przeszywający jej głowę przy najmniejszej próbie poruszenia. Gdy oczy przywykły do ciemności, zobaczyła, gdzie jest. Małe, puste pomieszczenie. Cella. W centrum dowodzenia Bellamy wycelował do strażników z łuku. Czy uznali go za zagrożenie, które trzeba wyeliminować? Przypomniała sobie uniesioną broń i żołądek skręcił jej się w bolesny węzeł.

Gdzieś niedaleko zabrzmiał głośny jęk. Z trudem się podniosła i na czworakach powłokła w tamtym kierunku. Na kamiennej podłodze leżała bezwładnie wysoka, chuda postać.

– Bellamy – powiedziała głosem załamującym się z ulgi. Usiadła, uniosła jego głowę i położyła sobie na kolanach.

Znów jęknął i otworzył oczy.

– Jak się czujesz? – zapytała, odgarniając mu włosy z głowy. –

Pamiętasz, co się stało?

Patrzył na nią, najwyraźniej nie rozumiejąc, co mówi. Raptem skoczył na równe nogi tak błyskawicznie, że niemal ją przy tym przewrócił.

– Gdzie są tamci? – krzyknął, rozglądając się wokół dziko.

– Kto taki? – zdziwiła się, niepewna, czy Bellamy nie przeżywa na

jawie dalszego ciągu sennego koszmaru.

– Ci cholerni Ziemianie, którzy nas uśpili! – Poklepał się po karku. – Strzelili do nas pociskami usypiającymi albo czymś podobnym!

Uniosła dłoń ku szyi. Nareszcie zrozumiała, co się stało, i konsternacja ustąpiła miejsca przerażeniu. Pokojowi ponoć i cywilizowani Ziemianie – współplemieńcy Sashy – pozbawili Clarke oraz Bellamy’ego przytomności i uwięzili w ciemnej celi.

– Jak się czujesz? – powtórzyła i zobaczyła w półmroku, jak na jego twarzy furia ustępuje miejsca trosce. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy.

– Nie martw się – mruknął. – Wyjdziemy stąd.

Clarke nic nie odpowiedziała. To była jej wina. Najpierw uparła się, żeby tu przyjść – wręcz błagała Bellamy’ego, by jej towarzyszył. Nie wierzyła, że mogła być aż taką idiotką.

Sasha najwyraźniej skłamała na temat Ashera. Zapewne zełgała również o Octavii, a najgorsze, że chyba wiedziała, jaki los czeka Priyę. Z wojowniczym odłamem Ziemian to jakaś bujda. Musiała wymyślić tę bajkę, żeby zesańcy z Kolonii jej zaufali, a potem dali się zwabić w pułapkę tak jak Clarke i cała reszta. To dlatego opowiadała o poprzednim lądowaniu kolonistów tak ogólnikowo, dlatego była tak tajemnicza w kwestii „incydentu”, który skłonił Ziemian do wygnania przybyszów. Clarke powinna była się domyślić, że coś tu nie gra. Zamknęła oczy i pomyślała o znalezionych grobach. Czy Bellamy i ona sama też skończą w jednej z takich mogił, czy też ich ciała pozostaną w tym opuszczonym bunkrze?

Przez chwilę słyszała tylko oddech Bellamy’ego i gorączkowe bicie własnego serca. Potem jednak dotarł do niej inny dźwięk – równe, miarowe dźwięki kroków.

– Nadchodzą – wyszeptała.

Metalicznie brzęknęło, a potem celę zalało oślepiające światło. Clarke zasłoniła dłonią oczy i zobaczyła w drzwiach ciemną sylwetkę.

Postać weszła do środka, a po chwili Clarke mogła już rozpoznać jej twarz. To była Sasha.

Strach odpłynął gdzieś daleko, pozostawiając obrzydzenie i wściekłość.

– Skłamałaś! – krzyknęła Clarke, rzucając się ku ziemskiej dziewczynie. – Uwierzyłam ci! Czego od nas chcesz, do diabła!

– Co? Clarke, nie jest tak, jak myślisz.

Dziewczyna cofnęła się nieco. Była tak bezczelna, że na jej twarzy pojawił się wyraz urazy.

- Wells mnie wypuścić – wyjaśniła. – Przyszłam tu od razu. Chciałam być na miejscu, kiedy się pojawicie.
- No pewnie, po to, żeby przygotować wszystko na nasze przyjęcie, a potem uśpić nas i zamknąć! – wypluł z siebie Bellamy. Sasha bezradnie wzruszyła ramionami.
- Bardzo mi przykro, ale nie powinieneś celować do strażników z łuku.

Podeszła bliżej, położyła dłoń na ramieniu Clarke i skrzywiła się, kiedy tamta się odsunęła.

- Zrobili to, co do nich należało. Jak tylko usłyszałam, co zaszło, przybiegłam tu do was. Wszystko w porządku.
- Jeżeli tak wygląda twoje „w porządku”, to nie chciałbym zobaczyć, jak wygląda „beznadziejnie” – odezwał się Bellamy głosem zimniejszym od wilgotnego wieczornego powiewu. Sasha westchnęła i otworzyła drzwi celi jeszcze szerzej.
- Chodźcie ze mną, zabiorę was do ojca. Pogadacie z nim i wszystko zrozumiecie.

Clarke spojrzała na Bellamy’ego. Wiedziała, że nie powinni wierzyć jej na słowo, ale jeśli chcieli uciec, powinni zacząć od opuszczenia więzienia.

- Świetnie – rzekła, biorąc chłopaka za rękę. – Pójdziemy, a potem pokażesz nam, jak wrócić do obozu.

– Ależ oczywiście – skinęła głową Sasha. – Obiecuję.

Wyszli za nią z celi na słabo oświetlony korytarz. Większość drzwi była pozamykana, lecz gdy Clarke zobaczyła otwarte, nie mogła się oprzeć pokusie, by nie zerknąć do środka.

Za nimi znajdował się chyba szpital. Wyposażenie przypominało jej to, którym dysponowali na „Feniksie”: rozpoznała pulsometr, respiratory i aparat rentgenowski. Na wąskich łóżkach rozłożono postrzępione koce, a w jednym przypadku – zwierzęce futro.

Najbardziej uderzyło ją jednak to, że w pomieszczeniu nikogo nie było – ani lekarzy, ani pielęgniarek, ani pacjentów. Sasha prowadziła ich przez kolejne korytarze, a Clarke z coraz większym zdumieniem stwierdzała, że nigdzie nie ma żywej duszy. W końcu ciekawość wygrała z nieufnością.

- Mówiłaś, że są was tu setki. Gdzie ci wszyscy ludzie? – zapytała. Bellamy najwyraźniej uważał, że zna odpowiedź:
- Prawdopodobnie gdzieś na zewnątrz, zajęci porywaniem kolejnych osób z naszego obozu.

Sasha stanęła i zwróciła się do Clarke:

– Od pięćdziesięciu lat nikt tu nie mieszka. Teraz używamy bunkra głównie jako elektrowni i przechowalni sprzętu medycznego, a także wszystkich rzeczy, których nie da się wynieść na powierzchnię.

– Gdzie w takim razie mieszkać? – zdumiała się Clarke.

– Zaraz wam pokażę. Chodźcie.

Poprowadziła ich za róg, potem przez kolejne pomieszczenie pełne pustych metalowych klatek (Clarke miała nadzieję, że trzymano w nich tylko zwierzęta), aż zatrzymali się przed drabiną prowadzącą w górę, przez otwór w suficie.

– Goście przodem – odezwała się Sasha, wskazując na szczeble.

– Akurat, jak cholera. Kto wie, co nas czeka tam na górze! – odparł Bellamy, biorąc Clarke za rękę.

Sasha uważnie im się przyjrzała, potem zacisnęła usta i wskoczyła na drabinkę. Pomknęła nią wzwyż tak szybko, że po chwili zniknęła w otworze. Z góry dobiegł tylko jej głos zapraszający, by podążyli w jej ślady.

– Ty pierwsza – powiedział Bellamy. – Będę zaraz za tobą.

Wspinali się o wiele wolniej niż ich zgrabna przewodniczka. Może zresztą była to kwestia strachu? Clarke trzęsła się tak bardzo, że niewiele brakowało, żeby w pewnym momencie zsunęła się ze szczebli.

Drabina prowadziła przez coś w rodzaju niemal pionowego tunelu wentylacyjnego. Był tak wąski, że Clarke ocierała się plecami o kamienne ściany. Zamknęła oczy i wspinała się coraz wyżej, wyobrażając sobie, że jest w Kolonii albo w wielkiej pustej jaskini – nie pod tysiącami ton skały, które zdawały się ją miażdżyć, dławić dech w piersi. Dłonie jej się spociły, więc spróbowała wytrzeć je o koszulę. Bała się, że w którymś momencie poślizgnie się i spadnie, strącając przy okazji Bellamy'ego. Zmusiła się, by oddychać miarowo. Kiedy wspinaczka wydawała się już trwać całą wieczność, dostrzegła nad sobą błysk dziennego światła.

Złapała z wysiłkiem za najwyższy szczebel, a wówczas Sasha podała jej pomocną dłoń. Clarke była tak zmęczona, że bez zastanowienia złapała za nią i pozwoliła wyciągnąć się na trawę.

Przez dłuższą chwilę dyszała bezsilnie. Gdy stanęła na drżących nogach, Sasha właśnie pomagała wydostać się na górę Bellamy'emu.

– Codziennie się tędy wspinać? – wysapał, opierając dłonie na kolanach i oddychając głęboko chłodnym porannym powietrzem.

– Och, nie, jest inne wejście i wyjście, dużo łatwiejsze. Myślałam

jednak, że spodoba wam się widok – wyjaśniła Sasha z niewinnym uśmiechem.

Stali na szczycie wzgórza górującego nad doliną pełną małych drewnianych domków posyłających w powietrze smugi dymu z wąskich kominów. Wśród nich wyróżniała się jedna większa budowla – być może ratusz czy też sala zgromadzeń – i kilka ogrodzonych pastwisk z pasącym się bydłem.

Clarke nie mogła się napatrzeć na ludzi. Byli wszędzie: nieśli koszyki pełne warzyw lub pchali ręczne wózki wypełnione wielkimi stosami drewna na opał, pozdrawiając się nawzajem. Dzieci śmiały się i bawiły na wydeptanej ziemi pomiędzy domami.

Clarke odwróciła się do Bellamy'ego i dostrzegła w jego oczach ten sam zachwyt na widok doliny. Po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów.

– Chodźcie – przerwała im kontemplację Sasha, ruszając w dół stoku. – Tato na nas czeka.

Tym razem żadne z nich nie zaprotestowało. Bellamy wziął Clarke za rękę i poszli za przewodniczką.

Po drodze dołączały do nich dziesiątki ludzi przyglądających im się z zainteresowaniem. Gdy wyszli na jedną z bitych dróg, wydawało się, że podąża już za nimi cała wioska.

Większość Ziemian wydawała się zaskoczona lub zaciekawiona, lecz kilkoro patrzyło na przybyszów podejrziwie lub gniewnie.

– Nie przejmujcie się nimi – rzuciła beztrąsko Sasha. – Jeszcze zmienią zdanie.

W pewnej odległości przed nimi stał wysoki mężczyzna. Obok niego dwie kobiety prowadziły ożywioną rozmowę – czyżby kłótnię?

Mężczyzna słuchał ich obu, poważnie kiwając głową i niewiele mówiąc. Włosy miał krótko ścięte, a jego siwa broda podkreślała szczupłą twarz o ostrych kościach policzkowych. Mimo że robił wrażenie wychudzonego, promieniował siłą. Jego oczy spoczęły na przybyszach, a wówczas przeprosił kobiety i podszedł zdecydowanym krokiem do Bellamy'ego, Clarke i Sashy.

– Tato – Sasha wysunęła się przed pozostałych. – Oto koloniści, o których ci mówiłam.

Clarke wystąpiła naprzód i bez namysłu przedstawiła się, wyciągając dłoń na powitanie. Wciąż jeszcze nie była pewna, czy może ufać tym ludziom, ale coś w wyglądzie tego mężczyzny skłaniało ją do grzecznego zachowania.

– A to jest Bellamy – powiedziała.

- Max Walgrove – odwzajemnił się brodac, potrząsając mocno jej dłońią, a potem zrobił to samo z Bellamym.
- Szukam siostry – rzucił tamten bez żadnych wstępów. – Wie pan, gdzie ona jest?

Max zmarszczył brwi i skinął głową.

- Nieco ponad rok temu kilku członków naszej społeczności odłączyło się od nas, wierząc, że lepiej będzie im się żyło wedle własnych reguł. To oni porwali twoją siostrę i niestety zabili tamtych dwoje dzieciaków.

Clarke wyczuwała, że Bellamy z każdym słowem Maksa coraz bardziej się denerwuje. Zaciskał i rozwierał pięści, a potem przemówił, z widocznym wysiłkiem utrzymując nerwy na wodzy:

- Tak, Sasha przez cały czas wspomina o tym „wojowniczym odłamie”, który się tu kręci, ale nikt na razie nie potrafił mi powiedzieć, jak i gdzie, do cholery, mam odnaleźć siostrę! – Skrzyżował ramiona na piersi i zmierzył przywódcę Ziemiąn spojrzeniem spod zmrużonych powiek. – Skąd mam wiedzieć, że to nie wy ją porwaliście?

Clarke zeszywniała i posłała Bellamy’emu ostrzegawcze spojrzenie. Ojciec Sashy wyglądał jednak raczej na ubawionego niż obrażonego oskarżycielskim tonem chłopaka. Odwrócił głowę i spojrzał przez ramię na pobliskie boisko ogrodzone drewnianymi barierkami. Grupa dzieci bawiła się na nim w berka. Max podniósł rękę, a wówczas wszystkie dzieciaki ruszyły ku niemu biegiem.

Kiedy się zbliżyły, Clarke zdała sobie sprawę, że jest z nimi ktoś starszy: dziewczyna o długich ciemnych włosach, które powiewały, gdy biegła ku nim ze śmiechem przez boisko.

– Octavia!

Bellamy puścił się ku niej sprintem i po chwili trzymał ją już w ramionach. Był zbyt daleko, by Clarke mogła go usłyszeć, ale sądząc po tym, jak poruszały się jego ramiona, śmiał się albo łkał. Najpewniej i to, i to.

Gdy Clarke patrzyła na spotkanie rodzeństwa, jej serce wypełniły mieszane uczucia. Radowała się, że Octavia jest bezpieczna, ale jednocześnie czuła smutek na myśl, że nigdy nie będzie jej dane doświadczyć podobnej rodzinnej więzi.

Zamrugła, by pozbyć się łez, a potem zwróciła się do Maksa i Sashy.

– Dziękuję – powiedziała. – Jak ją znaleźliście?

Max wyjaśnił, że wysłał oddział, który pilnował, żeby buntownicy nie

zrobili czegoś nierozważnego. Kiedy jego dowódca dowiedział się, że porwano jedną z kolonistek, zaatakował tamtych i odbił Octavię.

– Przyprawiono ją do nas poprzedniej nocy – ujawnił Max. – Miałem zamiar osobiście odeskortować ją do waszego obozu, ale znaleźliście nas wcześniej.

Kącik ust drgnął mu lekko, jakby próbował ukryć uśmiech.

– Nie wiem, jak zdołam się wam kiedykolwiek odwdziżyć – wyznał Bellamy, podchodząc do nich z Octavią. – Ocaliliście ją.

– Najlepiej podziękujesz, trzymając kolonistów na wodzy. Dobrze by było, żeby za daleko się nie zapuszczali. Sasha powiedziała, że jesteście dobrymi ludźmi i traktowaliście ją przyzwoicie, ale nie chce ryzykować kolejnej tragedii.

– A co się stało z poprzednimi przybyszami? – zapytała Clarke ostrożnie. Rozpaczliwie pragnęła zapytać o rodziców, ale chciała najpierw wysłuchać całej historii.

– Ponad rok temu jeden z waszych lądowników rozbił się w lesie jakieś dziesięć kilometrów stąd. Od dawna wiedzieliśmy o Kolonii, ale nie mogliśmy się z nią porozumieć, więc gdy odnaleźliśmy nieznaną z kosmosu, byliśmy nieco... wstrząśnięci. Ci, którzy przeżyli, znajdowali się w kiepskim stanie, toteż pomogliśmy im, jak się dało. Zaoferowaliśmy im żywność, schronienie, dostęp do naszego szpitala – wszystko, czego potrzebowali. Wysłano ich tutaj, ponieważ wiedzieli o Mount Weather. Mieli nadzieję, że skorzystają ze zgromadzonych tu zapasów. Oczywiście nie spodziewali się, że żyją tu ludzie.

– Wiesz, dlaczego przylecieli na Ziemię? – spytała Clarke. – Misja była tajna. Nikt z nas nic o niej nie wiedział, dopóki Sasha nam nie powiedziała.

Max skinął głową. – Wysłano ich, żeby sprawdzili poziom promieniowania i ustalili, czy ludzkość może wrócić. Oczywiście już sama nasza obecność stanowiła częściową odpowiedź na ich pytania.

– Kim byli? – przerwała mu Clarke. – Ochotnikami, naukowcami czy zesańcami, tak jak my?

Max zmarszczył brwi, słysząc wyznanie, że setka kolonistów trafiła na Ziemię za przestępstwa, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, że odpowiedział na jej pytanie, nie wnikając w to zagadnienie.

– Większość z nich wolała nie rozmawiać na temat przeszłości, lecz zrozumiałem, że w Kolonii nie byli przykładnymi obywatelami. Ale też nie byli chyba przestępcami – inaczej by ich zabito... czy też, jak

mówili, wypchnięto w próżnię. – Otrząsnął się lekko na samą myśl o tym, a potem mówił dalej: – Wyglądali jak ludzie, których zniknięcie z Kolonii nie przyciągnie niczyjej uwagi.

Clarke skinęła, notując w myśli wszystkie szczegóły.

– A co było potem?

– Podczas awaryjnego lądowania stracili łączność z Kolonią i nie potrafili jej ponownie nawiązać. Nie wyobrażali sobie, że może się tak stać, więc żyli w coraz większym napięciu. My z kolei nie planowaliśmy przyjęcia ich do naszej społeczności na stałe. Z pewnością nie sądzili, że zostaną tu na zawsze. – Przerwał na chwilę, a potem jego twarz stężała. – Wciąż uważam, że z tym dzieckiem to był wypadek, ale nie wszyscy tak to widzą. Wiemy tylko, że jeden z naszych chłopców poszedł z kilkoma kolonistami na ryby. Sam z siebie chciał im pokazać najlepsze miejsce do łowienia. Taki był dumny, że może się do czegoś przydać. Kiedy jednak wrócili o zmroku do domu... – Max skrzywił się boleśnie na to wspomnienie – chłopiec nie żył. Przynieśli go ze sobą. Biedak utonął – westchnął. – Nigdy nie zapomnę krzyku matki, kiedy zobaczyła, co się stało. – To był wypadek – powiedziała głucho Sasha. – Wiem, że tak było. Tommy ześlizgnął się ze skały, ale żaden z kolonistów nie umiał pływać. Próbowali go uratować. Pamiętasz, jacy byli mokrzy? Powiedzieli, że ta blondynka o mała sama nie utonęła, próbując go dosięgnąć.

– Być może – zgodził się posępnie Max. – Coś mi tam jednak nie pasowało. Kiedy o tym mówili, brzmiało to tak, jakby się bronili. Potem zaczął się konflikt. Kilku naszych – rodzina tego chłopca, ci sami, którzy prześladowają was od lądowania – odmówiło dzielenia się z nimi jedzeniem, żądając, by przybysze zadbali sami o siebie. Podejrzewam, że koloniści się przestraszyli... i zareagowali agresją. Zaczęli kraść, gromadzić własne zapasy, a nawet zastraszać naszych ludzi. W końcu nie miałem innego wyjścia – musiałem ich wygnać. Trudno mi było wykonać ten wyrok. Wiedziałem, że w sumie nie byli źli i że nie mieli szans poradzić sobie w lesie samodzielnie. Nie przypuszczałem tylko, że odpowiedzą otwartą przemocą. Wtedy nie miałem już wyboru – musiałem bronić swoich.

– Czy wszyscy nie żyją? – zapytała cicho Clarke.

– Poza tą parą lekarzy. Ci odeszli, jeszcze zanim atmosfera się popsuka, twierdząc, że nie podoba im się postępowanie pozostałych kolonistów. Opuścili nas tylko we dwójkę, z zamiarem zbadania jak największego terenu.

– Lekarzy? – powtórzyła Clarke przez zaciśnięte gardło. Podniosła rękę, żeby się o coś oprzeć i okazało się, że u jej boku stoi Bellamy, służąc ramieniem.

– Clarke, dobrze się czujesz? – zaniepokoił się.

– Czy oni... Pamiętacie ich nazwiska? – zamknęła oczy, bojąc się, co ujrzy na twarzy ojca Sashy, kiedy usłyszy pytanie. – Czy nazywali się Griffinowie?

Musiła jednak otworzyć oczy. Przywódca Ziemian energicznie potaknął:

– Tak, świetnie pamiętam. David i Mary Griffinowie.

Clarke roześmiała się. Miała mokrą twarz. Podniosła dłoń i zdała sobie sprawę, że płacze. Nie była na Ziemi sama. Jej rodzice żyli.

ROZDZIAŁ 28

Glass

Nie słyszała odliczania.

Nie słyszała krzyków.

Słyszała tylko urywany, ciężki oddech swojej mamy.

Siedziała na podłodze, trzymając w dłoniach jej głowę, podczas gdy na piersi Sonji rozlewała się coraz większa plama krwi, barwiąc jej suknię głęboką czerwienią. Glass zawsze chciała osiągnąć taki kolor przez farbowanie i nigdy jej się to nie udało.

Oszalały strażnik krzyczał coś pod jej adresem, ale nie słyszała słów.

Nastąpiła kotłowanina, kiedy Luke zacieśnił chwyt wokół szyi

mężczyzny i wywłócił go z lądownika.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptła Glass, chociaż po policzkach ciekły jej łzy. – Wyzdrowiejesz, mamó. Dostaniemy się na Ziemię i wszystko będzie dobrze.

– Nie ma już czasu! – krzyknął ktoś za nią. Glass zarejestrowała częścią umysłu, że luk zaraz się zamknie i że do końca odliczania pozostało około trzydziestu sekund, ale nie potrafiła wyciągnąć z tego wniosków. Czas jakby zwolnił.

– Glass – powiedziała ochryple jej matka. – Jestem z ciebie taka dumna.

Coraz trudniej jej się oddychało i mówiło.

– Kocham cię, mamó – wydusiła z siebie Glass i kurczowo złapała rękę matki. – Tak bardzo cię kocham.

Sonja odwzajemniła uścisk, ale po chwili westchnęła, a jej ciało bezwładnie opadło.

– Mamó – jęknęła dziewczyna. Wstrząsnęło ją łkanie. – Nie, proszę, nie...

U jej boku pojawił się znowu Luke. Nie zapamiętała nic z tego, co działo się potem.

Ostatnie słowa matki dźwięczały jej w głowie głośniejsz niż krzyki i jęki za zamykającym się lukiem lądownika. Głośniejsz niż dźwięk alarmu.

Głośniejsz niż paniczny łomot złamanego serca Glass.

„Jesteś taka dzielna, taka silna”.

„Jestem z ciebie taka dumna”.

– Chcesz, żebym cię odprowadził? – spytał Wells, rzucając nerwowe spojrzenie na zegarek. – Nie zdawałem sobie sprawy, jak już późno. Glass spojrzała w górę. Zbliżała się północ. Nawet gdyby pobiegła, nie zdążyłaby wrócić do domu przed godziną policyjną. Tym bardziej, że właściwie nie mogła biec. To dopiero przyciągnęłoby uwagę strażników!

– Dam sobie radę – odparła. – Strażnicy nie interesują się, czy ktoś przestrzega godziny policyjnej, czy nie, jeśli tylko człowiek nie wygląda, jakby coś knuł.

Wells uśmiechnął się przyjaźnie:

– Zawsze wyglądasz, jakbyś coś knuła.

– Nie tym razem – odparła, wrzucając tabletki do torby i wstając. – Jestem przepracowaną, pilną uczennicą, która straciła poczucie czasu, siedząc nad zadaniem domowym z matmy.

Dawno temu, zanim jeszcze opuścił je ojciec, Glass nigdy nie dałaby przyłapać się na nauce. Teraz jednak – co dziwne – dobrze się przy

tym bawiła, tym bardziej że była to dla niej jedyna szansa, żeby spotkać się z Wellsem.

– Czy chodzi ci o to, że straciłaś poczucie czasu, patrząc, jak ja odrabiam za ciebie zadanie domowe z matmy?

– Widzisz? To dlatego potrzebuję twojej pomocy. Jesteś taki logiczny! Siedzieli w salonie u Wellsa. Pokój był jeszcze czystszy niż zazwyczaj. Matka Wellsa znów leżała w szpitalu. Glass wiedziała, że przyjacielowi szczególnie zależy, żeby utrzymać całe mieszkanie w idealnym stanie na wypadek, gdyby mama niespodziewanie wróciła.

Odprowadził Glass do drzwi i chwilę zwlekał z otwarciem.

– Na pewno nie trzeba cię odprowadzać?

Pokręciła głową. Jeżeli złapią ją na łamaniu zasad, dadzą jej ostrzeżenie i na tym się skończy. Jeśli złapią Wellsa, jego ojciec przez kilka tygodni będzie go traktował z chłodnym dystansem, a to było teraz chłopcu najmniej potrzebne.

Pożegnała się i wyslizgnęła na ciemny, pusty korytarz. Bardzo lubiła spędzać czas ze swoim najlepszym przyjacielem, nawet jeśli ślęczeli wtedy tylko nad książkami. Poza tym prawie go nie widywała.

Ostatnio przez cały czas albo się uczył, albo był w szpitalu u matki, albo na szkoleniu oficerskim. Co gorsza, wyglądało na to, że będą się widywać jeszcze rzadziej, kiedy skończą szkołę, a Wells zostanie pełnoprawnym kadetem.

Zeszła szybko po cichu schodami, a potem przekradła się na pokład B. Tędy prowadziła droga do jej mieszkania. Zatrzymała się na chwilę przy wejściu do Sali Edenu. Zbliżała się ceremonia pamięci. Przez kilka ubiegłych tygodni Glass męczyła się z sukienką – od kiedy razem z matką korzystały tylko z własnych punktów przydziału, dużo trudniej było jej przyszykować coś odpowiedniego. Nie udało jej się znaleźć również nikogo, z kim mogłaby iść na imprezę. Wszyscy zakładali, że pójdzie z Wellsem. Jeżeli w związku z tym żadne z nich nie znajdzie pary, prawdopodobnie pójdą razem, ale wyłącznie jako przyjaciele. Nie wyobrażała sobie, że całuje Wellsa – było to równie nieprawdopodobne jak przeprowadzka na „Waldena”.

Glass nigdy poświęcała zbyt wiele czasu myśli o całowaniu kogokolwiek. Najbardziej bawiło ją skłanianie chłopaków do tego, żeby sami chcieli ją pocałować. Wolała wybrać sukienkę, która sprawi, że chłopakom przyspieszy puls, niż pozwolić, żeby obśliniali jej całą twarz, tak jak Graham, który dopadł ją pewnego wieczoru na urodzinach Huxley.

Glass była tak pochłonięta myślą o swoim stroju na ceremonię

pamięci, że nie zauważyła strażników, dopóki niemal na nich nie wpadła. Było ich dwóch: mężczyzna w średnim wieku, z gładko ogoloną głową, i młody człowiek – chłopak, tylko kilka lat starszy od Glass.

– Czy wszystko w porządku, panienko? – zapytał starszy z nich.

– Tak, świetnie, dziękuję – odparła z wypróbowaną mieszanką grzeczności i obojętności w głosie, zupełnie jakby nie miała pojęcia, dlaczego została zatrzymana.

– Minęła już godzina policyjna – rzucił, mierząc ją wzrokiem. Jego spojrzenie sprawiło, że poczuła się nieswojo, ale wiedziała, że nie może dać po sobie tego poznać.

– Ach, naprawdę? – zdziwiła się, posyłając mu ciepły, promienny uśmiech. – Tak mi przykro. Straciłam poczucie czasu przy nauce w mieszkaniu przyjaciela, ale już idę do domu.

Starszy strażnik parsknął. – Przy nauce, tak? A czego się uczyliście? Studiowaliście nawzajem własną anatomię?

– Drake – przerwał mu młodszy strażnik. – Przestań.

Tamten go zignorował.

– Takie jak ty uważają, że zasady ich nie obowiązują, co? No dobra, przemyśl to jeszcze raz. Wystarczy, że zapiszę ten incydent w oficjalnym rejestrze, a znajdziesz się w niezłych opałach.

– Wcale tak nie uważam – pospieszyła z zapewnieniem Glass. – Tak mi przykro. Obiecuję, że już zawsze będę przestrzegać godziny policyjnej, nawet jeżeli będę miała dużo do nauki.

– Bardzo chciałbym ci wierzyć, panienko, ale wydaje mi się, że tracisz poczucie czasu równie często, jak zdejmujesz majt...

– Wystarczy! – rzucił młodszy strażnik rozkazującym tonem.

Ku zaskoczeniu Glass łysy mężczyzna posłusznie zamilkł. Potem zmrużył oczy i spróbował jeszcze raz:

– Z całym szacunkiem, sir, właśnie dlatego członkowie korpusu inżynierskiego najczęściej nie patrolują korytarzy. Być może wie pan wszystko o spacerach w kosmosie, ale o utrzymaniu porządku – niewiele.

– W takim razie lepiej postaraj się nigdy więcej nie być ze mną w jednym patrolu. – Głos młodszego ze strażników brzmiał beztrąsko, ale jego spojrzenie mówiło wiele. – Sądzę, że tym razem udzielimy tej damie ostrzeżenia i pozwolimy jej odejść. Prawda?

Starszy mężczyzna skrzywił szyderczo usta.

– Jak pan sobie życzy, poruczniku.

Najwyraźniej młodzieniec przewyższał go stopniem, a to miało

większe znaczenie niż gorycz w głosie Drake'a.

Młody strażnik zwrócił się do Glass:

– Odeskortuję panią do domu.

– Ależ wszystko w porządku, dziękuję, nie trzeba – powiedziała, sama nie wiedząc, dlaczego się rumieni.

– A ja myślę, że to najlepsze wyjście. Nie chcemy przecież, żeby za pięć minut miała pani ten sam problem z następnym patrolem.

Skinął partnerowi, a potem oddalił się z dziewczyną. Podczas gdy szli korytarzem, Glass była w pełni świadoma ruchów chłopaka, mimo że nie patrzyła w jego kierunku. Może to dlatego, że był strażnikiem?

Czuła, jak zwalnia kroku, żeby jej nie wyprzedzić, jak jego rękaw ociera się o jej ramię, kiedy skręcali za róg.

– Naprawdę wychodzisz w przestrzeń kosmiczną? – zapytała, chcąc przerwać niezręczne milczenie.

Skinął głową.

– Zdarza mi się co jakiś czas. Nie za często. Za każdym razem, kiedy coś się zepsuje na zewnątrz, przed rozpoczęciem naprawy trzeba poczynić sporo przygotowań.

– Jak to jest, być tam, w przestrzeni?

Glass uwielbiała wyglądać przez małe okienka statku, zastanawiając się, jak by to było: znaleźć się między gwiazdami.

Zatrzymał się i popatrzył na nią – naprawdę popatrzył, inaczej niż większość chłopaków, którzy tylko rzucali jej ukradkowe spojrzenia.

Wydawało jej się, że chłopak doskonale wie, co pomyślała.

– Spokojnie, a jednocześnie przerażająco – powiedział w końcu. – Tak jakby człowiek nagle znał odpowiedzi na pytania, których nigdy nie przyszło mu do głowy zadać.

Dotarli pod drzwi mieszkania Glass, ale nagle okazało się, że wcale nie chce jej się wracać do domu. Nieuważnie grzebała przy skanerze.

– Jak masz na imię? – zapytała w końcu, gdy drzwi się już otworzyły.

Uśmiechnął się, a Glass momentalnie doszła do wniosku, że to nie strażniczy mundur przyprawił ją o mocniejsze bicie serca.

– Luke.

Luke trzymał ją za rękę nawet wówczas, kiedy lądownik opuścił pokład startowy z takim wstrząsem, że większość ludzi wrzasnęła ze strachu. Także wtedy, gdy głośny alarm i huk silników ustąpiły miejsca ciszy. Także wtedy, kiedy zaczęli zbliżać się do Ziemi, byli coraz niżej i niżej, a w oknach pojawiły się szare chmury.

– Tak mi przykro – szepnął, unosząc ich splecione dłonie do ust i całując jej palce. – Wiem, jak bardzo ją kochałaś. I jak ona kochała

ciebie.

Glass tylko skinęła głową w obawie, że jeśli się odezwie, znów popłyną łzy. Ból był tak nowy, rana tak świeża, że nie wiedziała, jaki kształt przybierze, jaką bliznę po sobie zostawi – i czy palące uczucie w piersi pozostanie jej już do końca życia.

Przynajmniej miała teraz szansę na życie – wśród drzew i kwiatów, zachodów słońca i burz, a co najważniejsze, u boku Luke'a. Nie wiedziała, co się z nimi stanie na Ziemi, ale mogli stawić temu czoła, przynajmniej tak długo, jak długo będą razem.

Lądownik zaczął się trząść, a Luke ścisnął dłoń Glass nieco mocniej. Po chwili statkiem rzuciło, po czym przechylił się na jedną stronę. Na pokładzie rozległy się gwałtowne okrzyki przerażenia.

– Kocham cię – powiedziała Glass. Nie miało znaczenia, że Luke nie może jej słyszeć, przecież wiedział. Nieważne, co się stanie, zawsze będzie wiedział.

ROZDZIAŁ 29

Wells

Wells spakował się, a potem przemknął po cichu na cmentarzyk, żeby pożegnać zmarłych. Zapadła już noc i kwiaty posadzone na grobach żarzyły się niesamowitym blaskiem. Podobało mu się to – Priya miała znakomity pomysł, żeby udekorować cmentarz żywymi świecącymi roślinami. Ci, którzy wychowali się na statku, nigdy nie doświadczyli prawdziwej ciemności. Lśnienie kwiatów rozświetlało im więc ziemską noc.

Wells klęknął przy nagrobku Pryi i zadrżał. Czy przed śmiercią czuła, że niedługo dołączy do pozostałych ofiar?

Wstał i podszedł do grobu Ashera. Przesunął palcami po nierównych

dużych literach wyrzeźbionych w drewnie. Zamarł w pół ruchu, zastanawiając się, dlaczego wyglądają tak znajomo. Na każdym nagrobku był przecież inny napis... a mimo to był pewien, że gdzieś już widział te duże, drukowane litery.

– Do widzenia – szepnął, zarzucił plecak na ramię i wszedł do lasu. Wkroczył między drzewa i zaczerpnął głęboko w płuca chłodnego leśnego powietrza. Wyruszał w tę drogę z zaskakującym spokojem – w lesie czuł się bardziej odprężony niż przez cały dzień w obozie. Szum wiatru w koronach drzew brzmiał o niebo lepiej od złośliwych szeptów.

Fantazjował już wcześniej na temat opuszczenia obozu, ale w tych scenariuszach towarzyszyła mu zawsze Clarke, a ostatnio – Sasha.

Serce skoczyło mu w piersi na myśl, że dziewczyna z Ziemi ponownie odwiedzi kolonistów, ale go nie zastanie. Co sobie pomyśli, kiedy powiedzą jej, że Wells odszedł? Czy kiedykolwiek jeszcze ją spotka? A co się stanie, jeśli z Kolonii przyleci jego ojciec? Czy będzie próbował odnaleźć syna, czy uzna jego odejście za hańbiące?

– Wells – z ciemności wionął ku niemu szept. Odwrócił się i zamrugał, gdy spomiędzy krzewów wyłoniła się nieduża sylwetka Kendall. – Dokąd się wybierasz?

– Jeszcze nie wiem. Przed siebie, byle dalej.

– Mogę iść z tobą? – zapytała głosem, w którym brzmiał jednocześnie zapał i smutek wskazujący, że już wiedziała, jaka będzie jego odpowiedź.

– To chyba zły pomysł – powiedział ostrożnie. – Będziesz bezpieczniejsza, jeśli zostaniesz z resztą grupy.

Kendall podeszła o kilka kroków. Przez gęstą koronę drzewa nie przedostawał się niemal żaden promień księżycowego światła, a mimo to Wells widział, że dziewczyna wpatruje się w niego wielkimi, lśniącymi oczami. Przeszedł go dreszcz.

– Masz zamiar odnaleźć Sashę?

– Nie... Nie mam pojęcia, dokąd poszła.

Kendall skinęła w ciemnościach głową.

– To dobrze. Jest niebezpieczna, wiesz? Pamiętaj, co Ziemianie zrobili Pryi.

– Ależ to nie ma nic wspólnego z Sashą! – zareagował ostro Wells, nie wiedząc, dlaczego właściwie tak zaciekle broni Ziemianki.

– Co za człowiek uczyniłby drugiemu coś takiego? – kontynuowała Kendall, jakby go nie usłyszała. – Powiesili ją na drzewie. Wycięli wiadomość na stopach. Komuś naprawdę musiało zależeć na tym

ostrzeżeniu! – Powiedziała to dziwnym, niemal śpiewnym tonem, od którego Wells dostał gęsiej skórki.

– Pamiętaj, nie można ufać Ziemianom! – syknęła i podeszła jeszcze bliżej. Stała teraz niecały metr od Wellsa. – Tak, to ładna dziewczyna, ale nie jest jedną z nas. Nie rozumie cię. Nie zadba o twoje bezpieczeństwo.

Zaczął oddychać szybciej. Ogarnął go zimny strach. Nagle zdał sobie sprawę, z czym kojarzy mu się napis na nagrobku Ashera.

Drukowane litery wyglądały przecież niemal tak samo jak te, które wycięto na stopach Pryi.

A jeśli to nie Ziemianie ją zabili? Jeżeli...

– To na razie – pożegnała go z uśmiechem Kendall i odeszła w stronę obozu.

Wells zamarł. Czy powinien iść za nią? Ostrzec innych? Czy jego przerażenie miało realne podstawy, czy też było objawem paranoi?

Gdzieś w pobliżu trzasnęła gałązka. Wells odwrócił się raptownie, serce biło mu jak szalone. „To pewnie tylko jakieś zwierzę”, pomyślał, żałując poniewczasie, że w stosownej chwili nie przełknął dumy i nie poprosił, żeby Bellamy nauczył go strzelać z łuku. A teraz nie miał przy sobie nawet włóczni!

Z cienia wyłoniły się sylwetki trojga ludzi. Wells zeszywniał i wyteżył wzrok, szukając na ziemi czegoś, czego mógłby użyć jako broni: solidnego kija, a może nawet kamienia. Potrafił walczyć wręcz, jeżeli musiał – podczas szkolenia oficerskiego był mistrzem swojego rocznika – ale nie był pewien, czy da radę wszystkim trzem, jeśli zaatakują go naraz.

Skulił się więc za drzewem, trzymając w pogotowiu ostro zakończony kawałek skały. Nieznajomi byli coraz bliżej, aż w końcu spomiędzy drzew dobiegł go łagodny śmiech.

– Clarke? – szepnął, kompletnie zaskoczony, i upuścił kamień na ziemię z głuchym łomotem. Światło księżyca błyszczało na jej włosach jak aureola, oświetlając również szeroki uśmiech na twarzy.

Był z nią Bellamy i... zaraz, czy to nie Octavia?

Gdy dostrzegli Wellsa, uradowali się i pospieszyli ku niemu, mówiąc wszyscy naraz. Powoli składał w całość wszystkie kawałki opowieści: porwanie Octavii, wizytę Bellamy'ego i Clarke w Mount Weather, a w końcu to, co opowiedział im ojciec Sashy.

Na dźwięk jej imienia Wellsowi na chwilę zaparło dech. Kiedy go odzyskał, zapytał:

– Widzieliście Sashę? Wszystko u niej w porządku?

Z twarzy Clarke wyczytał, że rozumiała, co dzieje się w jego sercu. Zawsze potrafiła dostrzec najmniejsze szczegóły wcześniej niż inni – dlatego była takim dobrym lekarzem. Posłała mu znaczący uśmiech. Wells od razu wiedział, że rozumiała, ile znaczy dla niego ziemską dziewczyna, i nie ma nic przeciwko temu.

– Sasha czuje się świetnie – oznajmiła. – Wkrótce się tu zjawi, jak tylko uda jej się przekonać resztę Ziemian, że nie stanowimy dla nich zagrożenia. – Przerwała na chwilę, jakby zastanawiała się, czy powinna mu zdradzić, ile wie. – Wydaje mi się, że chce się z tobą zobaczyć.

– Idziesz gdzieś? – spytała Octavia, klepiąc plecak Wellsa. Bellamy i Clarke wymieniali znaczące spojrzenia, gdy opowiadał im, co się wydarzyło tego ranka: jak wszyscy się wściekli, kiedy wyszło na jaw, że wypuścił Sashę, i jak zdecydował się odejść, zanim go wyrzucą.

– To absurdalne – powiedział Bellamy z oburzeniem. Wells nigdy nie przypuszczał, że waldenita kiedykolwiek poczuje się tak urażony czymś, co spotkało akurat jego. – Nie możesz tak po prostu odejść tylko dlatego, że Graham i paru innych koleśków miał napad złego humoru. Potrzebują cię. My też cię potrzebujemy.

– Proszę, Wells – wtrąciła Clarke. – Wszystko będzie dobrze. Powiemy im, że miałeś rację co do Sashy. Gdybyś nie pozwolił jej odejść wolno, nigdy nie odzyskalibyśmy Octavii. – Zerknęła na dziewczynkę, która już biegła ku obozowi z nadzieją na efektowne wejście.

– No więc... – przerzucił plecak z jednego ramienia na drugie, a potem zwrócił się do Bellamy'ego. – Gratulacje, chłopie. Naprawdę bardzo się cieszę, że ją znalazłeś. Nigdy z niej nie zrezygnowałeś i opłaciło się. – Spojrzał na Clarke, a potem znów na Bellamy'ego. – Chyba wszyscy musimy się wiele od was nauczyć.

Bellamy wzruszył ramionami.

– Po prostu nie potrafię inaczej. Zawsze się nią opiekowałem. Chyba chodzi o to, że... Nie rodzimy się tylko dla samych siebie. Trzeba dbać o innych.

Wells rzucił mu ostre spojrzenie:

– Coś ty powiedział?

Bellamy powiedział to tak normalnie, jakby to był powszechnie używany slogan. Wells jednak nie słyszał tych słów z ust nikogo na Ziemi. Prawdę mówiąc, całe lata nie słyszał, żeby ktoś powiedział to na głos w jego obecności. Mimo że codziennie o tym myślał.

Pewnych rzeczy się nie zapomina.

ROZDZIAŁ 30

Bellamy

Bellamy patrzył na Wellsa, zastanawiając się, czy tamtemu w końcu nie odbiło. Dlaczego tak na niego patrzył? Dlaczego zapytał akurat o te słowa?

Wzruszył ramionami.

– Mama zawsze tak mówiła o mnie i Octavii. Jakie to szczęście, że mamy siebie, i jak powinienem o nią dbać. – Odchrząknął, odganiając gorzkie wspomnienia. – Oczywiście to ja powinienem, bo ona nie miała zamiaru. – Na chwilę zamilkł. – Chyba mówił tak mój ojciec, wyjaśniając, dlaczego nie może z nami zamieszkać.

Wells zbladł.

– Hej, wszystko w porządku? – spytał Bellamy, zerkając wymownie na Clarke. Zanim jednak dziewczyna zdążyła coś powiedzieć, Wells odezwał się pierwszy:

– Czy... czy może twoja mama nazywała się Melinda?

Bellamy zachwiał się, jakby dostał kamieniem. Od lat nikt nie wymawiał przy nim imienia matki. Dokładnie od chwili, w której do mieszkania weszli strażnicy i znaleźli ją na podłodze, zimną i nieruchomą.

– Skąd... skąd to wiesz? – zapytał ochryple. Był zbyt wstrząśnięty, by w jego głosie mogła zabrzmieć wrogość lub podejrzliwość. Nienaturalnie spokojnym tonem Wells opowiedział Bellamy'emu o sekretnej przeszłości ojca, o jego romansie z dziewczyną z „Waldena” i wspomnieniach, jakie łączyły kanclerza z jej rodziną.

– Nie rodzimy się tylko dla samych siebie... Ojciec zawsze używał tego zdania, żeby usprawiedliwić wszystkie swoje wyrzeczenia, na przykład uzasadnić, dlaczego nie spędzał zbyt wiele czasu z mamą i ze mną... albo dlaczego nie poślubił kobiety, którą kochał. Nie wiedziałem jednak, że miał z nią dziecko.

Świat wokół Bellamy'ego zawirował, zamieniając się w rozmazaną plątaninę światła i cienia. Ustał na nogach tylko dlatego, że czuł na swoim ramieniu uścisk dłoni Clarke. Kanclerz – człowiek, którego przez niego postrzelono – był jego ojcem? Przez dłuższą chwilę nie mógł wymówić słowa ani złapać tchu. Poczuł, że Clarke go obejmuje, powróciła zdolność oddychania, i dopiero wtedy zobaczył ostro całe otoczenie: ciemne sylwetki drzew, rozgwieżdżone niebo, zdumioną minę swojej dziewczyny i nerwową twarz chłopaka, którego Bellamy kiedyś tak bardzo nienawidził, a teraz... Teraz było całkiem inaczej.

– A więc jesteśmy... – zaczął.

– Przyrodnimi braćmi.

To określenie zawisło między nimi w powietrzu, pozwalając się ocenić, zanim obaj chłopcy uznają za stosowne go używać.

– W takim razie ty i Octavia nie jesteście już jedynym rodzeństwem w Kolonii – dorzucił po chwili Wells.

Bellamy roześmiał się głośno.

– Przyrodni bracia! – powtórzył. Potrząsnął głową. – To szaleństwo. – Jeszcze raz się roześmiał i wyciągnął dłoń do Wellsa: – Bracie.

ROZDZIAŁ 31

Clarke

– Przyrodni bracia – powiedziała wolno Clarke, prawdopodobnie po raz dwudziesty dziewiąty tego wieczoru. Powiodła palcem po policzku Bellamy’ego, jakby szukała w jego twarzy jakiegoś śladu rodzinnego podobieństwa do Wellsa.

Bellamy uśmiechnął się, delikatnie odsunął i ucałował jej dłoń.

– Mnie też jest trudno uwierzyć. Od razu wyglądam ładniej, no nie? – Ale po chwili jego uśmiech zniknął. – Nie doprowadza cię to do szaleństwa?

Clarke popatrzyła na Wellsa i Sashę, która wróciła do obozu wcześniej, niż się spodziewano. Siedzieli po przeciwnej stronie ogniska, nieco oddaleni od reszty towarzystwa. Przez pełgające płomienie widziała, że Wells uśmiecha się do ziemskiej dziewczyny, która z kolei najwyraźniej się zarumieniła. Kilku kolonistów przyglądało im się z rezerwą. Teraz, po powrocie Octavii, dużo łatwiej było przekonać całą grupę, że Sasha mówiła prawdę o wojowniczych Ziemiach. Większość zesłańców szybko wybaczyła Wellsowi wypuszczenie jej na wolność.

Clarke westchnęła i położyła głowę na ramieniu Bellamy’ego.

– Wiesz co, twoje pokrewieństwo z moim ekschłopakiem nie jest wcale twoją najdziwniejszą cechą.

Objął ją w talii i połaskotał w brzuch. Roześmiała się i chciała mu odpłacić pięknym za nadobne, ale nie zdążyła, ponieważ raptownie usiadł, gdy coś po drugiej stronie ognia przyciągnęło jego uwagę.

– To prawda! – wykrzyknęła Octavia, odrzucając długie czarne włosy na ramię. Przez ostatnią godzinę raczyła kolonistów opowieściami o swoich przygodach w Mount Weather.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie wróciłaś, żeby nas szpiegować? – zapytał jakiś drwiący głos.

Clarke cała się spięła, widząc, że przed Octavią stanął Graham z kpiącym uśmiechem na twarzy. W jego głosie pobrzmiwała mieszanka żartobliwej protekcjonalności i wrogości, ale Octavia nie pozwoliła się zbić z tropu. Przechyliła głowę na bok i zmierzyła chłopaka taksującym spojrzeniem spod czarnych rzęs.

– Być może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale na Ziemi jest mnóstwo dużo bardziej interesujących rzeczy niż twoja krótka dzida.

Gdybym chciała cię szpiegować, chyba bym zasnęła z nudów. Rozległ się ryk śmiechu. Ku zaskoczeniu Clarke Graham również się uśmiechnął, chociaż nawet w półmroku widziała, że oczy miał posępne.

– Och, wierz mi, że moja dzida jest w sam akurat! – zaprotestował, a

Octavia zachichotała.

– Mam mu rozkwasić nos już teraz czy za chwilę? – warknął Bellamy.

– Później – poprosiła Clarke. – Teraz za wygodnie mi się siedzi.

Dołączyła do grupy przy ognisku zaledwie kilka minut wcześniej, spędziwszy poprzednią godzinę w chacie szpitalnej. Upewniła się, że

Molly, Felix i pozostali wracają do zdrowia, a ich organizmy w większości pozbyły się już jadu zimorzębu. Ulga na twarzy Erica, kiedy przy pomocy Clarke Feliks po raz pierwszy od początku choroby stanął na nogi, wystarczyła, żeby młoda lekarka zapomniała o blisko dwudziestokilometrowym spacerze.

Przesunęła się teraz i oparła wygodnie o Bellamy'ego. Owinął ramiona wokół jej talii i odchylił do tyłu, tak że oboje patrzyli w niebo.

Huczenie ognia tłumilo gwar, a kiedy popatrzyli w górę, mogli udawać, że są jedynymi ludźmi na Ziemi.

Zastanawiała się, czy jej mama i tato też patrzą na to samo niebo i czują się przy tym podobnie jak ona. Bellamy obiecał jej, że teraz, skoro Octavia jest już bezpieczna, oboje wybiorą się z Clarke na poszukiwania jej rodziców. Griffinowie wyruszyli wprawdzie przed rokiem, ale Bellamy'emu to nie przeszkadzało. Nie spoczną, aż ich znajdą.

Myśl, że rodzice gdzieś tu są, była nieco przerażająca, ale jednocześnie ekscytująca, mimo że trudna do pojęcia. Obecnie więc cieszyła się bliskością Bellamy'ego, pozwalając, żeby rytmiczne uderzenia jego serca kołysały ją do snu.

– Popatrz tam – wyszeptał jej do ucha.

– Gdzie?

Wziął ją za rękę, delikatnie wyprostował jeden z palców i skierował go na szybko poruszającą się po niebie smugę.

– Czy na „Feniksie” mieliście taki zwyczaj, żeby na widok przelatującego meteoru wypowiedzieć w myślach życzenie? – zapytał, ogrzewając oddechem skórę na jej karku. – Czy też mieliście już wszystko, czego można było zapragnąć?

– Na pewno nie miałam wtedy wszystkiego, czego zapragnęłam – wymruczała Clarke, ocierając się o jego pierś. – Myślę jednak, że w tej chwili jestem blisko takiego stanu.

– To co, nie chcesz sobie nic życzyć?

Clarke jeszcze raz spojrzała w górę. Świetlny punkt poruszał się bardzo szybko, za szybko jak na meteor. Wyprostowała się.

– To... to chyba nie jest spadająca gwiazda – powiedziała z niepokojem w głosie.

– Co masz na myśli? A cóż by to mogło być innego? – zdziwił się chłopak. W tym momencie jednak poczuła, że całe jego ciało zeszywniało. Zdał sobie sprawę, o co jej chodzi. – Nie myślisz chyba... – nie dokończył i objął ją mocniej. Nie musieli tego mówić. Reszta grupy siedziała wokół ognia w błogiej niewiedzy. Bellamy i Clarke znali jednak prawdę. Smuga światła nie była meteorem. To był lądownik. Setka zesłańców wkrótce przestanie być setką. Na Ziemię przybywała reszta kolonistów.

PODZIĘKOWANIA

Jestem głęboko wdzięczna wszystkim z Alloy Entertainment, że zgodzili się uczestniczyć w tej przygodzie. Z wami można konie kraść... a co dopiero lądownicy!

Kosmiczne uściski dla moich cudownych redaktorów, niewiarygodnie inteligentnej Joelle Hobeice i nieskończenie kreatywnej Katie McGee, za niesłabnące oddanie tej serii. Wielkim przywilejem była dla mnie możliwość pracy z Joshem Bankiem, Sarą Shandler i Lesem Morgensteinem – ludźmi, których wizja nadaje nowy sens tradycyjnemu opowiadaniu.

Wielkie dzięki dla Elizabeth Bewley za czujne przewodnictwo, a dla wydawniczych czarodziejów z Little Brown za ciężką pracę i entuzjazm okazywany serii *Misja 100*.

Mnóstwo ludzi pracuje na to, żeby autor podczas pisania pozostał przy zdrowych zmysłach, dlatego jestem do zgonnie wdzięczna przyjaciółom za ich stałe wsparcie. Dziękuję wam za kawę, zachętę, wspaniałe imprezy połączone z prapremierowymi seansami czytania i za to, że przypominaliście mi o wszystkich ważnych sprawach, kiedy

sama ledwie pamiętałam, żeby zrobić pranie. Specjalne podziękowania składam także kolegom z wydawnictwa Scholastic za to, że uczynili ze swojego biura stałe źródło inspiracji, mądrości i radości z obcowania z książkami.

Ponad wszystko wdzięczna jestem zaś mojej rodzinie. Każde słowo, które napisałam, ma związek z historiami, które mi opowiadaliście, kryjącymi się w stosach książek, lśniącymi na kliszach filmów wyświetlanych w kinie nocnym i wirującymi w hałaśliwym, roześmianym chórze głosów podczas rodzinnych zjazdów. Kocham was bardziej od wszystkich gwiazd w galaktyce.



fot. Michael Bisberg

KASS MORGAN

studiowała na Brown University, a następnie zdobyła tytuł magistra na Oksfordzie. Mieszka obecnie w Nowym Jorku, gdzie pisze i pracuje jako redaktor.

Krytycy o *Misji 100*

„Mroczna i intrygująca mieszanka *Władcy much*, *W otchłani* i *Igrzysk śmierci*”. **Booklist**

„Morgan połączyła elementy popkultury i polityki tak, by powstała trzymająca w napięciu całość”. **School Library Journal**

OD LĄDOWANIA 100 MŁODYCH ZESŁAŃCÓW NA ZIEMI MINĘŁO 21 DNI

Są pierwszymi od stuleci ludźmi, którzy postawili stopę na ojczyściej planecie, a przynajmniej tak im się dotąd wydawało... Wells usiłuje przekonać towarzyszy, aby wspólnie stawili czoło nieznanym wrogom. Clarke wyrusza na Mount Weather w poszukiwaniu innych przybyszów z Kolonii, a Bellamy chce za wszelką cenę uratować siostrę. Tymczasem na statku Glass musi wybrać pomiędzy miłością swojego życia a... życiem. Uczestnicy misji 100 walczą o przetrwanie na Ziemi, wiedząc, że uda im się to tylko dzięki solidarności.

Kass Morgan w drugiej powieści z cyklu, który zainspirował twórców serialu *The 100*, ujawnia tajemnice z przeszłości, stawia bohaterów przed kolejnymi wyzwaniami i sprawdza, czy ich uczucia przetrwają w nowej rzeczywistości.

Pierwsza część cyklu:

